

Tom Clancy

Wandale

Cykl NetForce lub Zwiadowcy
Przy współpracy Steve'a Pieczenika
Tłumaczyła Anna Zdziemborska

Podziękowania

Pragniemy złożyć podziękowania następującym osobom, bez których ta książka nie mogłaby powstać: Billowi McCayowi za pomoc w dopracowywaniu rękopisu; Martinowi H. Greenbergowi, Larry'emu Segriffowi, Denise Little i Johnowi Helfersowi z Tekno Books; Mitchellowi Rubeinsteinowi i Laurie Silvers z BIG Entertainment; Tomowi Colganowi z Berkeley Books; Robertowi Youdelmanowi oraz Tomowi Mallonowi z Esquire; ponadto Robertowi Gottliebowi, naszemu agentowi i przyjacielowi z William Morris Agency.

Od błękitu bezchmurnego nieba odcinały się tylko białe smugi kondensacyjne z odrzutowych silników lecącego wysoko samolotu. Matt Hunter zmrużył brązowe oczy, obserwując maszynę ze swojego miejsca na stadionie Camden Yards. Za chwilę powinien przejść na napęd rakietowy, pomyślał.

Kuksaniec pod żebro sprowadził go z powrotem na ziemię.

- Nie popisałeś się z tymi miejscami, geniuszu - powiedział z wyrzutem Andy Moore.
- Upieczemy się dzisiaj na takim słońcu. - Blondynek przesunął ręką po jasnym czole. - Ktoś przypadkiem wziął ze sobą krem do opalania?

- Nie licz na mnie. - David Gray podwinął rękawy koszuli, odsłaniając brązowe muskularne ramiona. - Ja mam naturalny krem do opalania dzięki uprzejmości moich afrykańskich przodków. - Lecz i on zaczął wiercić się na krześle. - Można by się spodziewać, że po remoncie wyłożą te fotele czymś bardziej miękkim.

Leif Anderson wyciągnął się na swoim miejscu. - Na moim fotelu jest bardzo wygodnie - oznajmił.

Matt posłał przyjacielowi krytyczne spojrzenie. Tak naprawdę fotel, na którym widać było Leifa, gościł jedynie jego hologram. W rzeczywistości Leif znajdował się w apartamencie swoich rodziców w Nowym Jorku i bez wątpienia wylegiwał się teraz w bardzo drogim i bardzo komfortowym fotelu połączonym z komputerem. Implanty umieszczone pod skórą Leifa łączyły go ze światową Siecią i przesyłały jego obraz do Baltimore, on sam natomiast mógł przeżywać wszystko co działo się na stadionie oddalonym od jego domu o ponad trzysta kilometrów.

- Lepiej podreguluj trochę swój hologram, Anderson - zażartował Matt. - Bo nie zauważysz żadnych wirtualnych wybić. - Po czym, lekko zakłopotany, wzruszył ramionami pod adresem swoich prawdziwych i hologramowych przyjaciół.

- Słuchajcie, to pierwszy mecz sezonu Orioles na ich własnym boisku. Kupiłem bilety na najlepsze miejsca, jakie udało mi się załatwić.

Próbował znaleźć wygodniejszą pozycję na pokrytym cienką tapicerką siedzeniu na trybunie. Każde miejsce warte było tego, co za chwilę zobaczą - i nie chodziło mu o grę w baseball. Matt i jego przyjaciele interesowali się wszystkim, co było związane z komputerami. Fascynowała ich globalna Sieć komputerowa - Sieć, obsługująca większą część świata, oraz Net Force - organizacja nadzorująca działania tejże sieci komputerowej. Właśnie z tego powodu Matt, Leif, Andy David i inni wstąpili do młodszej sekcji - Zwiadowców Net Force.

Niełatwo było się do niej dostać - najpierw musieli przejść pomyślnie kurs szkoleniowy, który był prawie tak trudny, jak ten dla rekrutów piechoty morskiej. Nic dziwnego zresztą, gdyż samo Net Force wywodziło się z mieszanego oddziału specjalnego Korpus Piechoty Morskiej/FBI i nawet miało swoją siedzibę w Quantico. Podczas szkolenia Matt i jego koledzy przeszli niesamowitą edukację komputerową. W świecie, w którym posługiwanie się komputerem było tak powszechne jak włączanie światła, Matt i jego przyjaciele wiedzieli, jak działają te magiczne pudełka. Na rozgrywki nie przyciągnęły ich dzisiaj ani miejsca, ani drużyny, a sam stadion. Camden Yards przeszedł gruntowny remont, który polegał na podłączeniu go do specjalnego systemu komputerowego zdolnego do obsługi symulatora rzeczywistości wirtualnej - w skrócie VR. Wiele aren sportowych oferowało holograficzne projekcje w poszczególnych sektorach, ale w tym przypadku cały stadion przygotowany był do pełnej symulacji.

Leif wyprostował się nieco na swoim fotelu, kiedy drużyny kończyły rozgrzewkę. - Zaczyna się - oznajmił.

Po stadionie przetoczył się głos komentatora:

- Witamy na pierwszej rozgrywce Orioles na ich własnym boisku w sezonie 2025. Mamy dla państwa coś więcej niż tylko grę. Obejrzyjcie mecz w Baseballowym Niebie, dzięki naszemu nowemu systemowi VR. Największe gwiazdy, najlepsi gracze w historii baseballu wkroczą na płytę, by zmierzyć się z najlepszym miotaczem i broniącą drużyną marzeń. Czy mocne piłki pokonają najlepszych w historii pałkarzy? Zaraz się przekonamy!

Na boisku pojawiło się na krótką chwilę coś na kształt cienia, kiedy wbiegali na nie truchtem ostatni z żywych graczy. Wtedy naprzeciwko ławek dla graczy rezerwowych pojawiło się osiemnaście widmowych postaci. Gracze ubrani byli w zróżnicowane stroje. Wszystkie wyglądały w oczach Matta staroświecko, kilka z nich należało do nie istniejących już drużyn.

Niektórzy wirtualni gracze machali lub dotykali daszków czapek na powitanie widowni. Leif Anderson gwizdnął i klasnął w ręce. - Żadna czynność nie została wcześniej zaprogramowana - powiedział. - Wszystko jest generowane losowo przez systemowy komputer, który opiera się na wynikach graczy. To się nawet odnosi do ich reakcji na doping kibiców.

- Kim jest ten grubas w drużynie Sluggersów¹? - spytał Andy Moore.

Leif posłał mu takie spojrzenie, jakby Andy beknął głośno w kościele.

¹ Określenie zawodników baseballu, którzy zdobywają wiele punktów wybijając piłkę poza boisko [przyp.red.].

- To Babe Ruth. W 1927 roku Babe Ruth sześćdziesiąt razy wybił piłkę poza boisko. Trochę dalej w rzędzie stoi Ty Cobb - w swojej karierze ponad cztery tysiące razy wybijał piłkę i wdawał się w bójkę z fanami częściej niż ktokolwiek inny.

- Mam nadzieję, że to zrzut danych szepcze ci to wszystko do ucha - powiedział Matt.
- Bo jeśli marnujesz swoje szare komórki na zapamiętywanie statystyk sportu sprzed stu lat...

Leif jedynie uśmiechnął się szeroko. - Jeśli przyjrzyście się dokładniej graczom All-Stars, zauważycie, że co najmniej połowa z nich ma na sobie barwy drużyn nowojorskich - Sluggersi mają Rutha i Lou Gehriga z Yankees, Frankie'ego Frischa z byłej drużyny New York Giants i Dona Drysdale'a z Brooklyn Dodgers. Fieldersi² mają Joe'go DiMaggio i Billa Dickeya z Yankees, Keitha Hernandeza z Metsów i Williego Maysa oraz Christyego Mathewsona z Olbrzymów. Oni wszyscy reprezentowali kiedyś moje miasto rodzinne!

- Pozwolisz, że ziewnę szeroko - powiedział Mat, tylko po to, żeby dokuczyć przyjacielowi. - Czemu zebrali tutaj tych wszystkich wapniaków?

- Taki był warunek - nikogo, kto grał w tym stuleciu - poinformował go Leif. - Niektórzy z nich grali w latach osiemdziesiątych, na przykład Ozzie Smith, Mike Schmidt i Johnnie Bench. Keith Hernandez grał w latach dziewięćdziesiątych.

Matt się zaśmiał. - Wolę zobaczyć, jak zagrają teraz.

Drużyna All-Star zajęła miejsca na boisku, podczas, gdy miotacz w barwach Filadelfii stanął naprzeciwko pałkarza Yankees.

- Jedna rzecz, której nie potrzebują komputerowi gracze to rozgrzewka - zażartował David Gray.

- Racja - zaśmiał się Leif, wychylił się z ożywieniem na swoim siedzeniu i krzyknął: - Dalej, Mike!

Spojrzał na Matta i wyjaśnił: - Mike Schmidt - świetny miotacz.

Christy Mathewson wyeliminował go trzema trafieniami. Po nim pojawił się Lou Gehrig, posyłając piłkę na środek boiska, którą złapał Roberto Clemente rzucając się ofiarnie na murawę boiska.

W drużynie Sluggersów pałkarzem był Babe Ruth. Przybierał osobliwą pozycję przy wybijaniu, opierając pałkę na ramieniu. Tak właśnie było, kiedy dwie piłki wielkiego Mathewsona przeleciały tuż obok niego.

- To Babę czy Baba? - spytał Matt.

- Poczekaj - odparł Leif.

² Określenie drużyny baseballa broniącej pola [przyp. red.].

Wirtualny Babe Ruth zszedł z pola wybić, zdejmując z ramienia pałkę, po czym wskazał nią punkt na trybunach.

Leif roześmiał się na głos. - To jego słynny gest. Babę pokazuje, gdzie zamierza posłać następne uderzenie.

Nagle z górnych siedzeń na trybunach nad centralną częścią boiska podniosło się czterech widzów. Zupełnie jakby gest Rutha stanowił dla nich sygnał.

Matt zdziwił się, że wcześniej ich nie zauważył. Cała czwórka miała na sobie kostiumy przynajmniej równie stare jak stroje holograficznych graczy. Przypominali bohaterów jednego z tych przestarzałych czarno-białych dwuwymiarowych filmów o gangsterach, które kręcono, zanim do użycia weszły hologramy.

Trzech z tych dziwnych osobników było mężczyznami. Mieli na sobie prążkowane garnitury i kapelusze z szerokimi rondami. Czwartym osobnikiem była piękna blondynka w długiej spódnicy i swetrze, który wyszedł z mody wieki temu, oraz w małym kapelusiku na czubku głowy.

Najwyższy z grupki zwrócił się do Babe Rutha: - Złaż z boiska, grubasie!

Matt zmarszczył brwi, a Leif wstał, żeby się lepiej przyjrzeć awanturnikom. Ty Cobb zaczął biec w stronę trybun, wykrzykując wyzwiska pod adresem awanturników. Jego głos był ledwo słyszalny.

- Coś mi tu nie pasuje - powiedział Matt. - Nie powinniśmy byli usłyszeć tego faceta na trybunach.

A jednak drwiący głos niósł się echem po stadionie - jakby wysoka postać na trybunach przejęła kontrolę nad systemem nagłaśniającym. A to przecież niemożliwe - czyżby...?

Matta czekała jeszcze większa niespodzianka. To, co następnie zrobiła czwórka z trybuny, było zupełnie niewiarygodne. Sięgnęli pod siedzenia i wyjęli stamtąd broń - duże masywne pistolety maszynowe... co dziwniejsze broń była równie przestarzała, jak kostiumy, które mieli na sobie. Matt widział kiedyś w holograficznej encyklopedii pistolet maszynowy *Thompson*, ale jego zdaniem broń była ciężka i nieporęczna. Tymczasem cztery postacie na trybunach radziły sobie z nią z taką łatwością, jakby była leciutka jak piórko. Broń wydała z siebie grzmiący dźwięk, gdy napastnicy zaczęli ostrzeliwać boisko i ścinać z nóg holograficznych graczy.

Joe DiMaggio nie prześcignął wirtualnej kuli z pistoletu maszynowego. Nie udało się to również Willieemu Maysowi ani Robertowi Clemente. Ty Cobb też został trafiony i padł na murawę. Najwyższy ze strzelców nie zwracał uwagi na cele znajdujące się najbliżej niego.

Polował na Babe'a Rutha i wreszcie udało mu się. Pałkarz Jankesów upadł na plecy w niezgrabnym tańcu śmierci.

Po boisku przetoczył się rubaszny śmiech. - Łatwizna! - parsknął śmiechem wysoki strzelec. - Cel był taki duży!

Muszą być postaciami holo, przekonywał Matt sam siebie. Magazynek w tych pistoletach maszynowych nie mogą mieścić więcej niż sto naboju. A oni wystrzelali co najmniej dwa razy tyle.

Holo czy nie, kwartet przestępców wymiatał ludzi ze stadionu. Trybuny w kształcie wielkiej litery V pustoszały, ponieważ prawdziwi i holograficzni widzowie zerwali się z miejsc, żeby uciec z linii ognia. Wystraszeni ludzie zatarasowali schody i przejścia między trybunami, przepychając się między sobą w panicznej ucieczce.

Matt wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu, patrząc na uciekający w popłochu tłum. - Paru idiotów skręci sobie karki próbując się w panice wydostać z tego małego laserowego pokazu... - zaczął.

Wtedy zauważył sylwetki ludzi leżące bezwładnie na siedzeniach w ostrzeliwanym sektorze.

Odwrócił się nagle zaniepokojony. - Leif... - zaczął.

Jego holograficzny przyjaciel stanął na fotelu, żeby lepiej widzieć zamieszanie na trybunach. Stał tak niczym tarcza strzelnicza, dopóki hologramowa kula nie przebiła mu klatki piersiowej.

Leif spadł z siedzenia z otwartymi szeroko oczami i ustami rozwartymi w niemym krzyku. Upadł niezbyt realistycznie, bo bezszelestnie - przemknęła Mattowi myśl przez głowę. Prawdopodobnie wynikało to z przeładowania systemu symulacji VR na stadionie z powodu całego zajścia. Matt pośpiesznie podniósł się, krzycząc: Wszyscy, którzy są w VR - odłączcie się! Uciekajcie stąd!

Holograficzne projekcje kilku jego przyjaciół i wielu obcych w jego pobliżu zniknęły w okamgnieniu. Matt ledwo to zauważył. Całą uwagę poświęcał teraz rannemu przyjacielowi - Leifowi. Na jego ciele nie było widać rany postrzałowej, niemniej Leif nie był w najlepszej formie.

Twarz zrobiła mu się woskowa i biała jak ściana. Miał szeroko otwarte, wpatrzone w przestrzeń oczy, ale na pewno nie był przytomny. Jego źrenice skurczyły się do wielkości główek od szpilki.

Matt rozpoznawał te symptomy. Szok był typową reakcją na fizyczny lub psychiczny wstrząs. Do tego dochodziły problemy z systemem nerwowym, spowodowane niewłaściwym

funkcjonowaniem implantów komputerowych.

Podstawowe szkolenie w oddziale Zwiadowców Net Force obejmowało pełen kurs udzielania pierwszej pomocy. Niestety Matt w żaden sposób nie potrafił pomóc przyjacielowi. Leif w rzeczywistości znajdował się ponad trzysta kilometrów dalej. Matt nie mógł już nawet wyczuć pulsu przez słabnące połączenie VR.

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z niej portfel. Po odsunięciu na bok dokumentów i karty kredytowej Universal, ukazał się pokryty folią blok klawiszy. Matt włączył go i wcisnął funkcję „telefon”. Giętki zespół obwodów elektrycznych ukryty pod twardą polimerową powłoką przekształcił się w zakodowany w pamięci urządzenia format telefonu komórkowego.

Matt szybko pomodlił się w duchu i przyłożył telefon do ucha. Jest sygnał połączenia! Bał się, że nie uda mu się wejść na linię ze względu na zakłócenia w systemach na stadionie.

Najpierw sprawa najważniejsza: wystukał numer kierunkowy East Side na Manhattanie, a następnie numer domowy Leifa. - No dalej! - mruknął do siebie, słuchając elektronicznych sygnałów. Wreszcie dostał połączenie, ale nikogo nie było w domu.

- Nie możemy odebrać twojego telefonu - zabrzmiał w uchu Matta miły kobiecy głos. To system komputerowy Andersonów oferował mu opcje poczty elektronicznej.

Matt rozłączył się i poczekał na sygnał, a następnie zaczął wybierać kolejny numer. Tym razem krótszy - kod miejski Nowego Jorku, a potem 911.

- Służby ratownicze - odezwał się komputerowy głos.

- Alarm medyczny - odezwał się Matt, starając się wyraźnie wymawiać słowa. Podał adres i numer mieszkania Leifa.

- Poszkodowany jest sam i znajduje się w szoku, prawdopodobnie został uszkodzony implant pod ośrodkiem podkorowym oraz połączenia neuronowe.

Matt aż wstrzymał powietrze. Zaledwie kilka minut temu żartował z Leifem na temat marnowania szarych komórek na bezużyteczne wiadomości. A teraz Leif naprawdę mógł stracić szare komórki, jeśli odniósł poważne obrażenia podczas tego tajemniczego zdarzenia.

Wirtualny Leif nie poruszał się ani nie odzywał. Jego projekcja holograficzna zamazała się, po czym zupełnie zniknęła.

Komputerowy głos został zastąpiony przez żywą osobę, która poprosiła o więcej informacji. Matt starał się udzielać jak najpełniejszych odpowiedzi i dodał jeszcze jedną informację w nadziei, że przyspieszy ona nadejście pomocy. - Leif jest członkiem oddziału Zwiadowców Net Force, ja też. - Po czym podał z pamięci swój numer identyfikacyjny Zwiadowcy Net Force oraz numer do telefonu w portfelu.

To przynajmniej trochę pomoże Leifowi, pomyślał, przerywając połączenie z Nowym Jorkiem. Wybrał numer lokalnych służb ratowniczych. Pewnie policja w Baltimore odbierała teraz setki telefonów z informacją o dziwnym wirtualnym ataku. Jedna więcej nie zaszkodzi, pomyślał Matt. Być może jego telefon przekona lokalną policję, że nie padli ofiarą zakrojonego na szeroką skalę kawału.

Znów składał raport skomputeryzowanemu systemowi poczty głosowej. Jasna sprawa, pomyślał. Do służb ratowniczych musi dzwonić mnóstwo ludzi. Postarał się, żeby jego informacja była zwięzła i zawierała wiadomość o Zwiadowcach Net Force, po czym rozłączył się.

Co przeoczył, kiedy próbował wezwać pomoc? Złowroga Czwórka wciąż stała u szczytu siedzeń, zasypując boisko i trybuny gradem kul. Matt poczuł się niewyraźnie, kiedy wirtualna kula przeszła jego rękę, ale wyglądało na to, że ten wirtualny atak mógł uczynić krzywdę tylko widzom połączonym z systemem symulacyjnym stadionu.

Nagle na opustoszałych trybunach pojawiły się uzbrojone postaci.

Obserwatorzy policyjni, domyślił się Matt. Zjawili się w formie holograficznej, żeby zorientować się w sytuacji.

Nikt ich nie ostrzegł przed wirtualnymi kulami?

Może myślą, że ich wirtualne uzbrojenie sobie poradzi... ale się mylą.

Kilku obserwatorów policyjnych zostało trafionych. Wszystkie pozostałe projekcje zamigotały i zniknęły.

Matt słyszał syreny zbliżające się do stadionu. Na niebie pojawiły się policyjne śmigłowce. Po niemal opustoszałym boisku przetoczył się śmiech wysokiego gangstera. Wycelował swój wirtualny pistolet maszynowy w niebo, ale holograficzne naboje nie czyniły żadnej szkody prawdziwej policji.

- No dobra, ludzie - odezwał się strzelec w garniturze w prążki przez system nagłaśniający. - Przedstawienie skończone.

Jego śmiech oraz hałas dobywający się z zabytkowych pistoletów maszynowych urwał się nagle jak ucięty nożem.

W tym momencie napastnicy zniknęli.

Kimkolwiek są, mają do dyspozycji doskonały system, pomyślał Matt. Rozpłynęli się w powietrzu jak kamfora...

Portfelowy telefon Matta zadzwonił kiedy na stadionie pojawił się oddział policji z Baltimore. I choć na linii były zakłócenia Matt rozpoznał głos. Był to kapitan James Winters, łącznik Zwiadowców z Net Force. Winters był agentem terenowym w czynnej służbie, kiedy przyszedł mu do głowy pomysł utworzenia oddziału Zwiadowców Net Force. Traktował ich jak swoich żołnierzy, na równi z marines, którymi dowodził podczas wybuchu ostatniego konfliktu na Bałkanach.

- Lokalna policja skontaktowała się z nami, gdy zorientowali się, że w grę wchodzi ludzie z Sieci - powiedział. - Wkroczyłem do śmigłowca, kiedy tylko usłyszałem, że tam są moi ludzie.

Matt uśmiechnął się szeroko do słuchawki. Cały kapitan - Zwiadowcy Net Force to Jego ludzie”.

- Macie być gotowi do pełnej współpracy z baltimorską policją - powiedział Winters.
- Przyda im się relacja z tych wydarzeń zdana przez wyszkolonego obserwatora.

To też jest typowe dla kapitana, pomyślał Matt. Od swoich ludzi oczekuje najlepszych wyników.

- Tak jest, sir - powiedział do słuchawki.

- Zgodnie z planem za parę minut wylądujemy. Spotkamy się w komisariacie, w którym będziecie składać zeznania.

- Przekażę to reszcie, sir.

- Dobrze. Bez odbioru.

Połączenie zostało przerwane. Matt przekazał kolegom polecenia kapitana. Kiedy podawał im instrukcje, ponownie zadzwonił telefon.

Całe szczęście, że nie zmieniłem ustawienia, pomyślał.

- Matthew Hunter? - zagrział w słuchawce oficjalny ton. - Mówi sierżant Den Burgess z departamentu policji w Baltimore. Poinformowano nas, że znajduje się pan wraz z innymi Zwiadowcami Net Force na stadionie. Może pan podać nam swoje położenie?

- Wciąż jesteśmy na trybunach. - Matt zasłonił dłonią mikrofon telefonu i odwrócił się do swoich kolegów. - Stańcie na siedzeniach i pomachajcie rękami. - Znów odezwał się do słuchawki. - Sierzancie? Powinien pan zauważyć małą grupkę ludzi, którzy stoją na siedzeniach i machają rękami - to właśnie my.

- Widzę was - powiadomił go po chwili policjant. - Spodziewajcie się mnie za kilka minut. - Ponownie połączenie zostało przerwane i Matt schował portfel do kieszeni.

Policja zajęła się przede wszystkim wyprowadzeniem tłumu ze stadionu i identyfikacją poszkodowanych holoform, które pozostały na stadionie. Jednocześnie w stronę Matta i jego przyjaciół przeciskał się między siedzeniami mały oddział umundurowanej policji. Prowadził go wysoki, czarny mężczyzna z naszywkami sierżanta na koszuli z krótkim rękawem, sprawiający wrażenie osoby kompetentnej. - Jestem Burgess - oznajmił. - Który z was to Hunter?

- To ja - powiedział Matt, robiąc krok do przodu.

- Wygląda na to, że wasza grupa nie poniosła strat.

Matt pokręcił głową. - Kilku z nas było w holoformach. Jeden został trafiony wirtualnym nabojem.

Burgess spojrział na niego z niepokojem. - Czy on...?

- Mam nadzieję, że wszystko z nim w porządku - odparł Matt. - Jest w Nowym Jorku. Zadzwoń tam do służb ratowniczych, nic więcej nie mogłem zrobić. Reszcie grupy nic się nie stało. - Spojrział na sierżanta. - Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Burgess skinął głową. - Ja też nie, synu.

Sierżant zabrał Matta i jego przyjaciół na najbliższy komisariat policji, gdzie wszyscy zdali relację ze zdarzenia, opisując je najdokładniej jak potrafili. Matt wiele przegapił, kiedy zajmował się Leifem. Sierżant Burgess pokiwał głową, słysząc opis symptomów szoku. - To samo przytrafiło się wszystkim w VR, którzy zostali trafieni - powiedział.

- Słyszałem, że ludziom przytrafiają się szoki implantowe - powiedział Matt. - Ale wydawało mi się, że one mają miejsce tylko w przypadku symulacji na małą skalę, kiedy człowiek traci rozeznanie w tym co wirtualne, a co rzeczywiste.

- Orientacja w otoczeniu odgrywa większe znaczenie w obrażeniach wirtualnych niż się powszechnie uważa - odezwał się znajomy głos.

Matt odwrócił się i zobaczył kapitana Wintersa, który pojawił się przy biurku sierżanta. Pokazał Burgessowi swój identyfikator Net Force. - Byłem na górze w centrum operacyjnym, które wasi ludzie tu zorganizowali. Dostarczymy śmigłowcami dodatkowy sprzęt techniczny i ludzi z obsługi medycznej.

Burgess przyjął tę wiadomość z ulgą. - Przyda nam się każda pomoc.

- Skończył pan już przesłuchiwać moich ludzi?

- Tak, sir - odpowiedział sierżant. - Przynajmniej mamy jakieś pojęcie o tym, co się tam stało. - Wzruszył ramionami. - Ale czy uda nam się złapać ludzi odpowiedzialnych za całe zajście...

Winters skinął głową. - To nas wszystkich przyprawi o ból głowy. - Dał Mattowi

znak, że wychodzą. - Przydzielili mi na górze gabinet. - Na jego twarzy pojawił się wyraz zgorzknienia. - Choć wątpię, żebym mógł tutaj cokolwiek zrobić.

- Wciąż nie mogę zrozumieć, jak to się stało, panie kapitanie - powiedział Matt. - Czy w przypadku symulacji na dużą skalę nie stosuje się blokad bezpieczeństwa, dzięki którym można wyłączyć system, zanim ludzie odniosą jakiegokolwiek obrażenia?

- Stosuje się - przyznał ponurym tonem Winters. - Niestety wygląda na to, że jakiemuś niedocenionemu geniuszowi udało się opracować cudowny program, który potrafi złamać system kodów bezpieczeństwa. Jedyne jasne strona w tej sprawie to taka, że program jak na razie nie jest stosowany przez terrorystów ani pospolitych przestępców.

Matt zatrzymał się gwałtownie, wpatrując się zdziwionym wzrokiem w Wintersa, który nadal wchodził po schodach. - Pana zdaniem to, co się dzisiaj stało, nie było przestępstwem?

- Ależ było - powiedział Winters, nie zatrzymując się. - To było łamanie prawa na dużą skalę. Tyle tylko, że nie stoją za tym prawdziwi przestępcy. Zrobiły to dzieciaki.

- Dzieciaki? - powtórzył Matt, wspinając się po schodach za Wintersem.

- Nastolatki - ciągnął kapitan. - Jest ich czwórka. Od jakiegoś czasu rozrabiają w VR na terenie Waszyngtonu i okolic. Przejmują systemy na odległość, niszczą ich układy, bez względu na to czy są one przeznaczone do pracy, czy rozrywki. Niszczą komputery i ranią ludzi, którzy są do nich w tym czasie podłączeni. Poszkodowani doznają szoku - takiego samego jakiemu uległ Leif Anderson.

Winters przerwał na chwilę. - A tak przy okazji, kontaktowałem się ze służbami ratowniczymi w Nowym Jorku. Dzięki twojej szybkiej reakcji stan Leifa ustabilizował się.

Matt wyprostował się, jakby ktoś zdjął mu z ramion wielki ciężar. - Bardzo się cieszę - powiedział. - Ale jakim sposobem ten gang włamuje się do systemu, a potem z niego znika?

Kapitan pokręcił głową. - Szczerze mówiąc - nie wiemy. Kiedy wynoszą się z danego systemu, jest on praktycznie zniszczony. Sądzymy, że to dzisiejsze małe przedstawienie było w rzeczywistości testem, mającym na celu przekonanie się, czy uda im się zdemolować duży system. - Ruszył korytarzem. - Jeśli tak, to ich test zakończył się sukcesem. Większa część pamięci systemu Camden Yards została kompletnie zniszczona.

- Na stadionie były ekipy HoloNet, które miały transmitować mecz - powiedział Matt. - Musieli nagrać obraz tych ludzi.

- Nagrali - warknął Winters, otwierając drzwi do gabinetu. W powietrzu nad biurkiem systemowym unosiły się hologramy czterech głów.

Matt rozpoznał je wszystkie. - Ten najwyższy z okrągłą twarzą f dużymi uszami -

tylko on się odzywał.

- Zabrało nam to trochę czasu, ale w końcu dopasowaliśmy kartoteki kryminalne - powiedział Winters.

- Świetnie!

Kapitan pokręcił głową. - Znaleźliśmy zdjęcie pochodzące z płaskiego filmu, nakręconego ponad sto lat temu - w 1934 roku. Ta twarz należała do Johna Dillingera³.

- Maski - powiedział Matt z niesmakiem. Czasem ludzie wykorzystywali cudze twarze - nawet ciała - w rzeczywistości wirtualnej. W początkowej fazie rozwoju tej technologii maski były bardzo modne. Ludzie projektowali całe mnóstwo różnych stworów, pod maską których pojawiali się w Sieci. Ale dziwaczność nie sprawdziła się, kiedy Net stał się bardziej miejscem pracy nie rozrywki. Moda minęła i masek używano teraz tylko w osobistych VR, grach i symulacjach historycznych.

Matt słyszał, że niektórzy ludzie posługiwali się ulepszonymi wersjami własnych ciał na wirtualnych spotkaniach w interesach. Gwiazdy holo również poprawiały nieco wygląd podczas swoich występów. Jednak nikt nie nosił maski publicznie - a już na pewno nie podczas symulacji hologramowej na otwartym powietrzu!

- Ci ludzie muszą być dziwaczni, a raczej ekscentryczni - poprawił się. - Bogacze są ekscentryczni i mają wystarczająco dużo pieniędzy, żeby coś takiego zorganizować. Nie wspominając już o tym, że muszą być komputerowymi geniuszami.

- Rzeczywiście, mają pokręcone poczucie humoru. Zidentyfikowanie tej twarzy trwało nieco dłużej. - Winters wskazał na twarz z wąsami i cofniętą brodą. - To doktor Crippen. Stracony w roku 1910 za morderstwo w Wielkiej Brytanii.

Wskazał ręką na dwie pozostałe twarze. - Ci dwoje to nie przestępcy.

Matt wpatrywał się w roześmiane rysy szczupłej twarzy ciemnowłosego mężczyzny i uśmiechniętej młodej kobiety o twarzy w kształcie serca.

- Kim oni są?

- To aktorzy. Warren Betty i Faye Dunaway około roku 1967, kiedy nakręcili płaski film gangsterski pod tytułem „Bonnie i Clyde”.

Matt nie mógł się powstrzymać i zachichotał.

- Jasne - powiedział rozzłoszczony Winters. - To tylko dzieciaki, które dokazują. Tylko że skrzywdzili wiele osób.

³ Amerykański gangster, ogłoszony przez FBI Wrogiem Publicznym Numer Jeden. Zginął w strzelaninie w 1934 roku [przyp. red.].

Uśmiech zniknął z twarzy Matta. - Znalazł pan jakieś informacje na ich temat?

Kapitan przecząco pokręcił głową. - Wprowadziliśmy do Sieci naszych najlepszych prowokatorów on-line, ale na razie bez żadnych rezultatów.

Matt przyglądał się uważnie czterem fałszywym twarzom, które miał przed oczami. - Nawet najlepszy dorosły agent nie jest w stanie idealnie udawać nastolatka - powiedział. - Będzie pan potrzebował dzieciaka, żeby złapać te dzieciaki.

Wskazał kciukiem na siebie. - Myślę, że ja jestem tym dzieciakiem.

Następnego dnia rano w poniedziałek zaczął się szkolny tydzień. Zazwyczaj Matt z najwyższym trudem podnosił się z łóżka. Tego dnia natomiast zdążył wstać, wziąć prysznic, ubrać się i zjeść śniadanie na tyle sprawnie, że na przystanek autobusowy szedł spacerkiem. Cały czas opracowywał w głowie różne plany działania. Matt uczęszczał do Akademii Bradford, jednej z najbardziej prestiżowych szkół średnich w Waszyngtonie i okolicach. Dostał się do niej dzięki stypendium, ale większość uczniów to były zdolne, bogate dzieciaki. Jeśli wirtualni wandale nie uczęszczali do Bradford, to Matt gotów był się założyć, że ktoś w kampusie musi ich znać.

Zatrzymał autobus machnięciem ręki, wsiadł i przeciągnął kartą kredytową Universal przez system komputerowy⁷ obsługujący autobus.

- Proszę podać przystanek docelowy - odezwał się komputer.

Matt podał skrzyżowanie ulic najbliższej Akademii Bradford, usiadł i wrócił do zamartwiania się problemem, który przed sobą postawił.

Musi w jakiś sposób dostać się w kręgi szkolnej elity towarzyskiej - Litów, Ważny h Ludzi w kampusie, tych, których za każdym razem wybierano do samorządu szkolnego i którzy grali główną rolę na potańcówkach. Matt znał kilkoro z nich - tych bystrzejszych - ze swojej klasy. Przywołał w myślach ich listę. Czy któryś z tych dzieciaków mógł się skrywać za maską wymachującą pistoletem maszynowym, którą widział wczoraj? Trudno mu było w to uwierzyć.

Ale w Bradford uczyło się mnóstwo bogatych dzieciaków, które miały tyle pieniędzy, że stać je było na najlepszy sprzęt komputerowy i które były do tego stopnia znudzone, że rozglądały się za chorymi rozrywkami.

Autobus zatrzymał się. Matt wysiadł i przeszedł kilka przecznic dzielących go od Akademii Bradford. Na parkingu gromadziły się już połyskliwe, luksusowe samochody - na takie drogie zabawki mogą sobie pozwolić tylko dzieciaki, które chodzą do tej szkoły.

Przy bocznym wejściu sta oparty o ścianę Andy Moore i korzystał ze słabych jeszcze

o tej porze promieni słonecznych. Pogoda zmieniła się przez noc i poranek był wyjątkowo chłodny. Matt uśmiechnął się szeroko na widok mocno zaczerwienionej twarzy przyjaciela. Andy'ego rzeczywiście dopadło poparzeni: słoneczne.

- Nie wiem, po co tu jesteśmy - przywitał go Andy zrzędlwym głosem.

- Ustawa o Obowiązkowy Edukacji z 2009 roku - odpowiedział Matt, przypominając sobie swoją pracę domową z wychowania obywatelskiego. - Musimy zostać w szkole do ukończenia osiemnastego roku życia.

- To spisek - powiedział Andy złowróźnie. - Równie dobrze mogliby nadawać lekcje za pośrednictwem Sieci. Mógłbym sobie siedzieć tera w moim łóżku w samych szortach, jeść wegetariańskie ciasteczka i przygotowywać się na przywitanie nowego dnia.

- Jeśli to dwustronne połączenie, to prawdopodobnie byłoby sprzeczne z Ustawą o Okrucieństwie wobec Nauczycieli z 2010 roku.

Andy wzruszył ramionami. - Być może. - Zaraz jednak rzucił Mattowi podejrzliwe spojrzenie. - Hej! Nie przypominam sobie żadnej Ustawy o Okrucieństwie wobec Nauczycieli.

- No dobra, zmyśliłem - odparł Matt. - Pewnie masz rację, że wysyłanie nas do szkoły to prawdopodobnie powszechny spisek, oddający nas w ręce nianieł, żeby starzy, którzy chodzą do pracy, wiedzieli, że ktoś pilnuje ich dzieciaków.

- A starym, którzy pracują w domu, zdjąć problem z głowy - dokończył Andy.

- Myślę, że uczyimy się czegoś więcej niż matmy, angielskiego i nauk o społeczeństwie - powiedział Matt. - W szkole stykamy się z różnymi ludźmi i musimy się nauczyć współżycia z nimi. W innym wypadku nadawalibyśmy się wyłącznie do VR i interfejsu z komputerami autobusowymi.

Andy się roześmiał. - Mam nadzieję, że kiedyś będzie mnie stać na całkowicie zautomatyzowany samochód.

Drzwi do szkoły otworzyły się i Matt, Andy oraz reszta uczniów zgromadzonych przed szkołą pośpieszyła korytarzami do swoich klas, w których odbywały się zajęcia. Matt załogował się do jednego z komputerów na biurku, podając swój numer identyfikacyjny, który automatycznie potwierdzał jego obecność i wywoływał dzienny rozkład zajęć.

Dobra nasza, pomyślał. Nie ma przydzielonych z zaskoczenia nauczycieli. Szkoła w Bradford, jako szanowana instytucja oświatowa, przyciągała wykładowców z całego świata prowadzących gościnnie zajęcia. Byli to nauczyciele akademicy, pracownicy oświaty analizujący funkcjonowanie szkoły, a nawet słynni absolwenci. Ten dzień jednak wyglądał raczej zwyczajnie - prócz prośby ze strony historyka, żeby po zajęciach Matt poszedł się z

nim zobaczyć.

Nie zmartwił się tą wiadomością. Lubił doktora Fairlie'a i dobrze sobie radził na jego zajęciach. Poza tym obecnie miał większe problemy.

Włączając urządzenia wbudowane w ławkę Matt patrzył na uczniów siedzących obok niego. Andy zaczął już rozmowę na temat incydentu w Baltimore.

- Ja tam byłem - opowiadał swojej publiczności. - Nieźle namieszali! Znacie Leifa Andersona? Był tam w VR i dostał kulkę od jednego z tych idiotów!

- Słyszałem, że to banda dzieciaków wygłupiająca się w Sieci - powiedział Matt.

- Jeśli tak się wygłupiają, to nie chciałbym ich zobaczyć w akcji na serio - powiedział Lois Kearny.

- Właśnie - zgodził się Manuel Oliva. - To nie to samo, co zaprogramowanie szkolnych toalet, żeby we wszystkich naraz spuściła się woda.

Na rok przed ich przyjściem do Bradford jakiś nieznaną geniusz dokonał tej sztuczki. Władze szkolne nigdy nie znalazły winowajcy - oficjalnie. Jednak szkoła otrzymała olbrzymią anonimową dotację, pewnie dokonaną przez rodziców żartownisia, którzy w ten sposób pokryli koszty wynikłe z naprawy szkód spowodowanych zalaniem.

- Słyszeliście może o kimś, kto rozrabia w Sieci? - spytał mimochodem Matt.

Odpowiedzi, które otrzymał, rozczarowały go. Same drobne sprawy, jak ta dotycząca kogoś, kto chciał wysłać liścik miłosny i przez pomyłkę wysłał go pocztą elektroniczną do wszystkich w szkole.

- Słyszałem, że ktoś włamał się do komercyjnych symulacji rozrywkowych - powiedział Manuel Oliva.

- Odpłatne-za-każdą-przygodę - skrzywił się Lois, któremu to nie zaimponowało.

- Te są wyjątkowe, dla dorosłych - ciągnął Mannie.

- Wygląda na maniaka komputerowego w poszukiwaniu prawdziwego życia - zawyrokował Andy.

- Który szuka nie tam, gdzie trzeba - poparł go Matt.

Resztę dnia Mattowi zajęła rutyna szkolnego życia. Za sprawą doktora Fairlie otrzymał nieoczekiwane wsparcie w swoim dochodzeniu. Kiedy Matt przyszedł na ostatnie tego dnia zajęcia - z historii - spotkał przed drzwiami kolegę z klasy. Był to Sandy Braxton, jeden z Litów - skrót od „elity”.

Doktor Fairlie wezwał ich do siebie, kiedy pozostali uczniowie wypadli w pośpiechu z klasy.

- Wiecie, że dużą część waszej oceny z historii amerykańskiej stanowi ocena za projekt badawczy. Wyznaczam was obydwu do współpracy. Macie ten sam temat - bitwa pod Gettysburgiem.

- Studiowałem trochę szarżę Picketta - powiedział z ożywieniem Sandy. - Generała konfederatów, który przełamał linie unionistów atakując oddziały dowodzone przez jego byłego najlepszego przyjaciela.

- Interesujący początek, panie Braxton - zauważył doktor Fairlie. - Niestety, pańskie wypracowania znane są raczej z efektownych efektów komputerowych, niż klarownej treści. - Nauczyciel spojrzał na Matta. - Pan Braxton nie jest pisarzem. To zadziwiające, ale udało mu się dojść do trzeciego roku w akademii, choć nie jest w stanie zebrać swoich myśli w spójną całość.

Matt znał przyczynę takiego stanu rzeczy. Prawdopodobnie Sandy Braxton sądził, iż nie musi trudzić się porządkowaniem swoich myśli. Kiedy skończy szkołę, będzie w stanie wynająć każdego eksperta od spraw organizacyjnych do pomocy w prowadzeniu rodzinnego interesu - to znaczy, z tego co Matt orientował się, miał na własność około połowę stanu Wirginii.

Nauczyciel mówił dalej: - Pana wypracowania z kolei, panie Hunter, to wzory klarowności. Może będzie pan w stanie udzielić panu Braxtonowi kilku pomocnych wskazówek.

Szczerze mówiąc, Matt nie miał pojęcia czego - jeśli w ogóle to możliwe - będzie w stanie nauczyć Sandy'ego Braxtona. Ale Sandy mógł być przepustką Matta do Litów.

Wyciągnął rękę i powiedział: - Zabierajmy się do pracy, partnerze.

Po przyjsciu do domu Matt poszedł prosto do swojego pokoju i rzucił na biurko infozbiór wielkości około pięciu centymetrów kwadratowych. Matryca jego pamięci mieściła w sobie gigabajty informacji - zrzut danych Sandy'ego Braxtona na temat dwóch generałów wojny secesyjnej - Hancocka i Armistead. Stuknięcie wydawało się głośniejsze niż zazwyczaj w pustym domu. Tato był na zebraniu nauczycielskim, a mama jeszcze co najmniej przez półtorej godziny nie wróci z pracy w Departamencie Obrony.

Matt miał mnóstwo czasu na zrobienie tego, co sobie zaplanował.

Usiadł przy biurku w fotelu podłączonym do komputera, opierając głowę na zagłówku. Przez chwilę w jego uszach rozbrzmiewało coś na kształt bzyczenia - to receptory w fotelu Matta włączały się do zespołu obwodów elektronicznych umieszczonych pod jego skórą. Biurko zniknęło mu sprzed oczu i wszedł do osobistego VR, systemu operacyjnego jego komputera.

Matt ze skrzyżowanymi nogami dryfował po rozgwieżdżonym niebie. Przed oczami miał marmurową płytę, w której umieszczone były małe, żarzące się przedmioty - ikony, przedstawiające różne programy w jego komputerze. Matt wyciągnął palec i dotknął jaśniejącego neonowym niebieskim światłem telefonu wielkości trzech centymetrów. Podał numer telefonu do Leifa Andersona ledwie słyszalnym szeptem, a właściwie niewyraźnym mruknięciem, które jednak było wystarczające w VR. W sekundę później poczuł ukłucie sygnalizujące uzyskanie połączenia. Matt skomponował cichą wiadomość.

- Leif, tu Matt. Co byś powiedział na moje wirtualne odwiedzinny?

W powietrzu pojawił się napis złożony z ognistych liter.

WPADAJ!

Matt odsunął się od zminiaturyzowanego telefonu i wziął do ręki małą złotą błyskawicę, swoją ikonę wzajemnego połączenia. Znów wypowiedział szeptem numer Leifa i dodał komendę Wprowadź. Otoczenie straciło nieco na ostrości, kiedy wchodził do Sieci.

Teraz Matt leciał nad ogromnym miastem zalany światłem. Drapacze chmur w jednolitych, oślepiających kolorach przedstawiały główne korporacyjne węzły Sieci. Inne wirtualne budynki były szare, z różnokolorowymi świecącymi oknami - to małe przedsiębiorstwa i indywidualne sieci poczty elektronicznej. Jeszcze inne przedmioty dryfowały po czarnym jak smoła niebie. Matt przeleciał koło nich z taką prędkością, że zamazywały mu się przed oczami, ponieważ z góry ustalił swój punkt docelowy.

Pędził jak strzała po wirtualnym krajobrazie, aż dotarł do żarzącego się srebrnego

budynku i śmignął w kierunku piętra o oknach o czerwonym odcieniu - apartamentu rodziny Andersonów.

Zamrugał oczami, kiedy sięgnął ręką do wirtualnego okna i w następnej sekundzie znalazł się już w pokoju Leifa.

Znów zamrugał. Tego się nie spodziewał. Założył, że znajdzie się w osobistym VR Leifa, nie w prawdziwym świecie jako projekcja holograficzna. Pokręcił głową. - Nie wiedziałem, że twój pokój jest podłączony do pełno wymiarowej projekcji holo.

- Ach, to teraz najnowsza moda, jeśli twoich starych na to stać. - Leif wyglądałby lepiej, gdyby skrył się za wirtualną maską. Miał bladą i skrzywioną bólem twarz, chociaż siedział w dużym, wygodnym fotelu. Ubrany był w piżamę i szlafrok.

- Wciąż nie doszedłeś do siebie po tym postrzale, co?

Leif kiwnął głową i mrugnął z bólu. - Zdarzyło ci się kiedyś być w VR, kiedy program się nagle psuje?

- Jak każdemu. Zazwyczaj kończy się to na gigantycznym bólu głowy.

- Pomnóż to przez sto i będziesz miał pojęcie o moim samopoczuciu. Boli mnie nawet, kiedy słucham własnego głosu.

Leif westchnął i ostrożnie położył głowę na oparciu fotela. - Z moim implantem wszystko w porządku i lekarze mówią, że układ nerwowy nie uległ uszkodzeniu. Jedyne co mi dolega to... nadwrażliwość. - Skrzywił usta w niewielkim uśmiechu. - Żadnego VR dopóki neurony się nie uspokoją. A tutaj, w rzeczywistym świecie, cóż, moi starzy są zachwyceni. Żadnej głośnej muzyki, żadnych hologramów akcji z syrenami, wyścigów samochodowych i wybuchów. Słowem, żadnej przyjemności przynajmniej przez jakiś czas.

Rzucił Mattowi bystre spojrzenie. - W HoloNet nie znalazłem zbyt wiele informacji na temat tego, co zdarzyło się na Camden Yards. Trudno uwierzyć, że gliniarze nie wiedzą, co jest grane. Czy Net Force wyciszyło sprawę? O co chodzi? To terroryści?

- Małolaty - powiedział Matt. - Policja i Net Force nie mają pojęcia, kim są.

Przekazał Leifowi to, co usłyszał od kapitana Wintersa.

Leif zmarszczył brwi. - Jakim świram w ogóle przy-szłoby do głowy strzelać do hologramów graczy baseballowych na boisku? - Po chwili sam znalazł odpowiedź na postawione przez siebie pytanie. - Zepsutym, bogatym, chorym dzieciakom, szkodzącym ludziom dla zabawy, a nie dla zysku.

- Może to byli ludzie, którzy nienawidzą baseballu? - zasugerował Matt.

- Chodzi ci o fajtlapy, których nigdy nie wybierano do drużyny? - Leif pochylił się do przodu na swoim fotelu. - Mamy tu do czynienia z pieniędzmi i mózgami. A jeśli to bogate

dzieciaki z obszaru Dystryktu Columbia to powinienem je znać albo znam kogoś, kto je zna.

Leif znów zagłębił się w fotelu, zamknął oczy i westchnął. - Wiesz, byłbym idealnym kandydatem do odszukania tych wirtualnych wandalii - gdybym mógł wejść do Sieci.

Ponownie rzucił Mattowi uważne spojrzenie. - Bo ty ich szukasz, prawda?

Matt skinął głową. - Staram się, ale przydałaby mi się pomoc.

- Nie wątpię. - Leif nadal miał zmarszczone brwi, ale tym razem spowodował to wysiłek umysłowy. - Oznacza to, że będziesz musiał zadawać się z innym towarzystwem, niż to, do którego jesteś przyzwyczajony, mimo iż chodzisz do szkoły dla bogatych dzieciaków.

Matt się roześmiał. - Jak brzmi to stare powiedzonko? „Bogaci są inni”?

Ale Leif nie podzielał jego rozbawienia. - Ich interesuje tylko, kto ma więcej pieniędzy albo lepsze znajomości w towarzystwie. Dlatego tak lubią dyplomatów - ci zazwyczaj mają i pieniądze, i układy. Zrób jakiś wyglup. a Departament Stanu wszystko zatuszuje.

- Myślisz, że któryś z tych wandalii może być dzieckiem dyplomaty? - spytał Matt.

- To możliwe - odparł Leif. - Nie ma to jak immunitet dyplomatyczny, żeby uczynić osobę kompletnie nieodpowiedzialną. - Spojrzał na Matta. - Ale to nie pomoże ci się wkupić w ich łaski.

Matt nagle pomyślał o Sandym Braxtonie i pomocy, jaką będzie mu służył.

- Hej! Ty też jesteś bogatym dzieciakiem - powiedział Matt. - Dość ostro najeżdżasz na swoich.

- Spotkałem na swojej drodze wielu snobów - powiedział uprzejmie Leif. - Dobrze ich znam. Posługując się innym starym powiedzonkiem: „Bliskość rodzi pogardę”.

Myślał przez chwilę i powiedział: - Komputer! Rozpoznaj w celu odebrania ustnych poleceń.

- Głos rozpoznany jako Leif Anderson. - Odpowiedź komputera była bardzo cicha, a mimo to zdawała się wypełniać cały pokój.

- Transfer pliku. Maska. „Maxim” kropka com. Zikonuj. - Leif odwrócił się do Matta. - Daj rękę, stary.

Kiedy Matt wyciągnął hologram ręki, pojawiła się na niej mała figurka szachowa. Był to mniej więcej trzy-centymetrowej wysokości pionek zrobiony z ruchomych jęczyczków czerwonego ognia.

- To program, który będziesz mógł wziąć ze sobą przez Sieć - wyjaśnił Leif. - Wprowadź go do swojego komputera, a dostaniesz współrzędne i hasło do bardzo szczególnego węzła Sieci - do wirtualnego klubu dyskusyjnego.

- Świetnie - mruknął lekko zawiedziony Matt.

- Mówię ci, że jest wyjątkowy - powiedział Leif. - To klub dla młodych, pięknych i bogatych. Nikt nie pokazuje się tam ze swoją twarzą. Wszyscy korzystają z masek - im dziksze, tym lepiej. - Przerwał na chwilę. - To jest właśnie reszta programu. Opracowałem dla siebie nową maskę, coś co przyciągnie uwagę ludzi, którzy tam przychodzą.

Matt patrzył zdumiony na swojego przyjaciela. - Bywasz w tym klubie?

Leif roześmiał się, ale w tym śmiechu nie było ani śladu wesołości. - Jasne. Ja też lubię przebywać w towarzystwie bogatych dzieciaków, nawet jeśli to oznacza, że muszę wzbudzić ich zainteresowanie i dostarczyć im rozrywki.

Po powrocie przez Sieć do domu, Matt odrobił pracę domową, a potem zjadł obiad. Dopiero wtedy ponownie wszedł do Sieci i sięgnął po wirujący czerwony pionek. Kiedy program maski zaktywizował się, Matt przywołał wirtualne lustro, żeby się przekonać, jak wygląda.

Co jest? Jakiś żart, czy co? Program Leifa przekształcił go w rysunkowego ludzika naszkicowanego kilkoma kreskami - z rodzaju tych, którym za oczy służą dwie maleńkie kropczki, za usta zaś kreseczka. Matt, a właściwie ludzik zaczerwienił się ze wstydu.

Czy Leif naprawdę zamierzał udać się do klubu dyskusyjnego pod taką maską?

Matt zastanawiał się nad tym przez chwilę. Ludzik rzeczywiście dawał mu doskonałe przebranie. A jeśli Leif się nie mylił, to przebranie powinno przyciągnąć uwagę innych. Matt postanowił zaryzykować. No i co z tego, że może skończyć imprezę czując się jak ostatni idiota? Zawsze może się odłączyć i nikt się nawet nie dowie, że to był Matt Hunter.

Spojrzał na siebie i zobaczył, że już nie jest czerwony. Wirtualną ręką sięgnął po swoją złotą błyskawicę. Drugą ręką wziął czerwony pionek z zaprogramowanym adresem i hasłem dostępu.

Podał prawie niedosłyszalnym szeptem komendę: - Wprowadź.

W szaleńczym pędzie podróżował po neonowym miejskim krajobrazie Sieci, kierując się na nie odkryte przez niego dotąd obszary. Wirtualne budynki były tu swobodniej rozplanowane, ponieważ otaczały je strefy ochronne. Matt dopiero w pewnym momencie zdał sobie z tego sprawę. Niewątpliwie ich twórcy solidnie przyłożyli się do projektów. Przemknął obok czegoś, co wyglądało jak neonowy cmentarz i świecąca kopia zamku Drakuli. Wreszcie zatrzymał się przed czerwono-złotą bramą i stanął oko w oko z olbrzymią postacią pozbawioną rysów twarzy. Szybko podał poznane wcześniej hasło. Nie miał specjalnej ochoty dowiadywać się, jak ta groźna świetlna postać rozprawia się z intruzami.

Świecący dozorca błysnął i przemienił się w wysokiego chudego mężczyznę ubranego w staromodny smoking - wyglądał dokładnie tak jak kierownik sali w bardzo drogiej restauracji.

- Proszę za mną, sir lub madam. - Matt zauważył, że maitre d'hotel mówi z francuskim akcentem.

Wszedł przez bramę i znalazł się w pomieszczeniu, z rodzaju tych, które do tej pory widywał jedynie w holo. Znalazł się w przestronnej sali umeblowanej w stylu ostatnich lat XIX wieku. Wyglądało na to, że wszystko jest czerwone albo złote - czerwona satynowa tapeta, luksusowe czerwone aksamitne draperie i tapicerka. Kolumny z połyskującego złotawo mosiądzu. Łoże również ozdobione były złotymi wykończeniami. Nawet płomień staroświeckich lamp gazowych miał złoty poblask.

Część sali zajmowała restauracja, gdzie wokół stolików uwijali się ubrani na czarno kelnerzy. W innej części znajdowało się kasyno. Mała orkiestra przygrywała dawną muzykę dla prawie pustego parkietu.

Jednak większą część ogromnej przestrzeni zajmował ogromny czerwono-złoty dywan, po którym spacerowały przeróżne postaci, czasem jedynie się mijając, innym razem rozmawiając ze sobą.

Matt zorientował się, że zwyczajnie się gapi. Po jednej stronie zobaczył ogromnego czerwono-złotego robota, który głową prawie dotykał sufitu, wysokiego na piętnaście metrów. Ludzie stali na jego (jeśli to był on) wyciągniętej dłoni i gawędzili ze sobą. Obok przeleciał superman w stroju tak obcisłym, że eksponował każdy mięsień jego ciała. Tuż za nim pojawiła się absolutnie realna żaba, z tą tylko różnicą, że kiedy stanęła pionowo, miała dobre dwa metry wzrostu.

Minęła go następna postać - Matt rozpoznał w niej bohatera kreskówek. A za nim zobaczył coś jeszcze bardziej niesamowitego: ludzką czaszkę w płomieniach, unoszącą się w powietrzu mniej więcej na wysokości oczu.

No tak, pomyślał Matt, zdaje się, że nie będę się musiał przejmować, czy tu pasuję.

- Pierwszy raz u „Maxima”? - Usłyszał za plecami dziewczęcy głos.

Odwrócił się i zobaczył młodą blondynkę, która wyglądała, cóż, zwyczajnie - wyjąwszy fakt, że była bardzo piękna.

- Hm... tak - przyznał się Matt.

- Robisz się czerwony! - powiedziała ze śmiechem. - To urocze!

- Myślę, że to błąd w oprogramowaniu - powiedział zawstydzony Matt.

- Nie, to jest świetne - upierała się dziewczyna. - Jak nazywa się twoja maska?

- Ja nie... - zaczął Matt.

- No to nazwiemy cię Patyczak - powiedziała dziewczyna. - Ja jestem CC.

- Miło cię poznać, CC. - Matt wiedział, że zbyt się w nią wpatruje, ale twarz kobiety wydawała mu się znajoma. Nagle przypomniał sobie. To gwiazda opery mydlanej w HoloNet - Courtney Vance!

A raczej, upomniał sam siebie, to projekcja Courtney Vance. Kto wie, kto kryje się pod maską?

- Domyślam się, że przychodzisz tu dość często, bo nie wyglądasz na olśnioną tym wszystkim - powiedział Matt.

CC zaśmiała się, zawijając kosmyk blond włosów wokół palca o doskonale wypielęgnowanym paznokciu. - Chodzi ci o to, że nie staram się wymyślić jakiegoś oryginalnego przebrania, kiedy tu przychodzę?

W porównaniu z wydumanymi kostiumami pozostałych masek w „Maximie”, jej strój sprawiał miłe, swojskie wrażenie - miała na sobie dżinsy i sweter.

Wtedy Matt zorientował się, że znów wbija w nią wzrok. Gotów był przysiąc, że CC miała na sobie fioletowy sweter. Teraz wyglądał jakby był w kolorze granatowym. Nie, jasnoniebieskim, który w tym momencie przechodził w zielony. - Czy twoje ubrania przybierają wszystkie kolory tęczy? - spytał.

Dziewczyna znów roześmiała się. - To projekt prawdziwego swetra. Chodzi o jakieś mikrowłókna optyczne i fazowaną emisję.

- A co się stanie, kiedy wyczerpie się bateria? - spytał Matt.

CC obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem. - Pojęcia nie mam - przyznała się. - Może robi się przezroczysty?

- W takim razie dobrze, że nosisz go tylko w VR - powiedział Matt. - Najgorsze, co może ci się przytrafić, to sklasyfikowanie jako „tylko dla dorosłych” w holo.

- Nie, to jednorazówka, panie Patyczaku - odparła CC. - Jak człowiek pojawia się zbyt często w tej samej masce, ludzie zaczynają się domyślać, kim się jest. - Wskazała ruchem głowy dużego barbarzyńca ubranego jedynie w wilczą skórę. - To Walton Wheatley.

- „Trzcina” Walt? - wyrwało się Mattowi. Chłopak dostał to przezwisko, ponieważ był wyjątkowo wysoki i chudy.

- Znasz Walta? - zapytała CC. - W takim razie musisz chodzić do Bradford.

Jesteś tu po to, żeby zbierać informacje o tych ludziach, skarcił się w myślach, a nie po to, żeby udzielać im informacji.

- Tak - przyznał.

- Przychodzi tu mnóstwo ludzi z Bradford - powiedziała CC. - Chociaż wszyscy chcą, żeby brać ich za studentów z koledżu, a nawet za starszych. - Z grymasem na twarzy wskazała kciukiem na wysoką skąpo odzianą kobietę o rudych włosach.

- Opowie ci, że pracuje jako makler w swojej rodzinnej firmie, ale tak naprawdę chodzi do mojej klasy. To Pat Twonky.

Pat była w realnym świecie zwałistą dziewczyną o zgorzkniałym sposobie bycia. Matt rozumiał teraz, dlaczego ludzie trzymają się od niej z daleka.

Zdał sobie również sprawę, że w tym momencie CC zdradziła się przed nim z tym, że też chodzi do Bradford.

- Chyba powinienem ci podziękować za ostrzeżenie - powiedział Matt. - Ale odkrywanie masek innych to niebezpieczne hobby. Teraz ty przyciągnęłaś moją uwagę. Czy mam zaakceptować ten blond image, czy zacząć zastanawiać się, co się pod nim kryje? Może włosy blond to tylko twoje pragnienie, a tak naprawdę masz je w strąkach, a do tego w myszowatym kolorze.

- Fuj! - krzyknęła CC. Nieświadome wyrwała sobie kilka włosów i związała je w mały supełek. - Jak możesz tak mówić!

- Albo jesteś maniakiem komputerowym, który się tu wybrał, żeby się przekonać, jak żyje druga połowa ludzkości.

- Raczej jej dziesięć procent - poprawiła go CC. - Czy ty właśnie po to tu jesteś?

Matt zignorował przytyk. - A nawet - ciągnął - wcale cię nie ma! Może jesteś tylko symulacją komputerową, która ma wprowadzać nowo przybyłych gości w tajniki „Maxima”.

CC zacisnęła usta, ale i tak wygięły się w uroczy łuk. Matt ledwo dosłyszał jej śmiech.

- Jesteś okropny! - powiedziała. - I paranoiczny, skoro obawiasz się flirtu z symulacją.

- To mnie trzyma w realiach - odpowiedział Matt. - Cóż innego mi pozostało, skoro spotkałem dziewczynę, która wygląda świetnie bez względu na to, jakiego koloru jest jej sweter?

Rozpraszasz się, ostrzegł go cichy wewnętrzny głos. Mówisz rzeczy, których w rzeczywistości nie powiedziałbyś żadnej dziewczynie. Ale w przebraniu łatwo było płynąć z prądem i podjąć grę.

Za uśmiechniętą twarzą CC pojawiła się nowa postać - kolejny gość u „Maxima”. Była to wysoka kobieca postać całkowicie zasłonięta chmurą woalek.

Zawołowana kobieta minęła ich, po czym odwróciła się gwałtownie i stanęła twarzą w twarz z CC. - Hej! - Rozległ się rozzłoszczony głos. - Myślałam, że goście mają

przychodzić tu w maskach, nie jako sobowtóry.

- Zasady obowiązujące u „Maxima” mówią, że możesz się tu pojawić w takiej postaci, jaka ci się żywnie podoba - odcięła się CC.

- Pewnie jeszcze jedna pryszczata gówniara, która zastanawia się, jak to jest być ładną. - Matt nie mógł uwierzyć, jak wiele pogardy ta nieznajoma włożyła w słowo „ładną”. - Nie dość, że wstaję przed świtem, przez większą część wolnego czasu uczę się roli, to muszę jeszcze znosić to, że wszyscy naśladują moje uczesanie. Nie pozwolę, żeby jakaś bogata nieudacznica kradła mi twarz!

Matt przenosił osłupiały wzrok z jednej młodej kobiety na drugą. To musi być prawdziwa Courtney Vance i nie da się ukryć, że nie jest w najlepszym humorze.

CC była czerwona z zakłopotania i gniewu. - Ja to raczej nazywam pożyczką na jedną noc. A poza tym przyszłam jako Alicia Fieldston.

To postać grana przez Courtney, przypomniał sobie Matt.

- No wiesz, postać z poprawkami, które dodaje się w studio - ciągnęła CC. - Żeby nie wyglądała tak... - Nagle brwi CC stały się grube i krzaczaste. - Albo tak... - Jej idealny nos przekrzywił się.

- Ty mała... - zasyczała prawdziwa Courtney Vance.

Ale CC najwyraźniej miała dość. Znienacka zamachnęła się i pięścią uderzyła zawoalowaną postać w szczękę.

Matt zamrugał oczami. To musiało boleć!

Prawdziwa Courtney Vance zniknęła jak bańka mydlana.

Matt stał jak wryty, a w głowie echem odbijała mu się jedna myśl: „To musiało boleć”. CC zrobiła Courtney Vance krzywdę w wirtualnym ataku. CC musi być z jedną z osób, których szuka!

Odwrócił się do dziewczyny, która masowała dłoń.

Zanim jednak zdążył się odezwać, dołączyła do nich postać, górująca nad nimi wzrostem. Miała do złudzenia ludzki kształt, jeśli przyjmie się, że ludzie są wysocy na trzy metry i zbudowani z błyszczących kryształków. Matt natychmiast nazwał intruza Klejnotem.

Postać zbliżyła się do CC. - Nie można cię zostawić samej nawet na kilka minut, co? - Słowa wypowiedziane były chrapliwym metalowym głosem.

Klejnot wyciągnął dużą błyszczącą rękę i położył na ramieniu CC. Choć kryształowe palce jaśniały delikatnym światłem, Matt podejrzewał, że są twarde jak kamień.

Muszę coś zrobić, pomyślał, choć zastanawiał się, jak jego patykowate ciało zniesie podeptanie przez te wielkie twarde stopy.

Zanim jednak zdążył się ruszyć, CC i jej zbudowany z klejnotów potężny przyjaciel zniknęli z „Maxima”.

Następnego ranka w drodze do szkoły autobusem Matt nie mógł powstrzymać ziewania. Spędził bezsenną noc analizując informacje, które uzyskał podczas wirtualnej wizyty w „Maximie”.

Podczas zajęć przygotowawczych odciągnął na bok Andy’ego i Davida Graya. - Wczoraj wieczorem Leif wprowadził mnie do klubu spotkań bogatej młodzieży - oznajmił. - Wydaje mi się, że poznałem paru naszych znajomych z Camden Yards.

- Kogo? - spytał natychmiast Andy. - Johna Dillingera i tę ładną blondyneczkę?

- Trudno wyczuć - przyznał Matt. - Oczywiście, byli w innych maskach. Jeden był zbudowany z kryształków - nazwałem go Klejnotem. Druga to była dziewczyna, która nazywa się CC. Pojawiła się w masce Courtney Vance.

- Tej aktorki, która gra lekarzkę w serialu „Szpital Centralny”? - spytał David.

- Nie wiedziałem, że oglądasz opery mydlane w holo - zadrwił z niego Andy.

- Daj spokój - bronił się David. - W Sieci jest pełno jej projekcji.

- Fakt. - Andy myślał przez chwilę. - Bardzo ładna i o bardzo jasnych włosach.

- To może być wskazówka - powiedział Matt. - Jeśli CC to dziewczyna ze stadionu, to lubi pojawiać się jako blondynka - może naprawdę ma blond włosy.

- Albo bardzo by chciała - zareplikował Andy. - Wpadł mi w ręce słownik przestarzałego slangu. Mieli kilka określeń na blondynki, na przykład loki i opakówki.

Matt i David spojrzeli po sobie, nic nie rozumiejąc.

- Loki to takie, które otrzymały blond włosy od Matki Natury - wyjaśnił z uśmiechem Andy. - Inne dziewczyny muszą sięgać do opakowań z farbami do włosów, żeby uzyskać kolor blond. Teraz mogą korzystać z masek, które nadają im pożądaną sylwetkę. Ta twoja CC może ważyć sto trzydzieści kilogramów i mieć głowę ogoloną na zapalkę.

- Masz jeszcze jakieś dowody, które nasz Sherlock Holmes wyrzuci do kosza? - spytał David.

- Pojawiła się prawdziwa Courtney Vance - powiedział Matt. - CC uderzyła ją.

Obydwaj jego przyjaciele natychmiast przestali żartować. - I co się stało? - spytał Andy.

- Przytoczył się Klejnot. Zaczął narzekać, że nie można zostawić CC samopas. - Matt uśmiechnął się dumny z siebie. - Dokopałem się do tego wyrażenia w Sieci - to przestarzałe słówko, które znaczy zostawić kogoś samego. Może Klejnot to Anglik, ktoś z kół dyplomatycznych, posługujący się nieco staroświeckim angielskim.

- Albo ktoś, kto podaje się za Anglika - nie zgodził się David. - Słyszałeś o tym nowym programie dla masek, Mistrz Idiomów? Dzięki niemu wszystko, co mówisz, jest natychmiast tłumaczone na jeden z tuzina języków obcych. Jedyna wskazówka, która może cię zdradzić, to usta maski. Widać małe opóźnienie między ruchem ust a dźwiękami, podczas którego program dokonuje tłumaczenia.

- No to świetnie - jęknął Matt, przy akompaniamencie śmiechu przyjaciół. - Ten klejnotowy koleś w ogóle nie miał ust!

Tego dnia w porze lunchu Matt spotkał Sandy'ego Braxtona. - No i? Czytałeś jakieś dane z infozbioru, który ci dałem? Znalazłem duży plik o tym, jak wielu generałów z wojny secesyjnej służyło wspólnie jako oficerowie podczas wojny meksykańskiej. Zarówno Hancock, jak i Armistead służyli w armii Winfielda Scotta. Wielu oficerów biorących udział w szarży Picketta uczestniczyło też w ataku na Chapultepec - łącznie z Pickettem i Jamesem Longstreetem.

- To naprawdę ciekawe - powiedział niepewnie Matt. Przez tę wizytę u „Maxima” nawet nie zajął do zrzutu. - Może od tego zaczniemy nasze wypracowanie. Możesz powiedzieć mi coś więcej?

Sandy spojrzał w kierunku jednego ze stolików w kafejce. - Chciałem przysiąc się do moich przyjaciół...

Matt podążył za jego wzrokiem. No jasne, to była grupka Litów - i wśród nich siedziały trzy blondynki. - No to może pogadamy przy jedzeniu - zaproponował Matt.

Sandy wzruszył ramionami i ruszył pierwszy do kontuaru w kafejce, przy którym napełnili tace. Potem Matt podążył za swoim nowym przyjacielem do stolika pełnego Litów.

Jedna z dziewczyn zamierzała coś powiedzieć, kiedy Matt zajmował miejsce, ale Sandy pośpiesznie wyjaśnił: To Matt Hunter. Chodzimy razem na zajęcia z historii i we dwóch przygotowujemy projekt.

Dziewczyna szepnęła coś do swoich przyjaciółek. Matt usłyszał tylko: -...no to mógł zabrać tego dziwoląga do innego stolika. - Resztę zagłuszyła fala śmiechu i słowa innej dziewczyny: - Wyluzuj się, Tricia.

Matt najlepiej jak potrafił starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ignorując złośliwą uwagę Tricii, i udawał, że interesuje go paplanina Sandy'ego na temat historii. Jednocześnie wmuszał w siebie tajemniczą papkę serwowaną w kafejce i zerkał na trzy blondynki. Czuł się, jakby zonglował czterema przedmiotami naraz. Miał jedynie nadzieję, że żaden mu nie upadnie na podłogę.

Musiał słuchać Sandy'ego na tyle uważnie, żeby od czasu do czasu skomentować jego słowa. Nie mógł też się zdradzić, że przygląda się dziewczynom. Jedna z nich mogła być tajemniczą CC.

Wykonywały jednakowe ruchy: pochylały lekko głowę na bok, śmiały się i droczyły z przyjaciółkami. I wszystkie - brunetki i blondynki - podczas rozmowy nawijały na palce kosmyki włosów. Niektórych słów nie potrafił nawet zrozumieć. Albo miały swój towarzyski żargon, albo używały slangu, który nie zdążył się jeszcze przyjąć u zwykłych śmiertelników w Bradford.

- No to idziecie do VIP-VP u Lary Fortune w piątek? - spytała Tricia.

Najwyraźniej jej slang był zbyt nowoczesny nawet dla jednej z jej przyjaciółek. - Na VI - co? - spytała.

- Wirtualne przyjęcie VIP-ów⁴ - wyjaśniła Tricia, kręcąc głową.

Druga z dziewcząt przewróciła oczami. - Kriszna, ale wirtualne przyjęcia są takie... takie zosiowate.

Akurat tę uwagę Mattowi udało się rozszyfrować. Zosia to było bardzo staroświeckie imię żeńskie z przełomu wieków. Dziewczyna stwierdzała tym samym, że wirtualne przyjęcia dawno wyszły z mody. Kiedy się nad tym zastanowił, przypomniał sobie, że ostatnio był na takim wirtualnym przyjęciu z okazji siódmych urodzin swojego przyjaciela.

- Ale nie to - to będzie pierwsza klasa. Jej stary wydał kupę forsy na niesamowity wręcz lokal. Mój tata też poświęcił parę zer na moją wirtualną suknię.

- Suknię? - powtórzyły zgodnym chórem pozostałe dziewczyny.

- To będzie śmiertelnie oficjalne przyjęcie - oznajmiła zadowolona z siebie Tricia. - Nie wolno przyjść w masce - trzeba wyglądać naturalnie.

- Chyba będę musiała zdać się na swojego programistę - powiedziała jedna z blondynek, nawijając ciasno kosmyk włosów na palec wskazujący.

- Nie zostało zbyt wiele czasu - ostrzegła ją Tricia.

Druga dziewczyna po prostu uśmiechnęła się szeroko i wzruszyła ramionami. - Od tego są właśnie bonusy za zlecenia ekspresowe.

Matt z trudem ukrył uśmiech. Jakiś programista spędzi bardzo pracowity tydzień. Zmusił się do skupienia uwagi na Sandym.

- To są interesujące materiały - powiedział Matt - których starczy w najlepszym wypadku na kilka paragrafów. Ale chyba trochę przeginasz. Ci ludzie znali się od lat. A to tylko krótki epizod.

Sandy wyglądał na rozczarowanego. - A ja myślałem...

- Mamy się skoncentrować na wojnie secesyjnej, nie na wydarzeniach, które miały miejsce prawie dwadzieścia lat przed jej wybuchem - powiedział Matt.

Starł się nie zwracać uwagi na szyderczą uwagę jednej z dziewczyn, kiedy wszystkie zaczęły zbierać się do wyjścia. - Co za kujon - mruknęła.

Lunch dobiegał końca i wszyscy zaczęli opuszczać kafejkę. Matt również wstał i wtedy zastygł w miejscu.

- O co chodzi? - spytał Sandy.

Matt oderwał wzrok od jednej z tac zostawionych przez dziewczęta. Leżał na niej kosmyk jasnych włosów zawiązanych w supełek - taki sam jaki zrobiła CC u „Maxima”!

- Dziewczyna, która tutaj siedziała - zaczął Matt, dotykając krzesła na wprost tacy. - Chyba nie chodzi ze mną na żadne zajęcia, ale wydaje mi się znajoma.

- Caitlin? - Sandy wzruszył ramionami. - Może widziałeś ją w holo z jej ojcem, senatorem Corriganem? - Przerwał na chwilę, po czym powiedział. - Jeśli cię interesuje, nie powiem, że to nie twoja liga.

Ależ tak właśnie uważasz, pomyślał Matt.

- Ale Cat Corrigan ma, jakby to powiedzieć, wysokie wymagania.

Caitlin Corrigan. Jak się to skróci, wychodzi... CC.

Nie, pomyślał Matt, nie wiem zbyt wiele o Caitlin Corrigan. Ale zamierzam się dowiedzieć.

Leif Anderson wyglądał nieco lepiej, kiedy Matt złożył mu ponownie komputerową wizytę. Chociaż siedział nadal w fotelu, nie był już tak blady, a zamiast pizamy i szlafroka miał na sobie dzinsy i sweter. - Jak leci, Sherlocku? - spytał z szerokim uśmiechem.

- Wydaje mi się, że jeden z Litów z naszej szkoły może być podejrzanym - poinformował go Matt. - Caitlin Corrigan.

Zdumiony Leif uniósł brwi. - Córka tego senatora?

- Muszę się dowiedzieć, jak się do niej zbliżyć.

Leif wyprostował się w fotelu i zacisnął usta. - I pomyślałeś sobie, że przyjdiesz do starego kumpla Leifa na kilka lekcji brylowania w wyższych sferach?

Matta zaskoczyła taka ostra reakcja. - Przyszło mi do głowy, że znasz tych ludzi.

- To nie znaczy od razu, że darzę ich sympatią - odciął się Leif i potarł czoło. - Wciąż kiepsko się czuję - przyznał się. - Ty dowiadywałeś się o moje zdrowie. Tak samo David i

⁴ *Very Important Person* - bardzo ważna osoba [przyj. red.].

Andy, i większość Zwiadowców Net Force, których znam. Paru moich kumpli z Nowego Jorku też zadzwoniło, żeby się dowiedzieć, jak się czuję. Ale większości moich tak zwanych bogatych przyjaciół nie chciało się nawet wystukać mojego numeru telefonu.

- Niezbyt ładnie z ich strony - zauważył Matt.

- Zdaniem tych dzieciaków, jestem parweniuszem, który chce wejść do towarzystwa.

- Leif skrzywił się. - Mój ojciec sam się wszystkiego dorobił, dlatego jesteśmy zdaniem tych ludzi „nowobogackimi”. Pradziadek Cat Corrigan zdobył rodzinny majątek, dzięki któremu sfinansowano karierę polityczną jej dziadka. I jej ojca.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że to nie moja liga?

- Chcę przez to powiedzieć, że nie przebijesz się do tej grupy, nie wytrzymasz konkurencji z takimi pieniędzmi. - Leif podniósł palec. - Tyle że zazwyczaj oni nie mają do zaoferowania nic oprócz pieniędzy. Kiedy jesteś bogaty, nie musisz być mądry ani pracowity. Nie musisz dysponować żadną cechą, która w powszechnej opinii jest niezbędna do odniesienia sukcesu.

Matt przypomniał sobie natychmiast niepochlebne komentarze doktora Fairlie'a na temat Sandy'ego Braxtona. - Chyba wiem, o co ci chodzi - powiedział.

- Umiejętności i spryt zawsze wygrają z pieniędzmi - przekonywał go Leif. - Ja sobie tak właśnie radzę z tymi ludźmi. Po prostu musisz być ekscentryczny.

Matt skinął głową. - Jak z tym świrniętym ludzikiem z kresek, którego zaprogramowałeś jako maskę?

- No właśnie - potwierdził Leif. - W jaki sposób możesz przyciągnąć jej uwagę i sprawić, żeby chciała zobaczyć więcej?

Na twarzy Matta pojawił się nikły uśmiešek. - *Zaczyna* mi coś świtać, ale będę potrzebował twojej pomocy. Mamy tylko kilka dni, żeby coś wymyślić.

Wygląda na to, że Tricia miała rację, pomyślał Matt, kiedy zsynchronizował się z wirtualnym przyjęciem Lary Fortune. Cały lokal pokrywał czerwony dywan, co musiało kosztować papę Fortune'a kupę pieniędzy. Matt znajdował się na czymś w rodzaju wewnętrznej ściany przezroczystego plastikowego dysku orbitującego wysoko nad Ziemią. Planeta wyglądała jak księżyc nadmuchany do groteskowych rozmiarów. Nad niebieskimi oceanami i brązowawozielonymi masami stałego lądu unosiły się białe pierzaste chmurki. Matt zmrużył oczy, wpatrując się w obrzeże chmury, szukając znajomego kształtu. Jest - w tej przerwie - mały skrawek lądu wcięty w morze. To musi być charakterystycznie zakrzywione ramię półwyspu Cape Cod...

Uśmiechnął się. No jasne. Znajdowali się na orbicie nad Waszyngtonem.

Podobieństwo było nieprawdopodobne, nawet w najdrobniejszych szczegółach. Matt przyglądał się, jak chmury rozstępują się, ukazując wybrzeże Wirginii i Waszyngton. Jakaś dziewczyna, wyglądająca przez jeden z teleskopów ustawionych przy ścianie, nagle zapiszczała radośnie. - Widzę moje podwórko! Mama do mnie macha!

Matt pokręcił głową. Im więcej szczegółów, tym droższa symulacja.

Nad głowami rozległa się głośnie muzyka. Matt spojrzał do góry i zobaczył, że niektórzy goście opuścili dysk, unieśli się w powietrze i zaczęli tańczyć. Pyskata Tricia, oczywiście, do nich nie dołączyła. Stała w swojej kosztownej sukni, kurczowo trzymając się brzegu stołu.

Cat Corrigan bez wątpienia miała lepszych informatorów. Ubrana była w srebrno błękitny jednoczęściowy kombinezon z jedwabistej tkaniny, który doskonale się nadawał do tańca przy zredukowanym ciężeniu. Blondynka ze śmiechem przemknęła obok Matta w powietrzu. I wtedy go spostrzegła.

A raczej patykowatego ludzika, ponieważ Matt tę właśnie maskę włożył na przyjęcie. Odbijając się od innych tańczących gości, Caitlin przedarła się w dół do Matta i wbiła w niego okrągłe ze zdumienia oczy. - Co ty tutaj robisz? - zasyczała.

- Sprawdzam kilka moich podejrzeń, CC - odpowiedział niedbale Matt. - A może powinienem zwracać się do ciebie Cat? Próbowałem cię namierzyć, od tego zdarzenia u „Maxima”, kiedy uderzyłaś tamtą dziewczynę. Znasz kilka wirtualnych sztuczek, których chciałbym się od ciebie nauczyć.

Caitlin nadal wpatrywała się w niego w milczeniu, zupełnie jakby się bała, że zakrztusi się, próbując cokolwiek powiedzieć. Nie zdążyła jednak otworzyć ust, kiedy podeszła do nich druga blondynka, ubrana w jeszcze bardziej wymyślny kombinezon. - Nie wiem, jak się tutaj dostałeś, ale gdybyś miał zaproszenie, wiedziałbyś, że maski są niedozwolone. - Lara Fortune odwróciła się do Caitlin. - To twój przyjaciel, Cat?

- N-nie. - Caitlin Corrigan przełknęła ślinę z przejęciem. Wzrok cały czas miała utkwiony w masce Matta.

- Przepraszam najmocniej - powiedział Matt. - Jestem pewien, że gdzieś mam to zaproszenie. - Zaczął naśladować ruchy człowieka przeszukującego kieszenie, co wyglądało dość komicznie w przypadku postaci z kreskówki. - Jest! - krzyknął, a w jego dłoni zmateriałizował się jakiś przedmiot.

Nie była to jednak ikona-zaproszenie. Matt trzymał w ręku coś, co wyglądało jak gumowaty, czarny placek.

- Co to jest? - spytała kategorycznym tonem Lara Fortune.

Matt rzucił to w jej kierunku. Przedmiot wylądował na jej kostiumie ze spandeksu i koronki, pokrywając cały przód paskudną atramentową plamą. - To wirtualna plama. Niezła, co?

Na widok zniszczonej sukni Lara zareagowała przenikliwym wrzaskiem.

Przez moment Matt poczuł wyrzuty sumienia, że zniszczył dziewczynie przyjęcie. Musiał jednak udawać, że świetnie się bawi.

Cofnął się o krok. - Może powinienem zająć czymś twoją uwagę. - Tym razem w jego ręku pojawiła się garść czegoś, co wyglądało jak kamyki. Opodał znajdował się stół, a na nim skomplikowana konstrukcja z rurek, tworzących mikro-grawitacyjną fontannę nad wazą z ponczem. Kiedy Matt wrzucił do niej garść tych kamyczków, zawartość wazy zaczęła bulgotać i tworzyć chmury gęstej pary. Po chwili rozległa się głucha eksplozja. W powietrze uniósł się ponczowy grzyb i zaczął powoli spadać w dół. Hałas wywołał okrzyki i ściągnął zewsząd zdumione spojrzenia.

Cat Corrigan próbowała zetrzeć z twarzy słodką, kleistą mżawkę, która opadła na wszystkich znajdujących się w pomieszczeniu.

- Fuj! - krzyknęła, kiedy poncz zaczął zalewać jej strój i włosy. Ale zagryzała usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

To tylko symulacja, powtarzał sobie w duchu Matt. Przecież nie robię tego w rzeczywistym świecie. Jednak rozwścieczona Lara Fortune pobiegła wezwać na pomoc rodziców. Matt wiedział, że w każdej chwili może zostać złapany przez automatyczny system bezpieczeństwa.

- Trzymaj się, Cat - powiedział z nonszalanckim ukłonem. - A tak przy okazji, miła imprezka.

CC rzuciła się w jego stronę tak gwałtownie, że Matt myślał, iż zamierza go zatrzymać. Lecz Caitlin zerwała z ucha jeden z klipsów i wcisnęła mu go do ręki. - Rozpracuj to, jak już będziesz daleko stąd - wyszeptała w ogólnym zamieszaniu. - A teraz uciekaj. Natychmiast!

W sobotni poranek Matt wezwał kilku swoich przyjaciół z oddziału Zwiadowców Net Force na wirtualne spotkanie. Wszyscy unosili się w prywatnym VR Matta i, opierając się o dryfującą w powietrzu marmurową płytę, przyglądali się klipsowi, który Caitlin Corrigan dała Mattowi poprzedniego wieczoru.

- No, przynajmniej dostałeś coś na pamiątkę swojej małej rozróby na przyjęciu - powiedział Andy Moore. - Myślisz, że ta córeczka senatora cię lubi?

- Nie o to chodzi - wtrącił się David Gray. - Zazwyczaj nie można tak po prostu zabrać ze sobą wirtualnych rzeczy i sprawić, żeby przetrwały w rzeczywistym świecie. Ten klips powinien był się zdematerializować, kiedy Matt zerwał połączenie z tym przyjęciem. Ponieważ stało się inaczej, wiemy już, że kryje się za tym jakaś grubsza sprawa.

Matt bez słowa podał kolegom ikonę z programem ze swojej kolekcji oraz szkło powiększające.

Kiedy David przytrzymał je nad klipsem, w powietrzu pojawiły się maleńkie literki, a właściwie tysiące linijek pisma. David manipulował przy szkle powiększającym, tak, by holograficzny obraz stał się wyraźny, a następnie zaczął przesuwać nim w górę i w dół po rzędach liter.

- No tak - powiedział zadowolony z siebie. - To program-protokół telekomunikacji.

- Czy nie byłoby prościej, gdyby ci dała swój numer telefonu? - spytał Andy.

- Być może - zgodził się Matt. - Ale mamy tu do czynienia z Litami. Bogatymi dzieciakami. Mnie jednak interesuje oprogramowanie. Wy znacie się na tym lepiej ode mnie, chłopaki.

Matt, co prawda, sam ułożył program do wirtualnej plamy, której użył do zniszczenia ubrania Lary Fortune, ale opracowanie ponczowej niespodzianki pozostawił Andy'emu. - Co możecie mi o nim powiedzieć?

Obydwaj chłopcy zaczęli skanować kolejne linie języka oprogramowania. - Jest bardzo dobry, choć trochę szpanerski - powiedział David. - Małe urządzenie, a zawiera w sobie mnóstwo informacji.

- Profesjonalna robota - dodał Andy.

- Profesjonalna jak na bardzo dobrego amatora, czy masz na myśli program zamówiony u programisty komputerowego? - spytał Matt.

- W życiu nikomu nie udało się tego zrobić samemu - zapewnił go Andy. - Tu widać zastrzeżenia praw autorskich na niektórych podprogramach. To kodowanie

komercyjnego programu - supernowoczesne i zaprojektowane na zlecenie cacko. Droga rzecz.

- Więc Caitlin nie mogła tego sama napisać?

Andy spojrzał na niego zdziwiony. - Nie wiedziałem, że Caitlin Corrigan jest hakerem.

- Ani ja - powiedział Matt. - Mam jednak nadzieję, że się dowiem. Ktoś musiał opracować kodowanie, które umożliwiło wirtualnym wandalom przejęcie systemu symulacji komputerowej na Camden Yards, że już nie wspomnę o małej komputerowej sztuczce, która pozwala tym maślakom krzywdzić ludzi w rzeczywistości wirtualnej. Nazwijmy go - albo ją - Geniusem. Z tego, co mówisz, wnioskuję, że trzeba skreślić Caitlin z mojej listy podejrzanych, którzy mogą sterować akcjami wandalów. Ona nie pisze swoich programów.

Andy rzucił mu bystre spojrzenie. - Czy przypadkiem nie skreślasz jej dlatego, że ci się podoba?

Matt poczuł, jak po twarzy rozlewa mu się fala ciepła. - Nie sędzę - bronił się.

Przynajmniej mam taką nadzieję, pomyślał.

- Czy jest Geniusem, czy nie, Caitlin to moja łączniczka z pozostałymi wirtualnymi wandalami - powiedział. - I na tym skupię teraz moją uwagę.

- Jasne. - Andy posłał mu lekko drwiący uśmiech. - Cokolwiek zrobisz, staraj się nie myśleć o tym, że ona chce cię znów zobaczyć.

- Mógłbym zabić tego durnia - wymamrotał do siebie Matt, kiedy siedział już w swoim pokoju przed konsolą komputera.

Andy Moore miał paskudny zwyczaj zrzucania małych bomb w czasie rozmowy, które potrafiły wybuchnąć wiele minut, a nawet godzin po tym, jak sobie poszedł - dokładnie jak ta szpileczka na temat Caitlin Corrigan.

Było już wczesne popołudnie, David i Andy wynieśli się wieki temu, a rodzice załatwiali swoje sprawy. Matt natomiast wciąż wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w komputer.

Tylko o tym nie myśl. Po głowie chodziło mu to jedno zdanie.

Przypomniał sobie starą historyjkę, którą czytał jako mały chłopiec. Pewien mężczyzna cierpiący na nieuleczalną chorobę przyszedł po ratunek do Mędrca z Góry. - To bardzo łatwe - powiedział Mędrzec. - Musisz tylko przeżyć jeden dzień nie myśląc o słońcach.

To, oczywiście, nie wyleczyło tego człowieka z jego choroby. Jak ktokolwiek może przeżyć jakiś czas nie myśląc o czymś, czego podświadomie chce uniknąć? Myśl powraca jak natrętna mucha. Matt westchnął i usadowił się wygodnie w swoim fotelu połączonym z

komputerem. Udało mu się zrelaksować, dzięki czemu receptory fotela mogły się do-stroić do jego implantów. Nakazywanie sobie, żeby o czymś nie myśleć, zdawało się nie odnosić skutku, a powodowało działanie wręcz przeciwnie. W tym przypadku działaniem będzie wirtualna wizyta u Caitlin Corrigan.

Matt otworzył oczy i zorientował się, że już dryfuje w rozgwieżdżonym półmroku, na wprost pozbawionej jakiegokolwiek oparcia marmurowej płyty. Na środku tej płyty - dokładnie tam gdzie go zostawił - leżał klips Cat. Matt wyciągnął rękę, lecz natychmiast ją cofnął. Zamiast klipsa wziął do ręki płonący pionek, który dostał od Leifa. Jeden rzut oka pozwolił mu stwierdzić, że znów został zredukowany do postaci ludzika z kreskówki. Dopiero w tej masce Matt wziął do ręki klips Cat i ikonę telekomunikacyjną w kształcie błyskawicy. W chwilę później pędził już jak rakieta po neonowym mieście w Sieci. Minął kilka budynków rządowych. Nie ma się co dziwić, pomyślał, skoro Caitlin jest córką senatora.

Lecz nagle, kiedy miał się już zapaść na terytorium rządowe, protokół telekomunikacyjny sprawił, że zmienił kurs. Skierował go do odpowiednika bogatej, spokojnej dzielnicy, na obrzeżach systemów rządowych. Wirtualne domy były duże, ale nie tak wyszukane jak zamek wampira albo posiadłość, na terenie której znajdował się „Maxim”.

Matt zauważył, że jego trasa prowadzi do skromnie wyglądającego budynku z werandą i kolumnami. Sprawiał dziwnie swojskie wrażenie. Wtedy Matt rozpoznał, co to jest. Leciał w stronę uproszczonej wersji Mount Vernon - osiemnastowiecznego domu na plantacji Jerzego Waszyngtona.

Jednak Matt nie kierował się ani do drzwi, ani do okna. Leciał prosto na ścianę.

Trochę za późno uzmysłowił sobie, że banda, do której należy Cat, zna technologię wirtualną, dzięki której może sprawiać ludziom fizyczny ból.

Coraz lepiej, pomyślał Matt. Mogą rozbić mi głowę tuż przed domem Caitlin. Po sztuczkach, którymi wczoraj się popisałem, nikt nie uwierzy w moje wyjaśnienia.

W ostatnim momencie Matt zatrzymał się tak gwałtownie, że w prawdziwym świecie żołądek podskoczyłby mu do gardła. Tu jednak po prostu patrzył na neo-nowobiałą ścianę. W porządku, pomyślał. Najwyraźniej powinienem teraz coś zrobić. Ale co? Cat nie podała mu hasła. Chyba że... Wyciągnął wirtualną rękę, w której trzymał klips od Cat. Pięść zagłębiła się w ścianie, a po niej cały Matt. Znajdował się w VR - zupełnie płaskim krajobrazie, o wyglądzie pola szachowego, które znikало w oddali. Nad głową przepływały pierzaste chmurki, a w powietrzu unosiły się dziwnie powyginane konstrukcje. Ciekawe, pomyślał Matt, rozglądając się dookoła. Ktoś włożył w to dużo pieniędzy. Rozpoznał w jednej z latających konstrukcji skompresowaną wersję bardzo drogiej gry komputerowej. Jednak sama

rzeczywistość wirtualna nie nosiła śladów genialnego programisty. VR Matta miała bardziej osobisty charakter, dzięki jego własnemu kodowaniu. Przede wszystkim zaś w tym VR brakowało ważnego elementu: nigdzie nie widać było Caitlin Corrigan.

Matt miał się właśnie wynieść, kiedy zniemacka pojawiła się dziewczyna. To była Caitlin, jakiej nigdy wcześniej nie widział. Miała na sobie krótkie spodenki i podkoszulek, a blond włosy niedbale zebrała w koński ogon i związała frotką. Na jej twarzy perliły się krople potu.

- Byłam w siłowni, kiedy zadzwonił pager - zaczęła Caitlin i przerwała gwałtownie, widząc maskę Matta. - No tak - powiedziała. - Widzisz mnie w mojej najgorszej formie. Mógłbyś przynajmniej zrzucić tę głupią maskę, żebym mogła zobaczyć, kim jesteś.

- Jestem wzruszony, że nie zamaskowałaś się, wiedząc, że mnie tu znajdziesz - odparł Matt. - Ale ja musiałem się napracować, żeby cię znaleźć, i myślę, że uczciwiej będzie, jeśli ty też się trochę postarasz, żeby mnie wysledzić.

- Kim jesteś? - wybuchła Caitlin. - Czemu ciągle pojawiaasz się obok mnie?

- Interesujesz mnie ty... i twoi przyjaciele... oraz to co zrobiliście we czwórkę na Camden Yards.

Caitlin zbladła. - N-nie wiem, o czym mówisz - wyjąkała.

- Caitlin, możesz się przebierać za aktorki, ale sama nie potrafisz grać. Twoja mina właśnie cię zdradziła.

Zagryzła wargę, a Matt kontynuował. - Spokojnie, nie zamierzam cię aresztować. Jestem nastolatkiem, a nie policjantem. Na przyjęciu u Lary widziałas, co potrafię zrobić. Ale to co wy umiecie, naprawdę mi zaimponowało. Chciałbym poznać mistrzów, to wszystko.

Caitlin Corrigan patrzyła na niego dłuższą chwilę w milczeniu. Potem energicznie kiwnęła głową. - Dobrze. Zobaczę, co da się zrobić. Poczekaj tutaj. Najpierw muszę porozmawiać z innymi.

Zniknęła i zostawiła Matta samego na placu zabaw bogatego dzieciaka. Zaczął sobie po nim spacerować niczym turysta i oglądać wszystkie latające konstrukcje. Były to różne drogie programy, sprytnie upakowane i nadające się do natychmiastowego użytku.

Największy zbiór ikon, jaki w życiu widziałem, pomyślał Matt. Cała VR była standardowo urządzona, kosztownie, ale bez najmniejszych oznak osobistego zaangażowania. Cat zupełnie nie starała się dopasować jej do swojej osobowości. Wygląda na to, że dziewczyna jest właściwie komputerową analfabatką, pomyślał Matt. Jak w ogóle udało się jej związać się z wirtualnymi wandalami? Nagle zdał sobie sprawę z upływu czasu. Co robi Caitlin? Czy postanowiła się odświeżyć przed skontaktowaniem się z przyjaciółmi? A może

zniknęła stąd, żeby ich ostrzec i teraz zastanawiają się, co z nim zrobić? Czy to możliwe, żeby próbowali wysledzić jego ścieżkę w Sieci?

Matt miał właśnie zerwać kontakt, kiedy Caitlin wróciła do VR. Próbowła przybrać obojętny wyraz twarzy, ale wyczuwał, że nie jest zbyt szczęśliwa.

- Porozmawiają z tobą, ale nie tutaj. - Wyciągnęła rękę, na której leżała ikona - mała czarna czaszka.

Świetnie, pomyślał Matt. Sprawy zaszły jednak już za daleko, żeby teraz stchórzyć. Bez słowa wziął Caitlin za rękę.

Podróż przez Sieć była krótka, ale szybka i dezorientująca. Matt domyślił się, że zrobili to celowo, żeby mu utrudnić ich wysledzenie.

W szaleńczym pędzie minęli kilka lokalizacji Sieci i zatrzymali się w pustym wirtualnym pomieszczeniu. Jego ściany były tak białe, że Matta niemal zabołały oczy.

Jednak to nie ściany przyciągnęły jego uwagę. Przyglądał się uważnie trzem maskom, które czekały na nich. Stanowili osobliwą grupę. Był tu wielki połyskliwy Klejnot i dwumetrowa żaba. Towarzyszyła im postać, która wyglądała jak rysunkowy kowboj.

- Pan Dillinger, pan Beatty i doktor Crippen jak sądzę - powiedział Matt, zdecydowany nie okazać im cienia strachu.

- Wiesz, że wtykasz nos tam, gdzie nie trzeba - odezwał się kowboj z najbardziej charakterystycznym akcentem z Teksasu, jaki Matt kiedykolwiek słyszał. - Ktoś powinien był cię nauczyć, że to niebezpieczne.

Mam cię, pomyślał Matt, bo zauważył ledwo dostrzegalne opóźnienie pomiędzy słowami kowboja a ruchem jego warg. Lecz prędkość, z jaką kowboj wyciągnął swój rysunkowy pistolet i wycelował go w głowę Matta, nie pozostawiała nic do życzenia.

- Zamierzam udzielić ci lekcji - powiedział kowboj.

Matt widywał już wyloty rur kanalizacyjnych, które były mniejsze niż lufa rysunkowego pistoletu wycelowanego prosto w jego twarz.

- Dobra, Teksańczyku, przyciągnąłeś moją uwagę - powiedział, wciąż zdecydowany nie okazywać paraliżującego strachu.

Ci ludzie umieją sprawić fizyczny ból w rzeczywistości wirtualnej, usłyszał w głowie cichy przerażony głos. Jak by to było dostać kulkę z tego rysunkowego ręcznego działka?

Gigantyczna żaba nagle zmieniła kształt i przybrała postać szykownego młodego arystokraty sprzed stuleci. Długie czarne włosy miał związane w kucyk, a na nogach obcisłe spodnie z jasnej skóry. Stroju dopełniała bufiasta jedwabna koszula. Na przystojnej twarzy widniał uśmiech równie ostry jak metrowej długości szpada, wymierzona w gardło Matta. Klejnot, rzecz jasna, nie potrzebował żadnej broni. Górował nad pozostałą dwójką, a zaciśnięte pięści miał wielkości głowy Matta.

- Muszę wam to przyznać, ludzie - odezwał się Matt do groźnej trójki i wyglądającej na zaniepokojoną dziewczyny. - Jesteście dobrzy... naprawdę dobrzy. Najpierw nie wierzyłem własnym uszom, słysząc relacje z wydarzeń w Baltimore. Potem obejrzałem każdą klatkę z holoprojektacji zrobionej podczas meczu i przeprowadziłem małe dochodzenie w Sieci, żeby sprawdzić, czy coś takiego zdarzyło się kiedyś na terenie Waszyngtonu.

- No i jakim cudem dotarłeś do niej, do nas? - spytał Klejnot. Jego kryształowe oczy błysnęły złowrogo, kiedy spojrzał na Caitlin.

- Wy możecie się chować za maskami - powiedziała z goryczą Caitlin do swoich kolegów wandalii. - I możecie być prawie pewni, że nie wyszedł mnie przez Sieć. Musi chodzić ze mną do szkoły i tam mnie rozpoznał w rzeczywistym świecie. Więc nie macie się czym przejmować - powiedziała szyderczo. - Od kiedy się tym zajęliśmy, nigdy nie spotkaliśmy się osobiście!

Klejnot wyglądał tak, jakby miał zamiar uderzyć dziewczynę, i Matt napiął mięśnie, gotowy rzucić się do z góry przegranej walki. Jednak rysunkowy kowboj jednym ruchem ogromnego sześciopistoletowego pistoletu nakazał połyskliwemu tytanowi cofnąć się. - Przystopuj, tłusty osiłku. Rozpracowujemy teraz drugi koniec tego kija.

Znów Matt zauważył minimalne opóźnienie pomiędzy ruchem warg a westernową holomową. Jeśli to program Mistrz Idiomów, to pracuje jeszcze wolniej, niż mówił David, pomyślał Matt. Chyba że zmienia na ten głupawy żargon nie angielski, ale obcy język!

Jednak teraz nie było czasu na te rozważania. Musiał przekonać tę bandę zepsutych,

bogatych dzieciaków, że może im się przydać - i dostarczyć rozrywki.

- W moich poszukiwaniach natrafiłem na różne plotki o ludziach, którym zrujnowano VR, a nawet ich poturbowano. Wracając do tematu, ja sam znam kilka wirtualnych sztuczek, o czym może zaświadczyć ta dama.

- Słyszeliśmy o tym - powiedział chłodno szermierz. Matt zauważył, że nie przeszkadza mu, że mówi z akcentem. Chyba że ten akcent to była jeszcze jedna sztuczka zaprogramowana w masce. Nie, zawyrokował Matt. Nie ma tego opóźnienia, które widać na ustach kowboja.

- Więc wiecie, że moje sztuczki potrafią wkurzyć, a nawet wystraszyć innych. Jednak nie mam takiej władzy, jaką wy dysponujecie.

Matt rozłożył swoje rysunkowe ręce. - Kiedy usłyszałem te wszystkie plotki, wciąż nie byłem pewien, czy istniejecie naprawdę, czy to jedna wielka bujda. Więc postanowiłem, że spróbuję was odnaleźć. Domyśliłem się, że musicie być bogaci - elektroniczne wybryki wymagają środków finansowych. - Potarł palcami w geście oznaczającym pieniądze. - Domyśliłem się też, że musicie mieszkać niedaleko waszego placu zabaw. A to znaczyło, że powinienem się rozejrzeć po wirtualnych miejscach spotkań bogatych dzieciaków z okolic Waszyngtonu.

Matt przywołał uśmiech na rysunkową twarz swojej maski. - Jakoś nie przyszło mi do głowy, że możecie się okazać bandą czterdziestodziewięcioletnich maniaków komputerowych.

Wzruszył ramionami. - Najpierw odwiedziłem „Maxima”. I kogo tam spotkałem, jak nie uroczą CC, która pogawędziła ze mną chwilę, po czym przyłożyła prawdziwej Courtney Vance, kiedy ta zaczęła mieć do niej jakieś pretensje. Słyszałem odgłos uderzenia i widziałem, jak Courtney zwija się z bólu... wtedy wiedziałem już, że znalazłem to, czego szukałem.

Matt podniósł do góry swoją patykowatą rękę. - Nie powiem wam, jak skojarzyłem, że CC to Caitlin Corrigan. W każdym związku potrzeba trochę tajemniczości. Ale muszę wam powiedzieć, że jestem pod wrażeniem i chcę do was dołączyć.

- Słuchaj, chłopcze - powiedział animowany kowboj, znowu posługując się swoim żargonem rodem z Dzikiego Zachodu. - Coś mi się zdaje, że nie zauważyłeś, kto tu rządzi. Namierzyłeś nas, to prawda. Ale jeden strzał z mojej wiernej czterdziestki piątki, a będziesz wachał kwiatki od spodu na Boot Hill. Trupy nie opowiadają historii.

- Powtarzam raz jeszcze - powiedział Matt, w duchu licząc na to, że nie drży mu głos. - Nie chcę was wydać ani szantażować. Chcę tylko przyłączyć się do waszej drużyny i

nauczyć się od was, jak robicie to, co robicie.

- No to będziesz wiedział więcej niż my - wymamrotała żaba.

Matt zdziwił się, ale nie mógł tego po sobie pokazać. Musi zdobyć ich zaufanie. Tylko jak to zrobić?

Zanim się zorientował, słowa same popłynęły mu z ust. - Boicie się, że puszcze farbę? Jeśli wezmę udział w jednej z waszych akcji, w przypadku gdyby się wszystko wydało będę miał takie same kłopoty jak wy.

- Może i tak - powiedział Klejnot, tak wolno, jakby smakował każde słowo i zastanawiał się nad propozycją Matta. - Przyznam, że pokazałeś nam, że znasz się na komputerach, skoro udało ci się podejść do nas tak blisko. Ale to za mało, żeby nas przekonać, że możesz do nas przystać.

- To znaczy? - spytał ostrożnie Matt.

- Musisz coś dla nas zrobić - powiedział już nieco szybciej monolityczny klejnotowy potwór, pochylając się do przodu. - Zabierz nas tam, gdzie my sami nie możemy się dostać.

Test, pomyślał Matt. To ma sens. Przynajmniej wydostanie się z białego pokoju, gdzie może zarobić kulkę.

- Gotów jestem spróbować - obiecał Matt. - Jeśli nie będzie to zupełnie niemożliwe, jak na przykład Pentagon albo Biały Dom.

- O, to będzie łatwiejsze - powiedział ze śmiechem Klejnot. - Chcemy, żebyś się dostał do VR Seana McArdle. To syn irlandzkiego ambasadora. Jestem pewien, że nic więcej nie muszę ci mówić.

- Zaczne natychmiast. - Matt zawahał się, zanim spytał. - Wszyscy chcecie się tam dostać?

Roześmieli się. - I wpaść w pułapkę? Nie sądzę - powiedział szyderczo Klejnot. - Martw się tylko o siebie - i CC. - Ukłonił się drwiąco w stronę wściekłej Cat Corrigan.

- Skoro znasz tylko ją spośród naszej małej gromadki, skontaktujesz się właśnie z nią, kiedy coś zorganizujesz. - Klejnot skierował swoje podobne do kamieni szlachetnych oczy prosto na Matta. - Jeśli nie odezwiesz się, powiedzmy przez tydzień, uznamy, że już nie jesteś zainteresowany. Jeśli jednak dojdą nas plotki o twoim działaniu albo odkryjemy zainteresowanie jakichś władz Caitlin, będziemy zmuszeni zająć się tobą.

Pochylił się nad maleńką maską Matta. - A to by ci się nie spodobało. Ani trochę.

Matt z ulgą zgodził się na to, żeby Caitlin zabrała go z białego pomieszczenia. Jednak kiedy opuścił osobistą VR Caitlin, nie udał się prosto do domu. Posłużył się zaprogramowaną

zawczasu skomplikowaną ścieżką ucieczki, która prowadziła go z zawrotną prędkością pomiędzy tuzinem różnych lokalizacji w Sieci. To samo zrobił, żeby wymknąć się z przyjęcia Lary Fortune, śmigając w tę i z powrotem po Sieci, żeby zmylić ewentualne detektory, które mogli na niego zastawić. Wybrał nawet bardziej ostrożny wariant, ponieważ posłużył się ścieżką inną niż ta, którą uciekł w piątek.

W końcu zatrzymał się przy ogromnej piramidzie zatopionej w blasku elektrycznych impulsów - wirtualnych odpowiedników operacji katalogów on-line. Nieustający blask wskazywał nie kończące się rozmowy z prośbą o podanie informacji na temat cen oraz składanie zamówień.

Matt pognął dalej, nie zwalniając na moment, i zagłębił się w blask elektronicznych operacji otaczający konstrukcję. Jeśli nawet wirtualnym wandalom udało się do tego miejsca śledzić jego trasę, zagęszczenie informacji wokół piramidy uniemożliwiłoby im dalszy pościg.

Kierował się w stronę maleńkiej czarnej kropczki na bocznej ścianie piramidy, czyli kilku gigabajtów pamięci komputerowej, które Matt oderwał od katalogu. Teraz w tej niewielkiej niszy znajdowały się programy, dzięki którym Matt mógł sam sprawdzić, czy ucieczka się powiodła.

Mała czarna przestrzeń zniecka ożyła. Zaczęła mrugać jasnym światłem, gdy programy antydetekcyjne dały mu zielone światło, po czym same się skasowały. Raz jeszcze przeleciał wokół piramidy, dopasował swoją ścieżkę do odchodzących od piramidy rozmów telefonicznych i pomknął w stronę domu.

Matt na miękkich nogach wstał ze swojego połączonego z komputerem fotela. Doszedł do wniosku, że ten program z ucieczką zawierał trochę za dużo obrotów i zakrętów. Żałował jedynie, że nie mógł umieścić detektora w VR, do którego zabrała go Caitlin. Problem polegał na tym, że pluskwa mogła się okazać obosiecznym mieczem. Wskazałaby węzeł, gdzie spotkali się wirtualni wandalowie, a jednocześnie pozwoliłaby im go zdemaskować. A obecnie jedyne, czym dysponował w tej rozgrywce, była Caitlin Corrigan w roli łącznika i jego utajniona tożsamość.

Matt przeszedł się kilka razy, żeby pozbyć się drżenia w nogach i poszedł do telefonu w korytarzu.

- Panie kapitanie, mówi Matt Hunter - odezwał się do słuchawki. - Mógłbym wpaść do biura, żeby z panem porozmawiać? Prawdopodobnie udało mi się wpaść na trop powiązany z wydarzeniami na Camden Yards.

- Nie chciałbyś mi tego powiedzieć od razu? Albo wysłać e-maila? - spytał kapitan.

Teraz moja kolej na próbe zdemaskowania kilku

- Wolałbym podzielić się z panem tymi informacjami osobiście. Jak już pan mnie wysłucha, przekona się pan, że miałem rację.

W telefonie rozległo się westchnienie. - Chciałem się zaraz zbierać do domu. Kiedy tu dotrzesz?

- Już wychodzę - powiedział Matt.

Jadąc autobusem do biura kapitana w centrum rządowym w Pentagonie, Matt starał się uporządkować swoje przygody z minionego tygodnia na kształt spójnego raportu. Niestety, mimo najlepszych chęci jego raport nie brzmiał spójnie, kiedy stanął przed zniecierpliwionym kapitanem Wintersem.

Kiedy Matt skończył, kapitan był o wiele mniej zniecierpliwiony, a o wiele bardziej zmartwiony. - Sugerujesz, że córka szanowanego senatora z Massachusetts jest związana z grupą bogatych wirtualnych poszukiwaczy emocji? A kilku innych jej członków to cudzoziemcy, prawdopodobnie należący do kręgów dyplomatycznych?

- Myślę... - zaczął Matt.

Ale kapitan Winters skończył zdanie za niego: - Lepiej by było dla ciebie, gdybyś dysponował przekonującymi dowodami na poparcie takich oskarżeń. Oficjalnie tą sprawą ciągle zajmuje się policja w Baltimore, a nie my. - Wzniósł oczy do nieba. - A oni z rozkoszą wysłuchaliby takiej teorii.

- Nadal uważam, że warto przyjrzeć się bliżej tym związkom z zagranicą - powiedział cicho Matt.

- Pod warunkiem że nie rozbujasz zbyt wielu łodzi - powiedział Winters. Spojrzał na zegarek. - Zostawiam to tobie. - Odwrócił się do swojej konsoli komputerowej i powiedział:

- Komputer, rozpoznaj w celu odbioru ustnych poleceń.

- Głos rozpoznany jako kapitan James Winters - odpowiedział komputer.

- Wejdz do przeszukiwania bazy danych, nieutajniony materiał, Corrigan Caitlin - znani przyjaciele, zwłaszcza cudzoziemcy.

- Cofając się o sześć miesięcy - zasugerował Matt. - Nie sądzę, żeby się ostatnio spotykali.

Kapitan kiwnął głową. - Zmienna czasowa cofnięta o sześć miesięcy od czasu teraźniejszego. Infozbiór dla Matthew Huntera. Identyfikacja natychmiastowa.

- Matthew Hunter - przedstawił się komputerowi Matt.

- Wykonać - polecił kapitan Winters. Spojrzał na Matta. - Chyba będziesz musiał trochę poczekać. Nawet naszemu systemowi poszukiwania zajmą sporo czasu. - Kapitan

ruszył do wyjścia. - Daj mi znać, jeśli natrafisz na coś ciekawego.

Matt nie wiedział, czy powinien czuć się mile polectany zaufaniem, jakim obdarzał go kapitan Winters, czy rozgniewany jego brakiem wiary w to, że Matt znajdzie coś interesującego. Siedział samotnie w biurze, z niecierpliwością czekając, aż komputer wyszukiwania danych Net Force przegryzie się przez wszystkie lokalizacje informacji publicznej - wiadomości drukowane, dane elektroniczne, HoloNet i dane rządowe - w poszukiwaniu związków Caitlin i licznej waszyngtońskiej kolonii dyplomatycznej.

Zniecierpliwienie Matta szybko zastąpiła konsternacja, ponieważ komputer oznajmił, że ma setki trafień.

- Uporządkuj względem osób - polecił Matt. - Poczynając od nazwisk, które pojawiają się najczęściej.

I w ten sposób infozbiór kapitana Wintersa szybko się zapełnił.

Założę się, że przewidział taki rozwój wypadków, pomyślał Matt, i postanowił dać mi nauczkę.

Miał już wyjąć infozbiór z czytnika, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Nie był w stanie rozpoznać, z jakim akcentem mówiły trzy zamaskowane postacie, które dziś spotkał. Jednak miał podejrzenia co do Klejnotu.

- Nowy plik - polecił Matt komputerowi. - Dziesięć pierwszych osób z listy - uporządkuj narodowościami. Daj pierwszeństwo ewentualnym Anglikom.

Infozbiór ponownie zaczął pracować z cichym warkotem. - Będzie trzeba skasować ostatnie trzydzieści siedem nazwisk z głównej listy, żeby zrobić miejsce dla nowego pliku.

- Zaakceptowane - powiedział Matt. - Pokaż plik z narodowościami.

Przed konsolą komputerową pojawił się holograficzny ekran. Matt przyjrzał się świecącym literom. - Jeden osobnik narodowości brytyjskiej - mruknął. - Sporo wzmianek prasowych.

Matt postanowił wypróbować dalej swoje szczęście. - Komputer - powiedział. - Czy istnieje bieżący plik rządowy na temat... - zmrużył oczy -...Geralda Savage'a?

Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza - komputer przeszukiwał pliki Net Force. - Istnieje.

- Czy plik jest utajniony?

- Nie jest.

- Otwórz plik na temat Geralda Savage'a - polecił Matt.

W mgnieniu oka nad konsolą pojawił się chłopak o grubo ciosanej, ale dość przystojnej twarzy. Miał trochę za duży nos i podbródek, a dłuższe brązowe włosy nosił

niedbale zaczesane.

- Ciekawe - mruknął Matt. - To plik Departamentu Stanu, a nie dane Net Force.

Wyglądało na to, że Gerald Savage był jednym z tych ludzi, którzy nadawali negatywne znaczenie instytucji immunitetu dyplomatycznego. Wdał się w kilka bójek, dzięki czemu zyskał przydomek „Dzikus Geny”.

Matta zainteresował fakt, że burdy Savage’a miały najwyraźniej polityczne podłoże. Jego ojcem był radykalny brytyjski polityk, opierający się na wyborcach z zacieklego kręgu antyirlandzkiego. Matt wiedział, że pomiędzy Brytyjczykami a Irlandczykami od wieków istniały antagonizmy. Irlandczycy przez wieki walczyli o wyrwanie się spod panowania brytyjskiego.

Jednak to antagonistyczne nastawienie od końca lat dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku przyjęło nowy kierunek, kiedy to Irlandia zaczęła prześcigać gospodarczo Wielką Brytanię. Na polu, na którym Anglicy swego czasu odczuwali wyższość, teraz pojawiła się zawiść. Sytuację pogorszył fakt, że w 2020 roku rząd brytyjski wreszcie zezwolił sześciu hrabstwom Irlandii Północnej na ponownie przyłączenie się do reszty kraju. Wielu Anglików czuło upokorzenie z powodu straty ich ostatniej kolonii - a Cliff Savage, ojciec Geralda, wykorzystywał zadawnioną nienawiść i gniew do zdobycia politycznej popularności.

Wyglądało na to, że rząd wysłał go na służbę zagraniczną, żeby pozbyć się go z kraju.

Matt pokręcił głową. Ale dlaczego przysłali go tutaj? Musieli zdawać sobie sprawę z potężnej społeczności Amerykanów irlandzkiego pochodzenia. A może o to właśnie chodzi? Być może ludzie w Londynie mieli nadzieję, że rodzina Savage’ow przyczyni się do jakiegoś międzynarodowego incydentu?

- Zamknij plik - polecił Matt. Znow zmarszczył czoło, ponieważ do głowy przyszła mu kolejna myśl. Caitlin Corrigan. To irlandzkie nazwisko. Co ona robi z chłopakiem, który wiesz psy na Irlandczykach?

Może tak funkcjonuje waszyngtońska socjeta? To zadziwiające, w jaki sposób stanowiska dyplomatyczne zbliżają do siebie ludzi, którzy w teorii są śmiertelnymi wrogami. Czasem w polityce można zdobyć punkty udając przyjaciół.

Z drugiej strony dwójka tych dzieciaków miała rodziców pozostających pod ostrzałem opinii publicznej. Może wydawało im się, że będzie zabawnie doprowadzać starych do białej gorączki, wybierając sobie na przyjaciela najbardziej nieodpowiedniego człowieka pod słońcem.

Ostatnio przerabiał „Romea i Julię”, słynną sztukę, w której dwoje dzieciaków ze skłóconych ze sobą rodów zakochało się w sobie.

Każdy z tych scenariuszy wyjaśniałby, dlaczego Caitlin i Dzikus Gerry trzymają się razem. Jednak wszystko wskazywało na to, że Matt będzie musiał się jeszcze wiele dowiedzieć na temat Cat Corrigan, zanim wpadnie na to, co w niej naprawdę siedzi.

Matt wiedział, że powinien zająć się „zadaniem”, przydzielonym mu przez wirtualnych wandalów - robótką, o której nie poinformował kapitana Wintersa. Jego próba działania pod przykrywką spaliłaby na panewce, gdyby nie udało mu się wywiązać się z powierzonego mu zadania.

Zamiast się tym zajmować, Matt wpatrywał się w holo-graficzny obrazek nad konsolą swojego komputera. Przedstawiał on Caitlin Corrigan w sukni wieczorowej, w której pojawiła się na jakimś balu dobroczynnym w towarzystwie swojej eskorty - Geralda Savage'a. Cat obdarowywała paparazzich figlarnym uśmiechem. Savage wyglądał tak, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

Jak Matt ma konkurować z tymi ludźmi? Należeli do najściślejzego grona uprzywilejowanych, zapraszanych na wszystkie wydarzenia towarzyskie. Jeśli im nie udało się dostać do Seana McArdle'a, jak mogą oczekiwać, że powiedzie się to Mattowi?

Chyba że... pomyślał nagle Matt, być może postawiłem niewłaściwe pytanie. Dlaczego oni nie mogą się dostać do Seana McArdle'a?

Wymazał obraz z konsoli komputera i rozpoczął nowe przeszukiwanie banku danych. Czytając doniesienia prasowe, które ściągnął z Sieci, zatrzymał wzrok na jednej linijce. W tym momencie jego twarz powoli zaczął rozjaśniać uśmiech. Kto wie, być może istnieje pewien sposób...

Dzień lub dwa później, Matt wszedł do Sieci z ikoną telekomunikacyjną, programem maski Leifa Andersona i protokołem w klipsie Caitlin Corrigan.

Zrobił pętlę, zanim skierował się do VR Caitlin, na wypadek, gdyby monitorowała skąd przychodzi.

Wpadamy w paranoję, co? - usłyszał w głowie cichutki głosik.

Może i tak. Jednak zachowanie anonimowości było jednym z niewielu asów w rękawie wobec tych bogatych dzieciaków. Doszedł do wniosku, że zachowanie tego asa warte jest pewnego wysiłku.

Matt leciał przez jarzący się świat Sieci, aż dotarł do innego zatłoczonego węzła danych. Wtedy zmienił się w Patyczaka i aktywował protokół komunikacyjny Cat. Ponownie przeniknął przez ściany wirtualnej willi Corriganów i znalazł się w bezgranicznie wielkim surrealistycznym krajobrazie osobistej VR Caitlin.

Cat pojawiła się chwilę później, ubrana w dżinsy i sweter. Miała białe stopy i

spuchnięte oczy.

- Wszystko u ciebie w porządku? - spytał.

- Tak, fantastycznie - odcięła się. - Moje życie znajduje się w rękach chłopaka, który przybiera postać z kreskówki, więc muszę skakać jak tresowana foka, kiedy tylko się pojawi.

Potarła twarz rękami i westchnęła. - Przepraszam. Wczoraj późno wróciłam. Wydawało mi się, że dosłownie przed chwilą przymknęłam oczy, kiedy pager powiadomił mnie, że tu jesteś.

Matt poczuł wręcz, że szkoda mu Caitlin. Momencik, pomyślał. Nikt jej nie kazał się w to mieszać. Pamiętaj o Leifie i innych ludziach, którzy odnieśli obrażenia, ponieważ ona doszła do wniosku, że potrzebuje w życiu trochę rozrywki.

- Myślę, że znalazłem sposób, żeby dostać się w pobliże Seana McArdle, tak jak chcą twoi przyjaciele. Zrobimy to jutro, więc się przygotuj. Będziesz potrzebować tego.

Matt rzucił Caitlin małą ikonę z programem.

Kiedy Caitlin ją złapała, wirtualny image dziewczyny zaczął ulegać zmianie. Jej błyszczące blond włosy nabrały myszowatego koloru, co nadało jej dość niechlujny wygląd. Twarz w kształcie serca wydłużyła się, przez co policzki jej się zapadły, a szczęka powiększyła. Usta zmieniły się w wąską kreskę, a niebieskie oczy nabrały koloru rozmytego orzecha.

Miejsce swetra i dżinsów zajęła workowata sukienka z dzianiny, spod której wystawała tania biała bluzka o prostym kroju. Znad przykrótkich mankietów wyglądały kościste nadgarstki i dłonie z poobgryzаныmi paznokciami. Brzydkie brązowe pantofle wystające spod przydługiej sukienki dopełniały całości.

Caitlin spojrzała w dół na swoją zmienioną postać i wykrzyknęła przeraźliwie.

- Moje włosy! Moje ubranie! Co ty zrobiłeś?

- Nie szalej - powiedział Matt. - To tylko maska. Będziesz jej potrzebować, żeby się tam dostać - podobnie jak ja.

Aktywował swój program maski i zmienił się w chudego rudzielca o piegowatej twarzy, ubranego w niezbyt czystą białą koszulę, kusy krawacik i spodnie od garnituru, które były na niego za krótkie o dobre trzy centymetry, przez co widać było spod nich białe skarpetki.

Caitlin spojrzała na niego i aż się wzdrygnęła. - Powiedz mi, że nie wyglądasz tak w rzeczywistości - powiedziała błagalnym głosem. - Byłby z ciebie prawdziwy kujon.

Wezwała wirtualne lustro i stanęła obok Matta, przyglądając się ich odbiciu. - A mnie zmieniłeś w istną kujonicę.

- Więc nikt nie domyśli się, że pod to maską kryjesz się ty albo ja. - Matt wygładził pomięty krawat na piersi swojej maski. - Pomyślą, że wyglądamy dokładnie jak para początkujących reporterów z naszej szkolnej gazetki.

Caitlin byстрыm wzrokiem spojrzała na niego. - Z gazetki?

- - Założę się, że ty i twoi przyjaciele próbowaliście wykorzystać wasze dyplomatyczne kontakty towarzyskie powiedział Matt. - Ale Sean McArdle nie lubi się bawić ani nie zaprasza innych na wirtualne balangi jak na przykład Lara Fortune. Nie, on jest poważniejszy, prawdziwy - jak wy to nazywacie - sztywniak. Wykorzystuje Sieć do nauki, nie do zabawy. Ale udostępnia swój system w jednym przypadku, którego - dam głowę - twoi kumple nigdy nie wzięliby pod uwagę. Raz w miesiącu prowadzi wirtualną konferencję prasową dla młodzieży. To wypada jutro. Musiałem trochę poszperać w komputerach szkolnych, ale zdobyłem dla nas przepustki, dzięki którym możemy wziąć udział w jutrzejszej konferencji jako reporterzy „Bradford Bulletin”.

- Zazwyczaj kasuję go, zaraz po tym, jak ładują nam go do komputerów - przyznała się Caitlin.

Chyba że jest w nim artykuł o dużej potańcówce, czy inna bzdurna informacja na temat któregoś z twoich elitarnych przyjaciół, pomyślał Matt.

Nie powiedział tego głośno. - Ja będę się nazywał Ed Noonan, a ty - Cathy Carty. Tu masz identyfikator i przepustkę. - Podał jej kilka ikon.

- Cathy - brzmi jak Cat. Dobrze pomyślane - zauważyła Caitlin. - Czy imię, które wybrałeś dla siebie, jest podobne do twojego prawdziwego imienia?

Matt jedynie uśmiechnął się kwaśno. - Ci ludzie nie istnieją, więc nie będzie ich jak z nami powiązać - ani z prawdziwą gazetą. Wybrałem irlandzkie nazwiska, bo pomyślałem sobie, że tacy właśnie dziennikarze chcieliby uczestniczyć w konferencji prasowej syna irlandzkiego ambasadora.

- O czym on będzie mówił? - zastanawiała się Cat.

- Nie mam pojęcia - przyznał się Matt. - Będziemy po prostu wymachiwać dookoła naszymi dyktafonami i robić dobrą minę do złej gry bez względu na okoliczności.

- To będzie coś nowego - stwierdziła Cat.

- Konferencja odbędzie się jutro po południu po zajęciach - powiedział Matt. - Jak chcesz to zrobić? Spotkamy się tutaj?

Caitlin dezaktywowała program maski i znów przybrała swoją postać. - Czemu nie - powiedziała, zawijając na palec kosmyk swoich blond włosów. - Ale nie polecimy stąd prosto do rzeczywistości wirtualnej.

Posłała Mattowi jeden ze swoich gorzkich uśmiechów. - Mam listę dobrych wyłączników lokalizacji. Dziś wieczorem wybiorę jeden z nich i przygotuję do użytku. Powinien nam pomóc, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy śledzić, skąd przybyli uczestnicy konferencji.

- Dobrze kombinujesz - skomentował krótko Matt. - W takim razie, do jutra.

Kiedy nazajutrz pojawił się w VR Caitlin, ona już miała na sobie maskę szarej myszki, którą Matt dla niej opracował.

- To ja, nie ma obawy - zapewniła Matta, krzywiąc kościstą twarz z niesmakiem, ponieważ zdawała sobie sprawę z tego jak wygląda. - Możesz mi wierzyć, że żaden z chłopaków nigdy by tego nie założył. - Caitlin wzięła do ręki wirtualną torbę, która świetnie pasowała do jej niemodnego stroju. - Gotowy?

Matt już miał na sobie maskę Eda Noonana, kiedy po nią przyszedł. - Gotowy - powiedział.

Wziął Caitlin za wyciągniętą ku niemu rękę. Mknęli przez Sieć, aż dotarli do symulacji dużego, bardzo realistycznego pomieszczenia, w którym znajdowały się stoły o kamiennych blatach ustawione przodem do podwyższenia z katedrą, również wykończoną kamieniem.

Matt puścił rękę dziewczyny. - Chwila! - powiedział. - Przecież to wirtualna pracownia chemiczna w Bradford!

Caitlin zachichotała. - Nie tylko ty potrafisz bawić się szkolnym systemem komputerowym.

Matt odburknął coś niezrozumiale. Temu gościowi udało się wprowadzić polecenie do szkolnego systemu komputerowego. Człowiek, który stał za wirtualnymi wandalami, spenetrował dokładnie wszystkie komputery w Akademii Bradford!

- No, chodź! - Caitlin spojrzała na staroświecki zegarek, który nosiła jej maska. - Jak będziesz się tak ociągał, to się spóźnimy.

Matt z westchnieniem wziął Caitlin za rękę. Dziewczyna poprowadziła ich na konferencję, posługując się protokołami dostępu, które zdobył Matt.

Zastanawiał się, czy węzeł Sieci ambasady irlandzkiej będzie miał motyw koniczyny lub będzie zaprojektowany jako oryginalna chatka. Niemal poczuł rozczarowanie, kiedy zobaczył, że oficjalna lokalizacja to typowa supernowoczesna konstrukcja.

Natychmiast skierowano ich do W Seana McArdle. Miejsce wyglądało jak duża sala wykładowa. Mattowi zaimponowała liczba młodych dziennikarzy, którzy się w niej zebrali. -

Przycupniemy z tyłu - szepnął do Caitlin.

- Świetna myśl - odpowiedziała cicho.

Wystarczy, że będą się przysłuchiwać, nie biorąc udziału w dyskusji. Zdziwił się jednak, że Caitlin nie usiadła, tylko stała z tyłu. Dokładnie kiedy wybiła umówiona godzina, na podium pojawił się Sean McArdle. Był wysokim, skupionym nieśmiałym chłopcem, którego najwyraźniej przerażała myśl o tym, że musi stanąć i przemawiać do takiego tłumu. A jednak z jakiegoś powodu - może, żeby przezwyciężyć ten strach - zamierzał poprowadzić konferencję prasową.

Głos mu załamał się, kiedy przedstawiał się, ale natychmiast posłał wszystkim rozbajający uśmiech. - Chyba nigdy nie nauczę się przemawiać - powiedział. - Fatalna sprawa, zważywszy na to, że zamierzam zostać politykiem.

Kiedy jednak przeszedł do spraw Irlandii i jej osiągnięć gospodarczych, to - zdaniem Matta - nawet jeśli nie był politykiem, to na pewno prawdziwym patriotą. Ten młody człowiek był dumny ze swojego kraju i jego osiągnięć.

- Gdy mój ojciec dorastał, wciąż jeszcze przyjmowaliśmy pomoc od Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej - mówił. - W tamtych czasach żartowało się „dzięki Bogu za niemieckich podatników”, ponieważ to oni płacili za drogi i infrastrukturę, żebyśmy mogli ich dogonić. Wiem, że wielu z was pochodzi z rodzin irlandzkich imigrantów. Więc myślę, że będziecie wiedzieli o co chodzi, kiedy powiem, że pewni ludzie - pewne państwa - zawsze starały się utrwalić nasz wizerunek jako ludzi niemrawych i leniwych. A jednak trzydzieści lat temu my „leniwi Irlandczycy” mieliśmy największy odsetek wykształconych młodych ludzi w Europie. Zdobywaliśmy najbardziej intratne stanowiska w kraju, którego nazwy nie wymienię, zajmowaliśmy się oprogramowaniem komputerowym, a nawet pracowaliśmy nad elementami amerykańskiego programu kosmicznego.

McArdle zatoczył ręką po wirtualnej sali spotkań, w której się obecnie znajdowali. - Jesteśmy bardzo zaangażowani w pracę nad Siecią. Wszystkie budowle tego wężła, łącznie z VR, w którym się znajdujemy, zostały zaprogramowane przez irlandzkich specjalistów. Jeśli podoba się wam lokalizacja, mam prawa autorskie i mogę rozdać wam kopie.

Teraz kiedy już stał na podium i przemawiał, na jego wydatnych kościach policzkowych pojawił się lekki rumieniec.

- Bogata gospodarka stworzyła problemy, których nie byliśmy w stanie przewidzieć - na przykład napływ nielegalnych imigrantów. Nie jesteśmy dużym krajem, a przez wieki byliśmy jednolitym pod względem narodowościowym społeczeństwem. To sprawia, że potencjalnym uchodźcom trudno się znaleźć w naszej rzeczywistości - i nie każdy ma

odpowiednie kwalifikacje, żeby korzystać z naszego dobrobytu. Wiem, że to spowodowało uczucie rozczarowania u uciekinierów z terenów konfliktu na Bałkanach. Ale - zwłaszcza w ostatnich latach - Irlandia wysunęła się na czoło w grupie krajów inwestujących pieniądze w tym regionie. Mogą się one przyczynić do utworzenia nowego klimatu sprzyjającego rozwojowi interesów, tak jak nasi partnerzy ekonomiczni swego czasu uczynili dla nas.

Młody Sean McArdle zaczął pokazywać holograficzne filmy, obrazy i wykresy, wyglądało na to, że przemawianie nie sprawia mu już najmniejszego kłopotu.

Może zostanie politykiem w swoim ojczystym kraju, pomyślał Matt, ale na razie zaczynam się nudzić.

Poszukał wzrokiem Caitlin, żeby się przekonać, jak się jej podoba prezentacja. Pochodziła z rodziny senatora, więc pewnie bez przerwy słyszała takie przemowy.

Stała tyłem do ściany, w połowie skryta w cieniu i nawet nie próbowała słuchać. Obracała coś w rękach. Matt przyjrzał się temu dokładnie. Co to jest? Jakaś etykiетка? Wyglądało dokładnie tak, jakby się tym bawiła. Kiedy zrobił krok w jej stronę, odkleiła coś od etykiетки i przycisnęła do ściany za plecami.

Matt usilnie starał się rozpoznać, co to takiego. Byłoby głupie, gdyby tak jej zależało na dostaniu się gdzieś tylko po to, żeby dokonać małego aktu wandalizmu. Okaże się pewnie, że to jakieś wredne hasło antyirlandzkie autorstwa Geralda Savage'a. Jak to mogło działać? Błyszczec za jasno? Dymiec?

A jednak etykiетка zachowała się jeszcze dziwniej. Zmienił się jej kolor, przybierając ciemnozieloną barwę ściany. Zamiast się odcinać, etykiетка zdawała się maskować.

Matt podszedł bliżej, próbując odnaleźć dziwny przedmiot. Ale on zaczynał już znikać... nie wtapiał się w wirtualną farbę, lecz stawał się częścią wirtualnej ściany!

- O co ci chodzi? - syknęła Caitlin, kiedy Matt podbiegł i gwałtownie odepchnął ją od ściany. - Co ty robisz? - spytała bardziej przestraszonym niż rozgniewanym głosem.

Nie zwracał na nią uwagi, drapiąc ścianę swoimi wirtualnymi poobgryzаныmi paznokciami. Na próżno! Nalepka, którą Cat przykleiła do zielonej ściany, zniknęła bez śladu.

Dziwna nalepka w jakiś sposób połączyła się w jedno z symulacją tego pomieszczenia. Och, to całkiem możliwe, że program irlandzkich specjalistów usunął element, który nie pasował do całości. Ale tu mamy do czynienia z wirtualnym wandalami, pomyślał Matt. Nie wydaje mi się, żeby dzieło Geniusza zniknęło tak po prostu. Chyba że specjalnie tak zostało zaprogramowane.

Spojrzał zimno na Caitlin Corrigan. - Ta etykieta, którą się bawiłaś, to była ikona z programem, zgadza się? Kiedy usunęłaś podklejkę, aktywowałaś program, który teraz znalazł drogę do kodowania tej symulacji - pewnie dla całej YR.

Dostrzegł w jej oczach iskierkę przerażenia. Kiedy zastanawiał się, dlaczego tak się przerażyła tym, co odkrył, złapał ją za rękę. To był dobry pomysł, ponieważ zaledwie wszedł z nią w kontakt, Caitlin uciekła z konferencji prasowej.

Ponieważ Matt nie puścił jej dłoni, razem z nią pędził niczym rakieta po Sieci.

Caitlin starała się go pozbyć, ciągnąc go przez ryczące rzeki dziennej wymiany danych. Godziny od dziewiątej do piątej były najbardziej zatłoczone przekazem informacji. Matt trzymał się jej z całych sił, objijając się po Sieci niczym kula bilardowa lecąca z prędkością światła. Bardzo chciał uzyskać odpowiedź na dwa pytania. Co zawierał program schowany w nalepce, którą zostawiła w VR Seana McArdle'a? I czemu wystarczyło jego pytanie o to, żeby rzuciła się do panicznej ucieczki?

Cat spazmatycznie chwytała powietrze, jakby przebiegła całe kilometry - a może płacze? Wreszcie wirując wpadli do znajomego pomieszczenia. Znów byli w wirtualnej pracowni chemicznej w Akademii Bradford.

- Wiesz - odezwał się Matt - kumpel, z którym pracuję w laboratorium chemicznym, tak wszystko pokręcił, że w realnym świecie o mało nie wysadziliśmy pracowni w powietrze. Zamiast tego system zamroził reakcję i usunął z symulacji wszystkie chemikalia. No i wszyscy z nas się śmieli z powodu wielkiego czerwonego napisu, który się pojawił - ZAINICJOWANA NIESTABILNA REAKCJA. Przez całe tygodnie nazywali nas Niestabilnymi Facetami, aż ktoś inny przebił nas, wylewając sobie na koszulę kwas solny. Chyba mieliśmy szczęście. Tamten wciąż ma ksywkę Plama.

Gadasz głupoty, pomyślał. Zamknij się, zanim powiesz za dużo!

Caitlin usiadła na jednym z kamiennych stołów laboratoryjnych i zamknęła oczy. - Puść mnie - powiedziała błagalnym głosem.

- Opowiedziałem ci te historyjki, żeby ci pokazać, że każdy popełnia błędy-wyjaśniał delikatnym głosem Matt. - Myślałaś, że nie spytam o ten naklejony program, jeśli zobaczę, jak go używasz? Trzeba przyznać, że jest pomysłowy. Koronkowa robota. Raczej nie w stylu twojego wystrojonego w biżuterię kumpla ani animowanego kowboja. Spreparował go ten gość, który przemienił wielką żabę w eleganckiego szermierza?

Caitlin wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, z policzkiem opartym o zimny kamienny blat stołu. - Nie mogę ci powiedzieć, po prostu nie mogę!

- Chodzi ci o to, że najpierw musisz obgadać to ze swoimi przyjaciółmi? - spytał Matt. - Mogę się na to zgodzić.

- Daj mi spokój! - W oczach Caitlin pojawiły się łzy i zaczęły spływać po policzkach.

Matt nie mógł patrzeć, jak dziewczyna płacze. Poluzował chwyt i Caitlin zniknęła w jednej chwili.

Brawo, pogratulował sobie gorzko w myślach. To już drugi eksperyment, który sknociłeś w tej pracowni. Szczęście, że program kontrolny nie działa, bo inaczej wokół mnie świeciłby napis SENTYMENTALNY FRAJER.

Matt pośpiesznie wyniósł się z pracowni chemicznej - z wyjątkiem zajęć nie wolno było w niej przebywać. Miałyby spore kłopoty, gdyby ktoś go tutaj zastał. Zanim wrócił do swojej VR, dla ostrożności odwiedził jeszcze jeden duży węzeł w Sieci.

Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był przekonany, że za wirtualnymi wandalami ktoś stoi. Ten Geniusz wystraszył Caitlin na śmierć, a przecież nawet nie mrugnęła, kiedy jej koledzy grozili Mattowi, że uciszą go na zawsze. Była spokojna nawet wtedy, kiedy Klejnot - Dzikus Gerry, pochylił się nad nią złowrogo, grożąc, że dostanie manto.

Co takiego jest w człowieku, który zaprojektował te programy? Czemu tak przeraża Caitlin, że zrywa się do ucieczki? Najpierw musi zbliżyć się do Geralda Savage'a i dowiedzieć się, jak dobrze ten Anglik zna się na programowaniu. W jakiś sposób będzie również musiał zdemaskować pozostałych wandalów i sprawdzić ich pod tym samym kątem. To, że program-etykieta jest o wiele subtelniejszy od masek, których używali trzej chłopcy, powiedział na wycucie. A z drugiej strony, może ktoś rzeczywiście wyrafinowany kryje się za typową maską...

Matt dotarł do swojej VR, przerwał połączenie i siedział zmęczony na swoim

komputerowym fotelu. Mógł się bawić w zgadywanke pod tytułem „a co jeśli” do czasu, aż wyrosłaby mu siwa broda. A Net Force potrzebowało choćby małej próbki oprogramowania wandalii.

Wstał z fotela i poszedł do telefonu. Złapał kapitana Wintersa w ostatniej chwili. Kapitan nie był zachwycony, że go słyszy.

- Czy sugerujesz, że w sprawę zamieszany jest również syn irlandzkiego ambasadora?
- spytał ostro.

- Nie, sir. Myślę, że on może być celem. Ma dość łatwo dostępny VR. Używa go do konferencji prasowych.

- I jest chroniony immunitetem dyplomatycznym - przerwał mu Winters.

- Myślę, że oprogramowanie zostało uszkodzone - ciągnął Matt. - Może spróbowałby pan skontaktować się z kimś nieoficjalnie i powiedzieć, że słyszał pan o konferencjach prasowych i podkreślił zainteresowanie ich oprogramowaniem. Oni rozdają kopie tego programu. Jeśli poprosi pan o nagrania z kilku ostatnich konferencji, istnieje szansa, że dostanie pan kopię z uszkodzonym kodowaniem.

Kapitan Winters wydał z siebie krótkie, gniewne burknięcie. - Nożna spróbować - zgodził się. - Postaram się z nimi skontaktować i zobaczymy, co z tego wyniknie.

Telefon zadzwonił, kiedy rodzina Hunterów właśnie siadała do obiadu. Słuchawkę podniosła w kuchni matka Matta, odstawiając najpierw tacę z proteinowymi kotletami, które przygotowała na obiad.

- Słucham. Tak, panie kapitanie. Jest.

Podala telefon Mattowi, po czym wskazała na tacę. Matt pojął iluzję. - Dobry wieczór, panie kapitanie. Właśnie siadaliśmy do obiadu.

- Będę się streszczał - powiedział szorstko kapitan. - Wygląda na to, że miałeś rację z tym uszkodzeniem oprogramowania. Dostałem kopię z ambasady irlandzkiej i posłałem ją do Quantico. Nasi spece znaleźli cały odcinek kodowania, które nie należy do tego oprogramowania. Wygląda jak przestarzały program tajnego wejścia, umożliwiający dostęp do symulacji i sprzętu komputerowego z zewnątrz.

- Naprawdę? - spytał zdziwiony Matt. - A ja myślałem, że nowoczesne oprogramowanie uniemożliwia tego typu sytuacje.

- Już nie - powiedział ponuro kapitan. - To może być przestarzały program, ale ten, kto go zmajstrował, zdołał ominąć najnowsze programy standardowe bezpieczeństwa. Przerwał na sekundę. - W Net Force jest mnóstwo ludzi którzy chętnie zamieniliby parę słów z tym

gościem.

- Jeśli wpadnę na jakiś trop, panie kapitanie, na pewno dam panu znać.

Kapitan Winters wydał z siebie dźwięk podejrzenia przypominający niedowierzające „Aha” i powiedział: - To chyba wszystko, czego możemy się spodziewać. Do widzenia, Matt.

- Do widzenia, sir. - Matt odwiesił słuchawkę i poszedł na obiad. Siedział przy stole, niewiele jedząc, aż jego ojciec wstał i zaczął zbierać naczynia, a potem je zmywać. Matt wycierał je do sucha. Kiedy skończył, poszedł do swojego pokoju i usiadł w komputerowym fotelu.

Zanim przebrał się w Patyczaka, którego program dostał od Leifa Andersena, znów najpierw dotarł do dużego węzła w Sieci. Potem aktywował protokół komunikacyjny Cat Corrigan i ruszył w podróż po neonowym świecie. Zbliżał się do terenów rządowych w Sieci. Potem skręcił do spokojniejszej dzielnicy bogaczy.

Dokładnie na wprost zobaczył jarzącą się kopię Mount Vernon.

Śmignął prosto to jaśniejszej ściany... i uderzył w nią.

Matt zwinął się w kłębek na swoim komputerowym fotelu, łapiąc się za głowę, jakby się bał, że zaraz mu odpadnie. Zęby miał zaciśnięte tak mocno, że bolała go szczęka. Nie chciał jednak krzyczeć, żeby nie zaalarmować rodziców.

Wydawało mu się, że ból zaatakował wszystkie neurony w jego mózgu. Nieraz zdarzył mu się taki wypadek w systemie, a ten nie był od nich gorszy. A na pewno łagodniejszy od szoku, jaki przeżył Leif Anderson po zetknięciu się z wirtualnym pociskiem.

Matt był przytomny, oddychał... i dokładnie czuł każdy impuls wędrujący po jego systemie nerwowym. Wiedział, że ostry ból przeminie. Kiedy się jutro obudzi, będzie miał jedynie lekką migrenę. Tak naprawdę bolał go sposób, w jaki został odcięty od Caitlin Corrigan.

Nie ma co, pomyślał, kiedy ta dziewczyna nie chce odpowiadać na pytania, daje to jasno do zrozumienia!

Nawet sen nie zlikwidował do końca bólu głowy - tego fizycznego i duchowego - po wypadku Matta w systemie Cat Corrigan. Jadąc autobusem wyobrażał sobie konfrontację z dziewczyną - jak łapie ją za ramiona i zdrowo potrząsa. Czy ona nie rozumie, że Matt chce jej pomóc?

Zirytowany pokręcił głową i zaraz tego pożałował. Oczywiście, nie wie, że on chce jej pomóc. Tak naprawdę on jej wcale nie pomaga. Próbuje tylko odnaleźć wirtualnych wandal, którzy narobili takiego zamieszania i skrzywdzili Leifa Andersona. Czy pokręciło mu się w głowie tylko dlatego, że jeden z tych wandal okazał się ładną... i wystraszoną dziewczyną?

Poza tym nie mógł spotkać się z Caitlin, nie zdradzając jednocześnie swojej tożsamości. Chyba że sam chciał się stać nowym celem dla tych świrusów, którzy strzelają do ludzi w holograficznej formie. Teraz jednak, kiedy Caitlin się przed nim ukrywała, stracił szansę na zdemaskowanie pozostałych członków tej grupy. Chociaż...

Z powodu migreny Mattowi wydawało się, że w szkole jest bardziej hałaśliwie niż zwykle. Starając się nie zwracać na to uwagi zamachał d< Andy'ego Moore'a i Davida Graya.

- Idioci - jęknął Andy. był na etapie tak czerwonej od opalenizny twarzy, że schodziła mu skóra i wściekał się, że część kolegów i koleżanek z klasy nadała mu przydomek Strupek. Z powodu gniewu i poparzeń słonecznych miał twarz bardziej czerwoną niż kiedykolwiek.

- Rób tak dalej, a zaczną cię nazywać Pomidor - ostrzegł go David. - Poza tym sam nadałeś paru osobom przezwiska. Kto pod kim dołki kopie...

- ...sam w nie wpada, wiem - zrzędził Andy. - Ale to nie znaczy, że ma mi się te podobać.

Uśmiechnął się szeroko do Matta. - Jak tam twoje wielkie śledztwo? Domyślam się, że dlatego nas do siebie wezwałeś - zwłaszcza że nie odzywałeś się do nas od soboty. Cały czas spędzasz z... Caitlin?

Andy wypowiedział im? dziewczyny niemożliwie słodkim głosem i zakończył go romantycznym westchnieniem.

Matt nie wiedział, czy się zawstydić, czy zdenerwować. - Daj już z tym spokój! - rzucił krótko. - Próbuje się czegoś dowiedzieć o trzech chłopakach, którzy są w tej bandzie.

- To znaczy, że Caitlin jeszcze ci tego nie powiedziała? - spytał znaczącym głosem Andy.

- Może byś już dał spokój, Strupek, co? - powiedział David i, ignorując obecność Andy'ego, zwrócił się do Matta. - Jak mogę pomóc?

- Hej, nie bądź taki - powiedział pośpiesznie Andy. - Ja też chcę pomóc.

Matt wyjął z torby dwa infozbiory. Każdy zawierał kopię pliku, który dostał z sieci Net Force, o dzieciach dyplomatów utrzymujących kontakty z Cat Corrigan.

- Uporządkowałem ich na dwóch listach. Na jednej jest parę setek obcokrajowców, których widziano z Caitlin Corrigan. Druga to pierwszych dziesięciu dzieciaków dyplomatów, które ją znają. Chciałbym wiedzieć, czy któryś z nich mógłby być hakerem. - Matt skrzywił się. - Ktoś musiał opracować program, dzięki któremu wirtualni wandalę robią to, co robią. Nie kupili tego w swojej przyjacielskiej dzielnicy w Microshop.

- Więc myślisz, że program do kopania tyłków został stworzony przez szalonego Geniusza z kolonii dyplomatycznej? - Andy uniósł brwi.

- Nie wiem - przyznał się Matt. - Ale wiem, że pozostali wandalę wyglądają na cudzoziemców. Jeden to Angol, drugi mówi z jakimś europejskim akcentem, a trzeci chyba wcale nie zna angielskiego. Więc mam do załatwienia dwie sprawy.

- Biorę na siebie zadanie sprawdzenia tego problemu z językiem - powiedział szybko Andy. - Założę się, że w dzisiejszych czasach w kołach dyplomatycznych nie ma zbyt wielu ludzi, którzy nie mówią po angielsku. Kto by chciał ambasadora, który nic nie kuma?

- Więc zakładasz, że taki dyplomata będzie się wyróżniał? - spytał David.

Andy kiwnął głową zadowolony.

- Oczywiście, ambasador będzie chciał zachować ten fakt w tajemnicy - ciągnął David.

Nagle Andy zaczął wyglądać na zaniepokojonego.

- Z drugiej strony - powiedział David - kursy komputerowe lub nagrody muszą być ogólnie dostępne. - Uśmiechnął się szeroko do kolegi. - Kurczę, cieszę się, że mnie się dostało takie łatwe zadanie.

Matt wciąż chichotał, kiedy szedł do klasy na pierwsze zajęcia.

Niestety, dalsza część dnia nie dała mu już powodów do radości. Przez swoje śledztwo zaniedbał naukę. Wyglądało na to, że wiadomość o tym natychmiast pojawiła się w Sieci Nauczycielskiej, ponieważ każdy wykładowca po kolei znajdował jakiś sposób, żeby Matta pognać.

Podczas lunchu Sandy Braxton wyraził swoje współczucie. - Pan Fairlie dał ci dzisiaj niezły wycisk - powiedział. - Myślałem, że takie cięte riposty ma tylko na mój użytek. - Sandy zaczął się śmiać, ale nagle przerwał. - Mam nadzieję, że nasz projekt nie za bardzo cię pochłonał.

Bardziej prawdopodobne, że martwi się, czy nie zepsuje tego, czego jemu się nie uda, pomyślał Matt.

Jakiegokolwiek Sandy miał zmartwienia, najwyraźniej zapomniał o nich, kiedy zaczął opowiadać o jakimś szczególe, który odnalazł na temat bitwy pod Gettysburgiem. Okazało się, że walczył w niej jakiś jego przodek. - Mój prapraprapradziadek wstąpił do regimentu w Wirginii i walczył aż do Gettysburga - powiedział Andy. - Tam odstrzelono mu rękę.

- Czy to się stało podczas szarży Picketta? - spytał Matt. Jeśli dobrze pamiętał, ten generał poprowadził oddziały z Wirginii na z góry przegrany atak.

- Nie. Mój pra-jakiś-tam dziadziuś dostał pierwszego dnia bitwy.

- Och - powiedział Matt. Łatwo było zgadnąć, w jaki sposób Sandy zawsze zbacał na plotkarskie tereny historii. Może interesowały go też plotki towarzyskie?

Matt zdecydował, że go wypróbuje. - Hej, Sandy, słyszałem plotki o jakichś dziwnych sprawach, które się dzieją w kręgach dzieciaków dyplomatów. Wiesz coś o tym?

Chłopak tylko wzruszył ramionami i pokręcił przecząco głową. - Moja rodzina nie ma wiele wspólnego z kręgami dyplomatycznymi - powiedział. - Poza tym, że mój tato zarobił na niektórych z nich mnóstwo pieniędzy. Buduje zamknięte osiedle nad rzeką Anacostia. Myślał, że wprowadzą się tam ludzie z Kapitolu, a zamiast nich zaroilo się tam od ambasadorów. Nie, żeby to tacie przeszkadzało. - Na twarzy Sandy'ego wolno pojawił się szeroki uśmiech. - Pieniądz to pieniądz, bez względu na to z jakiego kraju pochodzi.

Kiedy Matt wrócił ze szkoły do domu, próbował popracować nad esejem, który pisał z Sandym. Jednak myślami wracał do listy ambasadorskich dzieci, czując, że jeszcze trochę wysiłku pomogłoby mu odkryć jakąś tajemnicę.

Zauważył, że wszystkie adresy skupiały się w dwóch miejscach. Jeden miał kod pocztowy północno-zachodniego Waszyngtonu, a drugi jego południowo-zachodniej części. Wiedział, że większość ambasad skupiała się w północno-zachodniej części. Czy te południowo-zachodnie adresy należały do rodzin cudzoziemców, którzy przenieśli się na osiedle wybudowane przez ojca Sandy'ego?

Włączył opcję wyszukiwania danych, żeby popracować nad tymi pytaniami i nieco się zszokował na widok ilości trafień, które niebawem pojawiły się na ekranie. Poprosił o streszczenie i nad jego konsolą komputerową pojawił się hologram artykułu zatytułowanego „Wędrowni Populacji - Waszyngton”. Przeglądając go Matt dowiedział się, w jaki sposób rząd federalny i prywatni developerzy latami zmieniali oblicze miasta. Jedną z rzeczy, która go zdziwiła, był płaski czarno-biały film sprzed prawie stu lat. Widać na nim było kopułę

Kapitolu wznoszącą się nad sznurkami z praniem rozwieszonym na podwórku chylącego się drewnianego domu.

Matt nie mógł uwierzyć, że takie paskudztwo miało rację bytu na Kapitolu. Teraz znajdował się tam budynek rządowy. Zresztą, tereny na południowy-wschód od Kapitolu były domem dla biedoty przez następne pięćdziesiąt lat od nakręcenia tego filmu, a odosobnione miejsca, gdzie gnieździła się biedota, zachowały się nawet po nastaniu nowego stulecia. W artykule zamieszczone były też zdjęcia nowej, zamkniętej społeczności, w miejscu nazywanym Ogrodami Carrollsburgu, na pamiątkę starego miasta, które istniało na tym terenie, zanim jeszcze zaczęto budować Waszyngton. Matt nie mógł się powstrzymać od śmiechu, kiedy przeczytał, że później, gdy nadeszły biedniejsze czasy, miejsce to zaczęto nazywać Przylądkiem Sępów.

Zamknął artykuł i wrócił do listy z nazwiskami, kiedy komputer dał sygnał dźwiękowy oznaczający, że ktoś mu wysłał plik. To był raport od Davida. Na liście osób powiązanych z Cat Corrigan nie znalazł zbyt wielu ludzi, których można by zaliczyć do czarodziejów komputerowych z kręgów dyplomatycznych. Wysoko na liście maniaków komputerowych Davida znajdował się Sean McArdle, syn irlandzkiego ambasadora. Matt zauważył też, że mieszka on na terenie Ogrodów Carrollsburgu. Jednak wyglądało na to, że Caitlin niespecjalnie dogaduje się z hakerami. Pewnie uważa ich za sztywniaków, pomyślał Matt, przeglądając listę. Znajdowało się na niej zaledwie kilka nazwisk, z których żadne nie pokrywało się z pierwszą dziesiątką. David dołączył wycinek z wiadomości, w którym Gerald Savage chętnie się, że jest niemal analfabetą komputerowym, co musiało być aluzją do wszystkich irlandzkich programistów zalewających brytyjski rynek pracy. David uważał to za dość zabawne, ale Matt się nie śmiał. Ignorancja tego typu - i duma z niej - leżały jak najbardziej w charakterze Dzikusa Gerrego.

Matt zmarszczył brwi i nadal z zainteresowaniem przyglądał się obu listom oraz wycinkowi i zdjęciu twarzy Geralda Savage'a.

- Komputer - powiedział nagle - przygotuj opcję wyszukania Newshound. Przeszukaj dostępne medialne bazy danych na temat znajomych Geralda Savage'a. Szczególnie akty przemocy i wybryki. Uporządkuj pod względem częstotliwości występowania. Potem porównaj z obecnymi listami.

Matt westchnął i polecił, żeby komputer przetwarzał dane w tle, podczas gdy na ekranie pojawił się infozbiór od Sandy'ego Braxtona. Równie dobrze mogę coś poczytać, pomyślał Matt. Całe to przeszukiwanie i uporządkowywanie zajmie sporo czasu.

Zaczął odrabiać pracę domową, kiedy komputer ponownie wydał sygnał dźwiękowy.

Był to Andy Moore, który wysyłał mu elektroniczny plik. Naturalnie jego raport było o wiele bardziej luźny, od tego, który przysłał mu David.

Cześć, Matt!

D.G. miał rację. Ambasadorzy niechętnie się przyznają do nieznajomości angielskiego. Ale znalazłem dwa wyjątki w departamencie dyplomatycznych dzieciaków - tych, którzy prawdopodobnie korzystają z programu Mistrz Idiomów. W czasach, kiedy w modzie były tańce-łamańce, Cat poszła na randkę z Niemcem, który nazywa się Gunter Mohler. Dobry wybór partnera, jeśli tańczysz coś co w połowie jest tańcem, a w połowie karate. Gość jest zbudowany jak połączenie skrzydłowego futbolu i lawety. Zdaje się, że jego matka - wdowa - wychowała go na „prawdziwego Niemca” - mówi jedynie językiem swoich przodków. To musi być uciążliwe dla jego ojczyma, który pełni funkcję attache handlowego w ambasadzie.

No i jest też Drażko Mironovic, syn ambasadora Słobodanii, nowego kraju na Bałkanach. Wiesz, jacy nacjonaści żyją w tamtej części świata. Języki obce są surowo zabronione - zwłaszcza dla kogoś o ambicjach politycznych.

Udało mi się znaleźć tylko tych dwóch.

Mam nadzieję, że ci pomogłem.

Pod koniec lektury komputer jeszcze raz zapikał. Rzut oka na obraz holograficzny wystarczył Mattowi, żeby się przekonać, że wyszukiwanie danych dobiegło końca.

- Dobra - mruknął Matt. - Porównajmy wszystkie listy.

Praca wyglądała trochę tak, jak przy szkolnym wykresie. Każdy z podejrzanych mógł mieć szerokie grono przyjaciół, ale Matt sprawdzał tylko wspólnych znajomych. Wciąż było mnóstwo ludzi, ale bez porównania mniej niż na początku. Skrzywił się. Lista Andy'ego jednak niewiele pomogła. Zarówno Giinter Mohler, jak i Drażko Mironovic pojawiali się w rejestrze znajomych Savage'a i Corrigan. Uwagę Matta przyciągnęło jeszcze jedno nazwisko, ponieważ wydało mu się dziwnie znajome. - Komputer - odezwał się. - Osobnik Lucien Valery. Najnowsze doniesienia w mediach.

Hologram komputerowy zamigotał, a następnie pokazał artykuł o dowcipie, którego ofiarą padł pewien trener szermierki. Nauczyciel ukarał francuskiego szermierza - Luciena Valery, podczas sędziowania rozgrywek szermierskich. Kiedy jechał do domu, został trafiony bombą z farbą, która pokryła jego skórę czerwoną, białą i niebieską farbą - kolorami francuskiej flagi.

Valery był podejrzewany o podłożenie farbującej bomby, ponieważ znany jest z tego typu kawałów. Jednak nic mu nie udowodniono - być może dlatego, że to syn francuskiego dyplomaty. Zresztą dowcip bardzo mu zaszkodził, ponieważ stracił szansę reprezentowania swojego kraju na olimpiadzie w drużynie szermierczej.

Francuz, pomyślał Matt. Jeśli ludzie chcieliby go urazić, nazwaliby go żabojadem.

Natychmiast pomyślał o dwumetrowej żabie, która brała udział w jego spotkaniu z wirtualnymi wandalami. Czy to możliwe?

Z drugiej strony, Lucien Valery pokazał, że ma nietypowe poczucie humoru. Kiedy żaba chciała go wystraszyć, przybrała postać starodawnego szermierza... a Lucien Valery wiedział, jak się posługiwać szpadą.

Matt próbował sobie przypomnieć, co mówił Francuz. Czy miał francuski akcent? Nie pamiętał, był za bardzo skupiony na ostrzu wymierzonym w jego gardło i na rewolwerze wycelowanym w jego głowę. Teraz miał przynajmniej kilku podejrzanych do rozpracowania. Oraz nowy pomysł. Zerwał się z fotela i pobiegł do telefonu. Może uda mu się złapać kapitana Wintersa, zanim ten wyjdzie z biura.

- Winters - odezwał się w słuchawce głos kapitana.

- Sir, tu znów Matt Hunter. Myślałem o tym programie-tajnym wejściu, który pan znalazł. Jestem pewien, że pańscy ludzie rozebrali go na kawałki, żeby sprawdzić, jak działa. Czy jakieś jego części wyglądały na - no, na zagraniczne?

- Wciąż upierasz się przy teorii, że ci kawalarze, to dzieci dyplomatów, co Hunter? - Kapitan Winters był w zdecydowanie lepszym humorze, niż podczas ich ostatniej rozmowy. - Cóż, pewnie rozczaruje cię to, co powiedzieli nasi specjaliści. Tajne wejście, które znaleźliśmy w programie irlandzkiej konferencji prasowej, zostało opracowane na bazie taniego, dostępnego w każdym sklepie komputera przez kogoś, kto posługuje się raczej prymitywnym oprogramowaniem. Nie wygląda to na robotę bogatego i uprzywilejowanego dziecka dyplomaty, nie uważasz?

- Hmm, chyba nie - przyznał mu rację Matt.

- Nie. - Głos kapitana nie był już tak pogodny. - To oprogramowanie było równie amerykańskie jak szarlotka mamusi.

Matt pożegnał się z kapitanem Wintersem i wrócił do swojego komputera. Czuł się, jakby przed chwilą ziemia usunęła mu się spod nóg. Nawet gdyby kapitan Winters nie czepiał się jego teorii i tak wiedział, że ma rację. W końcu to on wysledził Cat Corrigan i udowodnił, że ona jest w to zamieszana. Był prawie pewien, że Gerald Savage to drugi z zamaskowanych wandalów. No i miał kilku podejrzanych wśród ogromnej liczby dzieci dyplomatów zamieszkałych na terenie Waszyngtonu. Dlaczego więc ta banda dzieciaków, która miała świat u swoich stóp, popełniała przestępstwa posługując się tandetnymi programami? To nie trzyma się kupy. Zamknął oczy i przywołał w myślach obraz osobliwej krainy czarów w osobistej rzeczywistości wirtualnej Cat Corrigan. Całość pachniała dużymi pieniędzmi. Nie wiedział za wiele na temat tego białego pokoju, w którym znaleźli się wraz z Caitlin, żeby spotkać się z pozostałymi członkami grupy. Natomiast maski, którymi się posługiwali w celu ukrycia swojej tożsamości, zdecydowanie były kosztowne - robione na zamówienie, bardzo drogie symulacje. Szkolni reporterzy, których wymyślił Matt, byli prymitywni w porównaniu z tym, czego używali ci goście. Z drugiej strony, jego kreacje nie musiały się zmieniać w superszermierza. To się po prostu nie trzyma kupy. Czy to tanie jak barszcz oprogramowanie może być kolejną zasłoną dymną? Próba powstrzymania potencjalnych śledczych od szukania podejrzanych wśród bogatych dzieciaków? Zdaje się, że w przypadku kapitana Wintersa sztuczka zadziałała. Winters szukał obecnie osoby amerykańskiego pochodzenia, pracującej na przestarzałych systemach komputerowych. W takim razie człowiek, który opracowuje oprogramowanie dla wirtualnych wandalów, musi być niewiarygodnym geniuszem. On lub ona musi być zdolny - rezygnując z najnowocześniejszej technologii-do tworzenia programów, które są w stanie przechytrzyć najbardziej wyrafinowaną technologię, a do tego korzysta ze sprzętu, który większość ludzi uznałaby za złom.

Poza tym nadal istniała możliwość, że ten domniemany Geniusz może udawać biedaka. Członkowie grupy zawsze nosili megadrogie maski, kiedy robili swoje bandyckie wypadki do cudzych VR. Mowy nie ma, żeby ich symulacje z Camden Yards były robione naprędce i tanim kosztem. Matt westchnął. Kolejną dobrą teorię można spuścić w toalecie. Czy istnieje jakiś rozsądny powód, żeby posługiwać się czymś, co reszta rodaków uznałaby za przestarzały sprzęt? Niektórzy Europejczycy mieli oszczędne podejście do urządzeń mechanicznych. Matt przypomniał sobie, jak na zajęciach z programowania czytał o tym, że pewne systemy operacyjne wciąż były wykorzystywane w europejskich komputerach, choć w Stanach Zjednoczonych dawno uważano je za starocia. Może Giinter Mohler uczył się obsługi

komputera na takim przestarzałym systemie? Albo Drażko Mironovic? Matt wiedział, że na Bałkanach znajdują się całe pokłady starego sprzętu. Różne siły pokojowe służące tam przez dziesiątki lat zostawiły po sobie mnóstwo komputerów wojskowych. Wtedy jednak musiałyby założyć, że Giinter lub Drażko to kryptogeniusze komputerowi. Czy David Gray mógł ich przegapić w swoich poszukiwaniach danych? Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Matt wszedł do komputera i wysłał wiadomość do Davida:

Mam dwóch potencjalnych typków, którzy nie znają angielskiego. Chcę wiedzieć, jak dobrze znają się na komputerach.

Dołączył plik, który przysłał mu Andy, i czekał, co na to powie David. Niedługo potem komputer zapikał. Wiadomość od Davida była krótka:

Ci ze Slobodanii mają lekką paranoję, jeśli chodzi o system bezpieczeństwa sieci komputerowej. A co do niemieckich komputerów, cóż, lepiej nie pytaj, jak trafił do twoich rąk ten oto plik.

Matt zamrugał oczami, przeglądając strony przysłanego pliku. To wyglądało jak jakiś formularz. Na górze widniało nazwisko: Giinter Mohler. Były też dwa adresy - jeden z nich miał kod pocztowy z południowo-zachodniego Dystryktu Columbia. Im dalej zagłębiał się w plik, tym mniej z niego rozumiał, gdyż był w języku niemieckim i potrzebne było tłumaczenie.

- Komputer, włącz autotłumacza - polecił Matt. Kiedy słowa nabrały sensu, Matt gwizdnął przeciągle. Davidowi udało się w jakiś sposób wejść do systemu komputerowego niemieckiej ambasady i wydobyć osobisty plik na temat Guntera Mohlera!

Plik był niesamowicie szczegółowy. Zawierał listę ocen Guntera, poczynszu od przedszkola. Matt westchnął, kiedy zobaczył jego mierną ocenę z Podstaw Komputera - kursu komputerowego możliwego do zdania nawet dla największych ciemniaków. Mohler coraz słabiej kwalifikował się na tajemniczego Geniusza, którego szukał Matt. Oczywiście, Geniusz komputerowy bez trudu mógł zmieniać komputerowe dane, przekonywał sam siebie Matt. Tylko dlaczego Gunter miałby podejrzewać, że ktoś zechce zajrzeć do tego pliku?

Matt przeglądał dalej plik, nie czekając na tłumaczenie. Kilka dziwnie wyglądających niemieckich słów rozbawiło go trochę. O jeszcze jedno - *Krankenhaus*. Co to, do diaska, znaczy? Czekał, aż program tłumaczący przegryzie się przez ten fragment, zamieniając

niemieckie słowa na angielski. Okazało się, że chodzi o zdrowie Guntera. *Krankenhaus* to był szpital. Giinter został odwieziony na pogotowie, gdzie usunięto mu wyrostek. Matt zmrużył oczy widząc datę. Gunter leżał na sali operacyjnej dokładnie w tym samym czasie, kiedy wirtualni wandale urządzili sobie strzelaninę na Camden Yards.

- Wygląda na to, że Gunter nie może być ani moim Geniuszem, ani jednym z wandalii - mruknął do siebie Matt. Marszcząc brwi rozsiadł się wygodnie w komputerowym fotelu, czekając aż kontrolę przejmą implanty. Moment później unosił się już przy swojej marmurowej płycie, która była jego wirtualnym miejscem pracy. Dobrze, że zdążył odrobić pracę domową. Czekał go duży wysiłek umysłowy, ponieważ zamierzał przekształcić swoje niejasne pomysły w konkretny plan.

Matt pracował przez cały wieczór z małą przerwą na obiad i zmywanie naczyń. Była już prawie dziesiąta, kiedy zdecydował, że jest gotowy. Ze ściśniętym żołądkiem dryfował po swojej VR, przyglądając się rzędkowi ikon z programami leżącemu na marmurowej płycie. Po jednej stronie znajdował się ognisty pionek z programem maski od Leifa i błyskawica, która zabierze Matta do Sieci. A dalej leżały programy, nad którymi sam pracował. Kopia klipsa Cat Corrigan - trochę powykręcana i porysowana w miejscach, gdzie Matt przy niej manipulował. Był też klucz, który kosztował Matta sporo wysiłku, oraz ikona, która wyglądała jak maleńka lornetka. I w końcu mała książeczka - plik z wszystkimi informacjami, które Matt zdobył lub których się domyślał na temat wirtualnych wandalii. Nie tylko umieścił to wszystko w pamięci komputera, ale również w infobiorze. Może to zła wróżba - zachowywać się tak, jakby nigdy miał nie wrócić z tego zadania. On wiedział jednak, że jego nie dopracowany plan był niebezpieczny i dlatego chciał, żeby dane nie zginęły, w przypadku, gdyby wirtualni wandale zdecydowali się uciszyć go raz na zawsze. Kolejne minuty zajęło mu napisanie krótkiego wirtualnego listu, który zamierzał ze sobą zabrać. Myślał o nim przez całą noc.

Cat, Dobra, nie będę pytał, skąd wzięłaś tę magiczną nalepkę, której tam użyłaś. Nie uważasz jednak, że powinienem dostać jeszcze jedną szansę, żeby się z wami zobaczyć? W końcu zrobiłem wszystko, czego ode mnie żądaliście. Myślę, że powinniście dotrzymywać słowa. Wrócę o północy, żeby z tobą porozmawiać. Jeśli się dowiem, że nie mogę ci ufać, nie spodziewaj się, że będę dyskretny na temat całej sprawy.

Patyczak.

Wiadomości nadał kształt ikony-rulonu i położył ją obok innych. Potem wziął głęboki oddech, zebrał je wszystkie do ręki i wszedł do Sieci.

Wirtualne budowle wyglądały na wyraźniejsze i jaśniejsze, niż kiedy je widział ostatnim razem - a może - niczym skazaniec przed egzekucją - dostrzega rzeczy, na które przedtem niezbyt zwracał uwagę? Matt wędrował po jarzącym się krajobrazie, mijając po drodze kilka większych węzłów, żeby uniemożliwić wyśledzenie miejsca, z którego wyruszył. Dobra, pomyślał, dość marudzenia. Podniósł do góry ikonę z protokołem komunikacyjnym Caitlin - z pewnymi modyfikacjami - i aktywował ją. Droga do wirtualnej willi Caitlin wydawała mu się już dobrze znajoma. Tutaj przetnie brzegi wirtualnego rządowego królestwa...

Matt zatrzymał się gwałtownie. To była jedna ze zmian, jakie wprowadził do programu Caitlin. Wystarczył mu jeden paskudny szok, kiedy okazało się, że Caitlin wyeliminowała go ze swojego systemu. Zrobiła to spontanicznie, wystraszona jego pytaniami. Nie wydawało mu się, żeby się włamała do rządowych systemów i przygotowała jeszcze wredniejsze niespodzianki, ale ma kolegę, który jest geniuszem komputerowym, więc odrobina ostrożności nie zaszkodzi.

Matt poszukał wśród ikon maleńkiej lornetki. Od tego miejsca będzie dokładnie kontrolował drogę. Jego program skanował budowle przed nim i starał się odnaleźć wszelkie ukryte kodowanie bezpieczeństwa. Uśmiechnął się. Nic. Wolno kontynuował podróż ścieżką, którą dała mu Caitlin, wciąż rozglądając się za wirtualnymi psami podwórzowymi lub komputerowymi strażnikami. Wreszcie dotarł do obrzeży obszaru otaczającego jaśniejącą kopię Mount Vernon. Wygląda na to, że jest czysto. Matt pomknął w stronę ściany, na której znajdowało się ukryte wejście do VR Caitlin. Tym razem jednak nie uderzył w nią, tylko zahamował ostro. Następnie - trzymając w prawej ręce klips Caitlin i wiadomość - wolno zaczął ją przeciskać przez ścianę. Jego majstrowanie przy protokole komunikacyjnym działa! Wirtualna ściana nie zniszczyła programu, ale zaczęła ustępować. Jego program nie był doskonały, więc Matt czuł, jakby przeciskał rękę przez glinę albo mokry piasek. Jednak udało mu się przedostać na drugą stronę i zostawić w VR Caitlin wiadomość.

Początkowo zamierzał wrócić do domu i trochę odpocząć przez dwie godziny, które musiał przeczekać. Potem jednak zmienił zdanie i postanowił mieć na oku jaśniejący Mount Vernon. Przecież Caitlin i jej przyjaciele mogą się tu spotkać i zgotować mu gorące przywitanie. Jeśli będzie obserwował wirtualną willę, dostrzeże ich przygotowania.

Minuty wlokły się niemiłosiernie i nic się nie działo w pobliżu willi Corriganów.

Wreszcie rozległo się stłumione „Bip!”. Matt zaprogramował ostrzeżenie, że nadeszła

północ. Kiedy zaczął się zbliżać do willi, przez ścianę przeszła jakaś postać. Matt rozpoznał rozwścieconą Cat Corrigan. Ręce wepchnęła do kieszeni luźnych dżinsów i patrzyła na niego oczami, w których czaiła się furia.

- Groziłeś mi! - oskarżyła go. - Za kogo ty się...?

Matt przerwał jej w pół zdania: - A co, twoim zdaniem, robił twój kumpel z tym sześciostrzałowym rewolwerem? Albo żaba ze szpadą? A twój błyszczący przyjaciel z wielkimi pięściami? To nie jest droga jednokierunkowa, Caitlin. Twoi koleś o coś mnie poprosili, a ja to załatwiłem. Nie spodziewaj się, że można mnie tak łatwo splawić.

Cat zgubiła gdzieś swoją buńczuczną pozę. Teraz miał przed sobą wystraszoną dziewczynę. - Pójdziemy zobaczyć się z resztą - powiedziała. - Ale nie groź im! I tak już są doprowadzeni do ostateczności. Jeszcze trochę i zrobią coś naprawdę głupiego!

- Dlaczego są doprowadzeni do ostateczności? - spytał Matt.

Ale Caitlin tylko spojrzała na niego dużymi, pełnymi obaw oczami.

Wzruszył ramionami. - No dobrze, żadnych pytań, póki nie dotrzemy na miejsce.

Caitlin położyła na dłoni czarną czaszkę, która pokaże im drogę do pozostałych wirtualnych wandalii. Matt wziął dziewczynę za rękę, mając cichą nadzieję, że złowroga ikona nie jest zapowiedzią przyszłych wydarzeń. Z dużą prędkością ruszyli w podróż po Sieci. Matt nie był pewien, ale zdawało mu się, że obrali inną drogę niż poprzednio. Wyglądało na to, że lecą w to samo miejsce co ostatnim razem - do małego, pustego białego pokoju, w którym czekało na nich trzech pozostałych członków grupy. Teraz przynajmniej nie mieli przy sobie broni. Rysunkowy kowboj zsunął z czoła swój kapelusz.

- Koleś, który tak mocno na nas naciska, powinien mieć jakiegoś asa w rękawie - powiedział złowieszczo.

- Fakt - zgodził się Matt. - Nie chciałbym, żebyś zaczął się *srdit*.

- Cholerna racja - powiedział kowboj. - Łatwo mnie wkurzyć.

Matt pozwolił sobie na uśmiech. Jego wysiłki nie poszły na marne. *Srdit* znaczyło po serbsku „rozgniewać się”. To, że kowboj natychmiast je rozpoznał, oznaczało, że mówi w tym języku.

Gerald Savage zamachał Mattowi przed nosem swoją potężną połyskującą klejnotami pięścią.

- Podaj mi jeden powód, dla którego nie powinienem rozgnieść cię jak pieprzoną pluskwę - zażądał.

- Może honor? - zaproponował Matt. - Ludzie tacy jak wy, którzy tarzają się w mamonie, zawsze zachowują się tak, jakby byli lepsi od innych, bo mają honor. To znaczy, że

powiniście spłacać swoje długi i dotrzymywać obietnic, które składacie.

- Nie składałem żadnych obietnic - zaczęła ogromna żaba.

- Ale twój hałaśliwy kolega i owszem - przerwał mu Matt. - Jeśli chcesz do nas przystać, musisz pokazać na co cię stać - tak to mniej więcej brzmiało. Więc wam pokazałem - zabrałem CC do VR Seana McArdle'a - tam, gdzie wasze układy bogatych dzieciaków nic wam nie pomogły. A co dostaję w ramach podziękowania? Zatrzaśnięte drzwi przed nosem.

Spojrzał na skrzywioną minę kowboja. - Niezbyt *prawedan*, co Tekszańczyku?

Rysunkowy kowboj zaczął kiwać głową potakująco, zgadzając się, że to nie fair, i nagle przestał. - Przykro mi, ale nie *comprende* o czym mówisz, *amigo*.

Matt doszedł do wniosku, że czas wyłożyć karty na stół. - Daj spokój, Drażko. Zdradziłeś się, kiedy na początku użyłem serbskiego. Nie sądzę, żeby twój Mistrz Idiomów natychmiast tłumaczył wszystkie języki.

Odwrócił się do pozostałych zamaskowanych dzieciaków. - Mamy też zabiego szermierza - trzeba mieć dobrze skrzywione poczucie humoru, żeby widzieć się w ten sposób, Lucien. - Matt dźgnął jeszcze raz, dzięki małemu dochodzeniu, jakie przeprowadził: - Ale wolisz, kiedy mówi się do ciebie Luc, prawda?

Czuł, jak serce wali mu w piersiach, kiedy zwracał się do ogromnej postaci zbudowanej z klejnotów. - A ty, z tym swoim brytyjskim slangiem i łatwo dającą się zauważyć nienawiścią do Irlandczyków. Kim innym mógłbyś być, jak nie Dzikusem Gerrym?

W pomieszczeniu zapada cisza, przzerwana jedynie ostrym wciągnięciem powietrza do płuc.

Matt nigdy nie widział żeby oczy Cat Corrigan były kiedykolwiek większe, bardziej niebieskie ani bardziej przerażone.

Zaatakował znów, nie czekając, aż się pozbierają i zabiją go. - Spytałiście mnie, jakiego mam asa w rękawie. Chyba wam go pokazałem Kiedy się tu zjawilem, nie byłem pewien, czy prawidłowo was rozszyfrowałem. Ale wygląda na to, że we wszystkich przypadkach trafiłem w dziesiątkę.

Podniósł rękę, kiedy Gerry Savage zaczął się do niego zbliżać ciężkimi krokami. - Nikomu tego nie powiedziałem - jeszcze nie. Ale w Sieci są pliki, gotowe do otwarcia, gdyby, powiedzmy, coś mi się stało.

Duży błyszczący stwór skierował swój gniew na Caitlin. - Jak on to z ciebie wyciągnął? - spytał grzmiącym głosem. - Jak?

- Ona nie ma z tym nic wspólnego! - krzyknął Matt. - Sam was odnalazłem, wyszukując dane. To dość proste kiedy wie się, jak szukać. - Rozłożył ręce. - Co mam jeszcze

zrobić, żeby wam udowodnić, że mógłbym się przydać waszej drużynie?

Lucien Valery przemienił się z żaby w szermierza. - Czemu mielibyśmy ci ufać? - spytał, wydymając usta.

- Ponieważ nie macie innego wyjścia - odparł Matt. Spojrzał na czterech zdemaskowanych poszukiwaczy przygód. - Dostarczyłem wam tego, co chcieliście, a nawet, moim zdaniem, trochę więcej. Myślicie, że jesteście tacy wyjątkowi - ale możecie się mylić. - Matt wziął głęboki oddech i, wciąż ryzykując, rzucił: - Można was odnaleźć, więc dlaczego nie spojrzycie prawdzie w oczy i nie zrobicie ze mnie pełnoprawnego partnera?

Z doświadczeń poprzednich spotkań Matt wywnioskował, że istnieją dwie możliwe reakcje, których może się spodziewać po wirtualnych wandalach. Albo spróbują go zabić i wtedy będzie musiał szybko się rozłączyć - po pierwszym spotkaniu z tą wesołą kompanią, wprowadził do swojego oprogramowania guzik alarmowy, tak na wszelki wypadek. Ich druga reakcja może być taka, że sami go odłączą i zostanie z niczym.

Okazało się, że jest prawdziwym szczęściarzem, ponieważ wybrali możliwość drugą. Wokół Matta zawirowały neonowe linie i poczuł, że z zawrotną prędkością mknie przez Sieć. Żołądek podszedł mu do gardła, zupełnie jakby kręcił się jak szalony na diabelskim młynie. Ten, kto nauczył te bogate dzieciaki takiej sztuczki, miał paskudne poczucie humoru. Błąkałby się godzinami po Sieci, zwymiotowawszy uprzednio swój wirtualny lunch. Miałby spory kłopot z odnalezieniem powrotnej drogi do domu, nie mówiąc już o wyśledzeniu białego pokoju. Zamiast tego, kiedy wyhamował i odzyskał nad sobą kontrolę, w rękach trzymał złotą nitkę. Matt spodziewał się, że go odetną w ten sposób, dlatego opracował z wielkim trudem specjalny program, który umieścił w ikonie-kluczu. Ikona ta zostawiła za sobą złotą nitkę, dzięki której mógł teraz odnaleźć drogę do małego prywatnego klubu wirtualnych wandalów. Łapiąc nic raz jedną raz drugą ręką, zaczął wracać. Nic była niewiarygodnie cienka, ledwie połyskiwała w jego rękach. W rzeczywistym świecie drut albo żyłka tej grubości przecięłaby mu palce. W wirtualnym świecie każde podciągnięcie się na nitce zwiększało jego prędkość w odnajdywaniu drogi powrotnej do tego węzła, z którego korzystały bogate dzieciaki. Mimo to poruszał się z mniejszą prędkością od tej, z jaką podróżował w towarzystwie Caitlin. Matt spostrzegł, że neonowy blask Sieci zaczyna blednąć. No jasne, pomyślał. Bierna pamięć.

Wirtualny krajobraz zmienił się w obszar żarzących się bladym ogniem stosów rozmieszczonych w regularnych odstępach od siebie. Przed oczami rozpościerały mu się rzędy za rzędem jednostki magazynujące archiwa i rzadko używane dane. Przyszła mu do głowy makabryczna myśl, że kopce danych wyglądają niczym cmentarz pełen świeżo wykopanych grobów. Znowu tajemniczy Geniusz dał próbkę swojego sprytu, włamując się do uspiionych systemów, żeby stworzyć osobisty klub dyskusyjny, którego nikt nigdy nie znajdzie, chyba że poprosi uniwersytecką bibliotekę o jakieś zapomniane materiały na temat arktycznych motyli lub spróbuje odnaleźć zapomnianą gałąź genealogii. Lecz Matt nie potrafił opanować uczucia gniewu z powodu egoizmu Geniusza - i bogatych dzieciaków. Kto wie, jakie dane skasował, tworząc to miejsce spotkań? A co ważniejsze, kto wie, czy istnieją kopie rezerwowe? Te

informacje mogły zostać bezpowrotnie stracone! Matt w każdym razie pewien był jednego, podążając za złotą nicią przez mauzoleum informacji. Udało mu się zidentyfikować czworo wirtualnych wandalii. Wciąż jednak nie miał przeciw nim dowodów. I jeśli nie okaże się, że Drażko Mironovic posiada niesamowite komputerowe umiejętności, Matt nadal nie będzie wiedział, kto za nimi stoi - kim jest ta nieuchwytna i według niego genialna osoba.

Nagle kazała mu się zatrzymać nieprzyjemna myśl. Czy jest możliwe, że sami wirtualni wandalie nie wiedzą, kto wspomaga ich technologicznie w nocnych wyprawach? W świecie masek Geniusz mógł się pojawiać pod jakąkolwiek postacią, kiedy załatwiał z nimi interesy. Matt nie mógł już dłużej marnować czasu na przerwy w wędrówce i przemyślenia. Złota nić skręciła w dół, w kierunku jednej z opuszczonych lokalizacji. Przyspieszył. To będzie prawdziwy test jego umiejętności komputerowych. Jeśli prawidłowo opracował program, wirtualni wandalie przeżyją największy szok w ich młodym życiu. Jeśli nie - program ulegnie zniszczeniu, a on wróci do domu z kolejnym śmiertelnym bólem głowy. Nisko położony kopiec wyrósł przed nim niczym sztuczna góra. Matt zaryzykował - i przeszedł!

Bał się, że wandalie po jego zniknięciu uciekną ze swojego miejsca spotkań. Jednak czwórka nastolatków wciąż była w białym pokoju, kłócąc się na cały głos.

- Czemu nie pozwolimy mu, żeby nam pomógł? - błagała Cat Corrigan.

- Cholernie dobrze wiesz, czemu! - Gerald Savage powiedział to takim tonem, jakby Cat odezwała się o jeden raz za dużo. - Myślisz, że „wiesz-kto” podskoczy do góry ze szczęścia i przyjmie go z otwartymi ramionami?

- Ciekawe - to ty zawsze nas przekonujesz, że nie boisz się... naszego przyjaciela - zadrwił z niego Luc Valery.

- Czyli kogo konkretnie? - spytał Matt.

Ich reakcja wyglądałaby śmiesznie, gdyby nie fakt, że była raczej groźna. Kowboj wyskoczył do góry, jakby go pogonił elektroniczny grzechotnik. Niestety jednocześnie celował już w Matta ze swojego ogromnego rewolweru. Dzikus Gerry wyglądał jak wielka drogocenna ryba z otwartym szeroko pyskiem. Ryknął z wściekłością i ruszył na Matta z zaciśniętymi pięściami. Luc Valery przybrał formę szermierza i wyjął z pochwy szpadę. Jedynie Caitlin utkwiała wzrok w Mattcie, jakby zobaczyła ducha - a może niedługo zobaczy. - Mówiłam ci, żebyś z nimi nie przeginał - powiedziała głucho.

- Dobra, przekonaliście mnie w zupełności, że jesteście twardzielami - powiedział Matt sarkastycznie, stojąc twarzą w twarz z grupą wirtualnych morderców. - Może zaczęlibyście pracować głową, a nie pięściami.

Wbił wzrok w Geralda Savage'a, który wyglądał na przywódcę, a przynajmniej na najbardziej rozwścieczonego. - Nie rozumiem, czemu przybieracie tak najeżoną postawę za każdym razem, kiedy udowadniam, że mogę się wam przydać - a może się wam wydaje, że tylko wy ze wszystkich ludzi na świecie potraficie zostawiać za sobą system tajnych drzwi?

- Widzicie?! - wykrzyknęła Cat, jakby Matt potwierdzał jej argumentację. - On się na tym zna, a my nie. Może nam się przydać.

- Dość tego! - przerwał jej Gerald Savage. Jego głos nadal miał chrapliwą nutę, ale przynajmniej nie nacierał na niego... na razie.

- Przykro mi, jankesie, ale to stanowisko jest już zajęte i to przez groźnego typa... to znaczy osobę.

- Wciąż mi się wydaje, że mógłbym wam pomóc. - Matt zwrócił się do pozostałych, udając, że nie słyszał ostatniej uwagi Savage'a. Dzięki temu, że wrócił, dowiedział się dwóch rzeczy. Geniusz nie jest jednym z czworga nastolatków, którzy biorą udział w napadach. Ponadto Geniusz jest groźnym typem, co wyrwało się Geraldowi. Co oznacza, że Geniusz to mężczyzna.

To ogranicza poszukiwania do połowy populacji, pomyślał Matt sarkastycznie. Jeśli pożyję wystarczająco długo, może zdobędę jeszcze jakieś wskazówki.

- Załóżmy, że przydałby się nam ktoś z twoimi umiejętnościami - powiedział Luc Valery, niespodzianie przechodząc na stronę Caitlin. - Ale skoro reszta się boi...

- Ja się nie boję! - ryknął Gerald Savage, - I udowodnię wam to! Wchodzimy do Sieci i to natychmiast - złożymy wizytę w VR Seana McArdle.

- A-ale nie powinniśmy... - zaczęła zaskoczona Cat Corrigan.

Gerald nie dał jej skończyć, przekrzykując ją swoim gromkim głosem. - Chrzańć to! - krzyknął wściekle. - Chcę dostać tego małego irlandzkiego waźniaka i zrobię to. Idziecie ze mną?

Luc, wciąż pod postacią szermierza, posłał młodemu Brytyjczykowi nikły uśmiezek. - Jeśli stawiasz sprawę w tak czarujący sposób.

Animowany kowboj Drażko Mironowicia odsunął kapelusz na tył głowy i wzruszył ramionami. - Jeśli inni idą, to pomyślałem sobie, że też się wybiorę.

Gerald obrócił swą potężną maskę i pochylił się nad Mattem. - Pan też pójdzie z nami panie „Ach-jakim-jestem-sprytnym-jankesem”, co? Wybierzesz się na prawdziwą akcję razem z nami wszystkimi?

Potem zwrócił się do Caitlin zimnym i okrutnym głosem. - Zadowolona, kotku? Zobaczmy, jak przydatny okaże się twój nowy przyjaciel.

Savage wyciągnął połyskliwą dłoń w stronę półki na ścianie. Leżał na niej jakiś tuzin ikon.

- Wybierz sobie maskę i idziemy.

Cat Corrigan była blada jak ściana, wybierając dla siebie ikonę. Kiedy aktywowała program, stała się wyższa i starsza - przybrała postać bladej kobiety z czarnymi włosami do pasa, ubranej w powiewną czarną pelerynę. Wydawało się, że jej oczy żarzą się wewnętrznym światłem, usta zaś przybrały szokująco czerwoną barwę. Kiedy je otworzyła, okazało się, że ma... kły! Postanowiła przebrać się za wampirzycę!

- Doskonały wybór - skomplementował ją Luc Valery. Matt zobaczył, że Francuz pozostaje w przebraniu szermierza.

Luc uśmiechnął się, kiedy spotkał się wzrokiem z Mattem. Jednak nie był to miły uśmiech.

- W moim kraju, w którym prawo różni się nieco od tego, zawartego w waszej Amerykańskiej Konstytucji - powiedział młody szermierz - policja ma prawo posłużyć się *agents provocateurs* - szpiegami, którzy nakłaniają innych do popełnienia przestępstwa. Im samym nic nie grozi, nawet kiedy biorą udział w takim przestępstwie. - Potem wprawną ręką przejechał po rękojeści swojej szpady. - Nie popchnąłeś Savage'a do wzięcia udziału w tej małej przygodzie. Gdybyś jednak nas zdradził, wampir dostanie twoją krew, okay?

Matt zmusił się do śmiechu. - Jasne. Wyglądam na gliniarza, co?

Luc zaśmiał się równie ponuro. - Kto może znać prawdę w tym świecie pełnym masek?

- Jeśli wy dwaj skończyliście już filozofować, możecie dołączyć do naszego kółka - powiedział Gerry Savage. Reszta już zebrała się przy nim. Matt zauważył, że Anglik w jakiś sposób zmniejszył swoją maskę z klejnotów. Już nie był olbrzymem, a jedynie potężnej budowy człowiekiem - wielkości, powiedzmy, obrońcy z drużyny futbolowej. Na otwartej dłoni trzymał ikonę, której blask odcinał się od jego połyskliwych drogich kamieni. Ikona miała kształt strzały i jadowity kolor zieleni odbijający się od klejnotów, z których zbudowane były ręce Geralda. Kiedy tak stali wokół niego, na ich twarzach odbijały się punkciki w chorobliwie zielonym kolorze - zupełnie jakby zarazili się jakąś straszliwą chorobą.

Czy to możliwe? - zastanawiał się Matt, przypominając sobie zniszczenia, jakie po sobie zostawili podczas ich poprzednich małych wypadów, i czy on też złapał tego wirusa? Bo w końcu jest tutaj, gotowy lecieć z tą niszczycielską drużyną. Tak, usiłował zdobyć ich zaufanie, żeby ich powstrzymać. Jednak musiał przyznać, że czuje pewnego rodzaju dreszcz

emocji...

- Połączcie się - rozkazał Savage.

Matt rozejrzył się dookoła. Jeśli nie pójdzie z nimi, wandyale mogą go pobić, a nawet gorzej - straci swoją szansę na przyłączenie się do nich i odkrycie, kto nimi kieruje. Wziął głęboki oddech. - Ja też się piszę.

Caitlin złapała Matta za lewą rękę i trzymała ją kurczowo. Luc wziął go za prawą. Zielony poblask stał się bardziej intensywny, jakby mała ikona zapaliła się. Luc i Drażko złapali Geralda za łokcie. Pokój, w którym się znajdowali, zniknął jak kamfora i już bez dalszej zapowiedzi mknęli przez Sieć.

Matt spodziewał się, że śmigną po niebie jak wielka zielona kometa, ale najwyraźniej byli zamaskowani. Wyglądało na to, że sami się nie świecą i nie odbijają światła od mijanych po drodze neonowych wirtualnych budowli. Nawet ciało Savage'a składające się z klejnotów nie połyskiwało w oślepiającym świetle komputerowych wytworów wyobraźni.

Okolica zaczynała wyglądać znajomo i Matt poznał, że zbliżają się do modernistycznego wirtualnego wieżowca, w którym mieściła się ambasada irlandzka, a raczej jej cybernetyczna przestrzeń. Kiedy dotarli do jarzącej się ściany, Mattowi przyszła do głowy ponura myśl. A co, jeśli kapitan Winters i Net Force ostrzegli służby bezpieczeństwa ambasady o tajnym wejściu, które znaleźli w kopii oprogramowania VR Seana? Mogą lecieć prosto w pułapkę!

Cóż, pomyślał, to by chyba ostatecznie przekonało kapitana, że istotnie można powiązać te akty wandalizmu ze środowiskiem dyplomatycznym. Gdyby w ogóle doszedł do siebie po zawale, spowodowanym moim udziałem w tej napaści.

Może się to skończyć tak, że Cat i jej przyjaciele zostaną ukarani za swoje nielegalne zabawy. Ciekawe, czy Geniusz zwerbowałby nową grupę znudzonych dzieciaków, żeby kontynuowały akty wandalizmu? Teraz jest już za późno, żeby się tym martwić. Dotarli do świetlnej ściany i przeszli na wylot. Po kilku sekundach szukania drogi w systemie znaleźli się w VR Seana McArdle. Jego przestrzeń była równie duża jak sala, w której przeprowadzał konferencje prasowe. Teraz jednak wielka jak pieczara przestrzeń zaprojektowana była na kształt biblioteki. Matt rozejrzył się zdumiony. Łukowaty, wysoki sufit podtrzymywały dwie jednopiętrowe, rzeźbione, drewniane półki z książkami. Trudno było uwierzyć, że zachowano aż tyle szczegółów. Sean musiał wzorować się przy tworzeniu swojej VR na jakimś rzeczywistym miejscu - może słynnej budowli w Irlandii.

Potem Matt dostrzegł w drugim końcu dużego pomieszczenia drewniane rzeźbione biurko - a za nim zaskoczonego Seana McArdle.

- C-co...? - wyjąkał.

- Rozpieprzamy ten lokal! - rozkazał Gerry Savage i rzucił się prosto na irlandzkiego chłopaka.

Wyjąc jak dzikusy Luc i Drażko zabrali się do dzieła. Długa, cienka klinga szpady Luca wyglądała raczej jak stalowy pręt służący do rozbijania złomu albo jak piła tarczowa, kiedy szatkował delikatne rzeźbione drewno. Drażko wyjął z kabury swój sześciostrzałowiec i zaczął strzelać. Dziury, jakie robił, pozwalały się domyślać, że ta śmiesznie wyglądająca broń musiała być załadowana pociskami moździerzowymi. Do tego miała typowe cechy rysunkowej broni. Matt naliczył, że Drażko czternaście razy naciskał spust bez konieczności załadowywania. Chłopcom udało się przeciąć jedną z kolumn podtrzymujących półki z książkami. Wąska półka zaczęła opadać.

- Uwaga! - zawołał wesoło Luc. On i Drażko odskoczyli z drogi i cały segment potężnej półki spadł na podłogę, rozsypując wokół woluminy.

- Zbierzcie je do kupy! - krzyknął Drażko do Matta i Caitlin. - Zróbcie z nich stos, a my poszukamy czegoś do rozpalenia ogniska!

Ale ani Matt, ani dziewczyna nie zrobili najmniejszego ruchu w stronę książek. Obydwoje natychmiast odwrócili się za siebie, słysząc za plecami czyjś krzyk bólu. Gerald Savage dopadł do Seana McArdle. Młody Irlandczyk stał na trzęsących się nogach, oparty o blat pięknego drewnianego mebla. Mrugał powiekami i przykładął rękę do twarzy. Nawet z takiej odległości Matt widział duży czerwony odcisk ręki na policzku Seana.

Chwilowo jednak Savage stracił zainteresowanie chłopakiem. Przeciągnął błyszczącą ręką po blacie biurka i rozsypał uporządkowany szereg ikon - Matt w życiu nie widział takiej ilości ikon dla jednego komputera. Markery programów potoczyły się na podłogę, a Savage zaczął je deptać.

- Wy błotne pawiany myślicie, że możecie rządzić światem tylko dlatego, że znacie się na komputerach. - Savage wypowiedział ostatnie słowo, jakby było nieprzyzwoite. - Puscycie się, jakbyście byli najlepsi na świecie, a jesteście tylko bandą, która zdradziła Koronę!

Sean, choć obolały i wystraszony, odpowiedział na te zarzuty. - Byliśmy zniewoleni przez Anglię przez osiemset lat. Głodowaliśmy i byliśmy traktowani jak zwierzęta. Jesteśmy wolni od stu lat, zjednoczeni od niecałych dwudziestu - i świetnie sobie radzimy bez twojej przeżartej przez mole Korony.

Z przeraźliwym rykiem Savage odepchnął biurko. Mebel zachybotał się i przewrócił. Matt pędem przebiegł przez w połowie zniszczoną bibliotekę. Sean był wysoki i chudy jak łodyga fasoli. Masywny Gerry Savage rozerwie go na strzępy.

A oni potrafią robić innym krzywdę w cyberprzestrzeni, pomyślał nagle przerażony Matt.

Kiedy do nich dobiegł, Savage jedynie dawał Seanowi niegroźne kuksańce, ale młody Irlandczyk nawet przed tym nie potrafił się obronić. Trzęsły się pod nim kolana. Kiedy upadł, Savage rzucił się na niego, najwyraźniej zamierzając zacisnąć dłonie na jego szyi.

- Zwariowałeś?! - krzyknął Matt, próbując odciągnąć Savage'a od ofiary.

Zamiast odpowiedzi Savage jedynie uderzył Matta wielką ręką w klatkę piersiową. Matt miał uczucie, jakby dostał najeżoną kolcami kulą do rozbijania złomu. Zatoczył się do tyłu, próbując odzyskać oddech. Delikatne dłonie pomogły Mattowi wstać. To była Cat Corrigan.

- Musisz coś zrobić! - Twarz jej wampirzej maski wykrzywiało przerażenie. - On zabije tego chłopaka!

Co twoim zdaniem mogę zrobić? - rozległ się w głowie Malta spanikowany głos. Savage ma absolutną przewagę w tej walce. Jest większy, silniejszy i może krzywdzić ludzi w VR. Ja nie.

Krzywdzić ludzi... Wypowiedziane w myśli słowa krążyły mu po głowie, kiedy złapał Caitlin za ramiona. - Spróbuję - powiedział - ale musisz mi pomóc.

- Pomóc? - Cat prawie bełkotała. - Jak?

- Daj mi rękę. - Matt podszedł do szczątków wirtualnego biurka Seana McArdle i wyciągnął z rumowiska dużą odłupaną deskę. Po czym pociągnął Caitlin do miejsca, w którym Gerry Savage dusił syna irlandzkiego ambasadora.

- Okay - powiedział Matt zdyszczanym głosem. - Puszczam to. Ty rzuć ten kawał drewna na plecy Savage'a i wskocz na niego.

- Ja?

- Tylko ty możesz go zranić, ja nie! - krzyknął Matt. - Zrób to!

Puścił kawał drewna. Caitlin popchnęła go, używając całej masy ciała. Ciężki kawałek biurka wydawał się spadać w zwolnionym tempie. Geny Dzikus niczego nawet nie zauważył, do momentu gdy deska upadła mu na plecy.

Savage poczuł uderzenie, choć chroniła go warstwa klejnotów. Krzyknął z bólu, a potem jeszcze raz, kiedy Caitlin wskoczyła na kawał drewna, przygważdżając go do podłogi. Z rykiem bólu Savage odwrócił się. Bez specjalnego wysiłku podniósł się i zrzucił Caitlin z pleców. Mattowi udało się ją złapać i uratować od upadku. Jednak wzrok miał cały czas utkwiony w Seanie McArdle. Irlandczyk z trudem się podniósł, trzymając jedną dłoń na gardle. Kiedy tylko zorientował się, że jest wolny, zniknął z VR. Savage odwrócił się w stronę, gdzie leżała jego ofiara, żeby dokończyć dzieła - ryknął jak lew, któremu umknęła zdobycz. - Pozwoliłeś mu uciec! - krzyknął z furją.

- Rozwalanie VR to jedno! - krzyknął Matt. - A zabicie kogoś, to co innego!

- Tak czy inaczej, już się zmył - powiedział Luc Valery. On i Drażko przestali wreszcie niszczyć bibliotekę, słysząc wrzask Savage'a i przybiegli do pozostałych. - W każdej chwili może się tu zjawić ochrona.

Drażko nawet tego nie skomentował. Jego rysunkowy kowboj po prostu zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy. Myśl o konsekwencjach wreszcie pokonała furję Savage'a. - Fakt - powiedział wreszcie. Potem kiwnął palcem na Matta. - Ale z tobą jeszcze nie skończyłem.

Anglik wyniósł się z VR; Luc poszedł w jego ślady.

Cat złapała Matta za rękę. - Zabierajmy się stąd.

Pozwolił, żeby Caitlin ich pilotowała, zastanawiając się jednocześnie, czy znów zawitają do pracowni chemicznej w Bradford. Tym razem jednak znaleźli się w innej bibliotece.

- To biblioteka Kongresu - wyjaśniła Cat. - Nawet tak późno w nocy lub tak wcześnie rano dostają mnóstwo zleceń.

Przelecieli przez kilka zagęszczonych węzłów Sieci, aż dotarli do willi Corriganów. Matt zauważył jednak, że Cat wylądowała na trawniku przed kopią Mount Vernon, a nie we własnej VR. Gdzieś po drodze zrzuciła swoją maskę Madame Draculi. Znów stał naprzeciw ładnej, porządnie wystraszonej nastolatki, której ubranie znajdowało się w nieładzie.

- Dzięki za to, co zrobiłeś - powiedziała Caitlin. - Nie byłam w stanie myśleć i nie udałoby mi się samej przyciągnąć tego wielkiego drewna. - Zadrżała. - Tym razem Savage zupełnie stracił rozum. Bałam się, że rozgniecie tego chłopaka jak dojrzałego pomidora.

- Słuchaj, Savage nie jest przywódcą waszego gangu, co? - spytał Matt.

Caitlin potrząsnęła przecząco głową. - Po prostu jest największy i najgłośniejszy.

- Nie podejrzewam, żeby miał na tyle inteligencji, żeby znaleźć wyjście z papierowej torby - chyba że ją rozerwie. - Matt utkwiał uporczywe, twarde spojrzenie w dziewczynie. - A z tego, co mówi o komputerach, jasno wynika, że nie potrafiłby zaprogramować tych sztuczek, którymi się posługujecie. Ale to już wiemy. Savage coś o nim plótł, bo to musi być on, prawda? Stary dobry Geny nazwał go „groźnym typem”, zanim zorientował się, co robi. Spojrzał w oczy Caitlin. - Ten mózgowiec to także twój szef, prawda, Cat? To on faktycznie pociąga za sznurki?

- Czasami - przyznała Caitlin. - Dostajemy etykiety - - tajne wejścia. Niektóre mamy podrzucać różnym dzieciakom albo zostawiać w jakichś miejscach. Reszta jest dla nas - możemy robić z nimi, co chcemy.

- Więc później wracacie i niszczycie różne VR.

Pokręciła głową. - Do niektórych mieliśmy nie wracać. Na przykład do VR tego irlandzkiego dzieciaka - McArdle'a.

- A to, czego użyliście na stadionie baseballowym... to nie były tylko tajne wejścia.

- Kiedy nam powiedział po raz pierwszy o tym, pomyślałam, że to świetny żart. Po prostu postrzelamy do symulacji graczy baseballowych, rozumiesz? - Caitlin wyglądała na chorą. - A potem ludzie na trybunach zaczęli się przewracać. Nie zdawałam sobie sprawy, że tyle ludzi ogląda mecze baseballowe w formie holograficznej.

- Więc ten ktoś, o kim mówisz, czy jest taki niebezpieczny, jak twierdzi Savage? - spytał Matt. - A jeśli tak, to czemu z tym nie skończysz?

Jego pytania najwyraźniej odebrały Caitlin ochotę na udzielanie dalszych informacji. - Tak, jest niebezpieczny - powiedziała wystraszonym głosem. A potem smutno dodała: - Nie mogę z tym skończyć.

W następnej sekundzie zniknęła wewnątrz imitacji Mount Vernon. Matt wiedział aż za dobrze, że nie ma sensu iść w jej ślady. Jeśli nie złapią go systemy bezpieczeństwa, to zrobi to na pewno załamanie się systemów operacyjnych. A jeśli miał wrócić do domu, wolał darować sobie pulsujący ból głowy. Odbił się od wirtualnej posiadłości Corriganów i obrał kolejny skomplikowany szlak, a kiedy wreszcie otworzył oczy, znajdował się w swoim pokoju. Nie podniósł się jednak z komputerowego fotela, tylko siedział tak z brodą opartą na rękach. Dzisiejszej nocy załatwił kilka ważnych spraw - ustalił tożsamość wirtualnych wandal, porządnie ich postraszył i dowiedział się co nieco o wciąż nieuchwytnym człowieku, który dostarczał im technologii - i wydawał im rozkazy. Do niepowodzeń należało zaliczyć fakt, iż nie udało mu się niczego ustalić na temat oprogramowania, które umożliwiała wandalom wyrządzanie ludziom krzywdy w VR. Na dokładkę dał się nakłonić do wzięcia udziału w chuligańskiej wyprawie, podczas której nieomal został zabity człowiek.

Z drugiej strony, analizował Matt, dzięki temu, że tam byłem, uratowałem prawdopodobnie życie Seanowi McArdle. Ale jeśli bym nie sprowokował Dzikusa Gerry'ego, może wcale nie włamałibyśmy się do systemu tego wirtualnego konsulatu.

Wreszcie - i to było najgorsze - bez wątpienia dał się zauważyć na skanerach Geniusza, nastawionych na szukanie nieprzyjaciela. Wcześniej był tylko chłopakiem, który chciał się dostać w elitarne kręgi. Teraz jednak zdecydowanie za-kołysał łodzią, identyfikując wandal i prowokując Geralda Savage'a do złamania rozkazów Geniusza. No i widział wandal w akcji. To wszystko nie mogło wzbudzić zbytniej radości Geniusza. A ten, używając słów Geralda, był „groźnym typem”.

Groźnym i obeznanym z komputerowymi sztuczkami, pomyślał Matt z grymasem na twarzy. Najwyższy czas przybrać moją tajną tożsamość - Matta Huntera, zwykłego ucznia.

Używanie przykrywki zwykłego ucznia okazało się dość trudne po prawie nieprzespanej nocy. Matt ledwo wytrzymał na porannych zajęciach. Na szczęście, po lunchu był czas na pracę w bibliotece. Ziewając szeroko zabrał się do przeglądania historycznych materiałów, które dostał od Sandy'ego Braxtona. Dwaj oficerowie, którzy stanowili przedmiot ich dociekań, Armistead i Hancock, służyli razem w kilku fortach na Zachodzie,

zanim wybuchła wojna secesyjna. Kiedy zaczęły się walki, szybko awansowali na odpowiedzialne stanowiska. W trakcie czytania Matta zainteresował ten temat. Zafascynowało go, jak bardzo sposób dowodzenia podczas wojny secesyjnej różnił się od współczesnego. Nie tylko niżsi oficerowie, ale wręcz generałowie prowadzili wojska do ataku, zamiast dowodzić oddziałami z tylnych pozycji.

Lub jak Geniusz z całkowitego ukrycia, podczas gdy reszta bierze na siebie całe ryzyko. Lecz 170 lat temu oficerowie wierzyli, że ich ludzie muszą mieć inspirację. Idea ta miała kilkaset lat, kiedy to gładkie lufy muszkietów nie pozwalały strzelać dalej niż na dziewięćdziesiąt metrów. Podczas wojny secesyjnej oddziały mogły strzelać celnie do sześciuset metrów. Szarmanckie zachowanie oficerów zrobiło z nich żywe tarcze.

Feralnego dnia lipca 1863 roku brygadier Armistead chciał wprowadzić w życie środek mający na celu podniesienie morale. Umieścił oficerski kapelusz na czubku swojego bagnetu, żeby jego oddziały wiedziały, gdzie znajduje się „stary”. I rzeczywiście jego ludzie poszli za nim, choć ponosili ogromne straty. Jedynie garstka dotarła na szczyt Cerntery Ridge. Armistead poniósł śmierć pod koniec samobójczego ataku.

Przez resztę dnia Mattowi udało się przynajmniej nie zasnąć. Jednak w autobusie do domu znów zaczęły mu się kleić oczy. Po powrocie okazało się, że rodziców nie ma, więc przespał parę godzin. Zdążył wstać tuż przed obiadem, choć jego ojciec nie mógł się powstrzymać od kilku żartobliwych uwag.

- Za moich czasów nie spaliśmy po nocach czytając książki. A ty do drugiej nad ranem jesteś podłączony do komputera?

- Mogłoby być grzej - powiedziała jego mama z uśmiechem. - Mogłoby przesiadywać przed przestarzałym komputerowym ekranem.

- Pamiętam że roześmiał się ojciec Matta. - Mówiliśmy wtedy, że dostawało się „elektronicznej opalenizny” - maniacy komputerowi nabierali delikatnego odcienia zieleni.

Matt nie odrywał wzroku od talerza, pałaszując obiad. Pozbierał naczynia i wreszcie mógł wrócić do swojego pokoju.

Zagłębił się w komputerowym fotelu i zaczął dostrajać implanty do receptorów w zaglówku. Kiedy zamknął oczy, w uszach rozległo się wysokie buczenie.

Kiedy je otworzył, był w swojej rzeczywistości wirtualnej, otoczony znajomym gwiazdzystym niebem, a przed sobą miał marmurowy blat unoszący się w powietrzu. W sekundę później zobaczył bardzo niespodziewany element tego krajobrazu. Nagle na marmurowym blacie pojawiła się Caitlin Corrigan, leżąc na nim w pozycji modelki reklamującej stroje kąpielowe, z głową opartą na dłoni.

- Lepiej zamknij usta - zażartowała. - Chyba że chcesz połknąć wirtualne muszki.
- Nie przypominam sobie, żebym zostawił w moim miejscu pracy aż tak dużą ikonę.

- Wystarczająco dużo ikon użyłeś wczoraj wieczorem. - Zachichotała, bawiąc się ikonami, leżącymi na blacie. - To jest twoja maska Patyczaka, to twój protokół telekomunikacyjny i te paskudne rzeczy, które zrobiłeś z moim małym, przyjacielskim protokołem. - Caitlin uniosła brwi, pokazując ruchem głowy na jej przerobiony klips.

Matt żałował, że nie ma na sobie maski. Miał tylko nadzieję, że nie widać po nim totalnego szoku spowodowanego obyciem Caitlin z jego osobistą VR. Musiała tu być od dłuższego czasu, skoro udało się jej rozpoznać wszystkie programy, które ułożył.

Nadal leżała w pozie dziewczyny z okładki, mimo że była ubrana w stary sweter i wytarte dzinsy. - Nie rozumiem, czemu jesteś zdziwiony, że mnie tutaj widzisz. Właściwie sprowokowałeś nas, żebyśmy cię wyśledzili.

Potem pokręciła głową, próbując przybrać stanowczy ton, ale znów zabrzmiała kokieteryjnie. - Jak na takiego magika masz mniej poważne podejście do używania swojego komputera, niż się spodziewałam. Ile już czasu minęło, odkąd wróciłeś ze szkoły? A nawet się nie załogowałeś! Ani jednego polecenia głosowego! Nie masz pojęcia, jak długo siedzę i czekam na ciebie.

- Mam nadzieję, że nie cały czas w moim komputerze - powiedział Matt, wciąż próbując odzyskać równowagę.

Cat pogroziła mu palcem. - Niech ci się nie wydaje, że cały świat kręci się wokół ciebie - skarciła go z uśmiechem. - Miałam parę innych spraw do załatwienia. - Podniosła nieco głowę, i zaczęła zawijać końcówki włosów wokół palca. - Wiesz, zastanawiałam się, jak naprawdę wyglądasz pod maską Patyczaka. - Caitlin uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Cieszę się, że to ty, choć muszę przyznać, że jestem zdziwiona.

- Zdziwiona? - powtórzył Matt.

Wzruszyła ramionami i usiadła na blacie. Objęła rękami prawe kolano, a lewą stopą zaczęła kołysać w usianym gwiazdami powietrzu.

- Zawsze zaliczałam cię do grzecznych chłopców - powiedziała, jeszcze bardziej kokieteryjnie.

- A, chodzi ci o chłopców typu „biedny, ale uczciwy”? - zapytał Matt.

Dziewczyna kiwała głową, śmiejąc się. - Właśnie! Nie podejrzewałam, że taki szlachetny młody obywatel miałby ochotę zadawać się z takimi niepoprawnymi, nadzianymi dziećmiakami jak my.

Matt przypomniał sobie słowa Leifa Andersona na temat bogatych i znudzonych:

- Umiejętności i spryt zawsze wygrają z pieniędzmi.

Cat się roześmiała, ale Matt zauważył w jej pozie o wiele większe napięcie.

Co ja takiego powiedziałem? - zastanawiał się. Czemu nagle się zaniepokoiła?

I raptem pojął. To nie zdolności komputerowe Caitlin ją do niego doprowadziły. Jej pojawienie się i kokieteryjne zachowanie to była taka gra, żeby go zdekoncentrować. A nieświadomie użyte przez niego słowa przebiły się przez jej pozę. Przypomniały jej o kimś, kogo umiejętności i spryt pozwoliły zapanować nad bogatymi dziećmi, które zapragnęły grać rolę wirtualnych wandalii.

Geniusz cię odnalazł, szepnął mu w myślach lodowaty głos, i teraz wie już, kim jesteś.

Matt poczuł ciarki na plecach, ale postarał się, żeby Caitlin, z którą prowadził tę grę, niczego nie zauważyła.

- Mam nadzieję, że uważasz, iż ta mała wizyta była warta zachodu, bo musiała cię kosztować sporo wysiłku.

Caitlin rozluźniła się trochę, ale zaraz pojęła aluzję ukrytą w ostatnich słowach Matta. Szybciej wciągnęła oddech i przez sekundę widział strach w jej oczach. - Ciesz się nią, póki możesz - powiedziała bez troski. - Jutro w szkole, kiedy się spotkamy, udam, że cię nie znam. - Pochyliła się w jego stronę. - Pamiętaj, że żadne z nas nie powinno się... tam spotykać.

Wskazała pobieżnie ręką na jakiś punkt za rozgwieżdżonym niebem VR Matta - na prawdziwy świat.

- Osobiście, tak to ostatnim razem nazwałaś - przypomniał jej Matt. - Czy to znaczy, że wreszcie zostałem członkiem waszej drużyny?

Cat nadal nie zmieniała swojej seksownej pozycji, ale jej wzrok nabrał nienaturalnej czujności. - Tego nie mogę ci powiedzieć, ale lepiej dmuchać na zimne.

- Okay - westchnął Matt. - Chyba będę się musiał pogodzić z rolą jeszcze jednego sztywniaka.

Udało mu się niespodzianie wywołać na twarzy Caitlin szczery uśmiech. Ale wzrok wciąż miała czujny, kiedy jej palec znów powędrował do kosmyka włosów i zaczął go nawijać. - Na to wygląda. Do następnego spotkania...

Zniknęła, ale sekundę wcześniej coś upadło na marmurowy blat pomiędzy ikony.

Cat Corrigan zostawiła mu drugi klips.

Matt jeszcze długie minuty po tym, jak Cat Corrigan odcięła połączenie z jego VR, siedział nieruchomo, z głową pełną kłębiących się myśli. Pozornie nie zwracał uwagi na klips leżący na jego stanowisku pracy. Czyżby jej wizyta była jeszcze większą mistyfikacją niż się spodziewał? Czy Geniusz posłużył się nią nie tylko po to, żeby go zdezorientować, ale również po to, żeby zastawić na niego pułapkę? Biorąc do ręki ten klips Matt może włączyć nie wiadomo jaki program.

Geniusz wie, jak krzywdzić ludzi w VR. Ze stanu dezorientacji Matta wyrwało ostrzeżenie. Dotknięcie tego klipsa było tak samo bezpieczne, jak wyjęcie zawleczonego z granatu ręcznego.

Ale...

Cat nie wyglądała na dziewczynę, która pozwoliłaby, żeby ktoś wyleciał w powietrze. W końcu udało mu się dostrzec, że za jej flirtowaniem ktoś stoi. Czy nie zauważyłby, że chce go zabić?

Jasne, wiesz wszystko o reakcjach ładnych i bogatych dziewczyn, zapędzonych w ślepej uliczce.

A przecież...

Cat nie chciała, żeby Gerry Savage zabił Seana McArdle. Błagała Matta, żeby go powstrzymał - co więcej, sama pomogła Mattowi odciągnąć Savage'a od ofiary.

Jasne, odezwał się jego wewnętrzny dyskutant. Ale to ona poszatkowała Camden Yards wirtualnymi kulami z pistoletów maszynowych, trafiając Leifa.

No tak, sama się do tego przyznała, ale powiedziała też, że nie zdawała sobie sprawy, ilu ludzi pojawiło się tam w formie hologramów, przez co byli wystawieni na rażącą siłę strzałów. Ten klips to może być jakiś podstęp, śmiertelna pułapka... albo wiadomość. Matt musiał się tego dowiedzieć.

Pierwszą czynnością, jaką w tym celu wykonał, było odłączenie się od komputera. Zerwał się z komputerowego fotela i wybiegł na korytarz. Rodzice siedzieli w salonie, oglądając jakiś holodramat o policjantach i złodziejach.

- Stało się coś, synu? - spytał pan Hunter.

Matt potrząsnął przecząco głową. - Nie. Muszę trochę rozprostować kości.

Wrócił do swojego pokoju, otworzył okno i wymknął się nim na zewnątrz. Dobrze, że mam własną kartę przejazdową, a na niej trochę pieniędzy, pomyślał. Być może zaczyna wpadać w lekką paranoję. Tego, na czym mu zależało, mógł się dowiedzieć przez telefon albo

podczas krótkiego wypadu do Sieci. Ale Matt nie miał zamiaru pokładać zaufania w zespole obwodów Sieci, użytkowanej przez większość ludzi. Nie po tym, jak ktoś spenetrował jego własny system, wysyłając Cat Corrigan do jego osobistej VR. Matt zawsze uważał, że jego komputer ma całkiem niezłe zabezpieczenia - niestety nie te megadrogie, którymi otaczali się bogacze, ani te wyjątkowo odporne programy rządowe wykorzystywane przez Net Force.

Dla Geniusza jego system bezpieczeństwa okazał się równie wytrzymały jak papier toaletowy. Matt, zanim znów skorzysta ze swojego systemu, najpierw sprawdzi, czy nie ma w nim pluskiew, detektorów i innych pułapek. Skoro Geniusz wie, kim on jest, równie dobrze mógł założyć podsłuch w telefonie państwa Hunterów, jak i w jego komputerze. Pewnie Geniusz mógł też wyśledzić w komputerze transakcje dokonywane przez Matta przy użyciu karty kredytowej.

Nie, pomyślał Matt, idąc ze stacji metra do domu Davida Graya. Bezpieczniej będzie załatwić to osobiście. Na szczęście to David się odezwał, kiedy Matt zadzwonił z holu na dole, - David? Tu Matt. Mam mały problem i pomyślałem, że mógłbyś mi pomóc.

- Wejdz na górę - odparł kolega.

Matt był gotowy, gdy tylko David otworzył drzwi do mieszkania. - Człowiek, który stoi za wirtualnymi wandalami, dostał się do mojego komputera - wyszeptał.

- Jasne - powiedział głośno David. - Mam w moim pokoju. - Poprowadził go do salonu, w którym pani Gray oglądała holokomedię. - Cześć, Matt - powiedziała.

- Matt potrzebuje materiały do szkoły - poinformował David. - To zajmie tylko chwilkę.

Kiedy szli korytarzem, David powiedział ściszym głosem: - Masz szczęście, że mój ojciec pracuje dzisiaj na nocną zmianę i musieliśmy sobie poradzić tylko z moją mamą.

Ojciec Davida był detektywem waszyngtońskiej policji. - Zabrałby cię do krainy przesłuchań, żeby się dowiedzieć dlaczego nie możemy zrobić tego, co mamy do zrobienia w VR. - Uśmiechnął się szeroko. - Do tego, to ulubiony serial mojej matki - „Starzy znajomi”.

Dotarli do pokoju Davida, który dzielił z dwoma młodszymi braćmi, Tommym i Jamesem. Mimo piętrowych łóżek pomieszczenie zawsze wydawało się zagracone - zabawki dziecinne walczyły o miejsce z komputerem Davida. Obecnie młodsi bracia grali w hałaśliwą grę typu „zastrzel ich wszystkich” w jednej z części systemu Davida.

- Sio! - powiedział David, pokazując palcem na drzwi. - Potrzebny nam na chwilę komputer.

- Ooooo! - jęknął dziesięcioletni Tommy. - Akurat teraz, kiedy wreszcie dotarłem do następnego poziomu.

- Komputer! - powiedział David. - Zachowaj obecną symulację jako TOMMYREKORDOWYWYNIK kropka GRA.

Jasny holograficzny obraz, którym malcy posługiwali się podczas gry, zbladł i zniknął. - Gra zachowana - oznajmił komputer.

- Hej! - powiedział Tommy. - Nie wiedziałem, że mogę tak robić!

- Ty nie możesz - wyjaśnił David młodszemu bratu. - Ja mogę. Wróćcie i dokończycie, kiedy my załatwimy swoje sprawy.

- Do tego czasu stracę formę - poskarżył się Tommy i razem z Jamesem zaczęli wychodzić z pokoju.

- Ta gra zacznie się w miejscu, w którym ją przerwaliście - obiecał David. Zamknął za nimi drzwi i spojrzał na Matta.

- Nie rozumiem, czemu nie pójdziesz z tym do kapitana Wintersa, żeby specjaliści z Net Force zajęli się twoim systemem.

Chociaż David był jego przyjacielem, Matt nie chciał mu opowiadać o napaści na VR Seana McArdle - i o ataku, któremu ledwo zapobiegł. W końcu ojciec Davida jest policjantem.

- Zaczyna się robić coraz ciekawiej - powiedział wreszcie Matt. - W mojej VR może znajdować się pewien ślad, ale nie chcę jej używać, jeśli ten facet może mnie przez cały czas obserwować.

- Nie rozumiem, jak mogę ci pomóc - zaczął David.

- Jesteś wirtualnym badaczem - przerwał mu Matt. - Z całym tym sprzętem do skanowania, jaki tu masz, pomyślałem sobie, że stąd byłbyś w stanie sprawdzić mój system.

Większość chłopaków wiedziała, jak programować. Matt miał kilka wymyślonych samochodów wyścigowych, które sam zaprojektował, majsterkował przy nich, a nawet zabierał na fantastyczne przejażdżki. Najbardziej lubił swojego podrasowanego Dodge'a Vipera. David natomiast miał inne hobby. Stworzył statek kosmiczny i moduły eksplorujące, które działały równie dobrze, jak te zbudowane w NASA - przynajmniej w VR.

David zdziwił się trochę. - Nie pomyślałem o tym - powiedział. - Ale masz rację. Możemy ustawić skanery tak, żeby szukały źródłowych emisji i nietypowych koncentracji energii.

Otworzył pudełko infozbiorów i włożył pusty do swojego komputera. - Zrobię kopię sondy, żebyśmy mogli się przekonać, czy ktoś przy niej majstrował, kiedy będzie badać twój system.

Wydał kilka poleceń komputerowi i odwrócił się do Matta z szerokim uśmiechem. -

Chcesz zobaczyć, jak wygląda twoja VR z zewnątrz?

- Myślę, że lepiej byś na tym wyszedł, gdybyś posłużył się telementrią - ostrzegł go Matt.

David zmarszczył brwi. - To będzie o wiele bardziej niewygodne - zaproponował.

- Ten gość sprawia, że ludziom przytrafiają się złe rzeczy w VR - powiedział Matt. - Jeśli zaprogramował coś paskudnego w moim systemie, nie mam nic przeciwko temu, żeby wystawić na niebezpieczeństwo tylko twoją sondę. Masz tu przecież kopię. - Wskazał na infozbiór, leżący na stoliku komputerowym. - Ale my trzymajmy się od tego jak najdalej.

- Pewnie masz rację - zgodził się z nim David. Rzucił komputerowi jeszcze kilka poleceń, każąc mu uruchomić różnego rodzaju podprogramy bezpieczeństwa, po czym znów uśmiechnął się szeroko do Matta.

- Kiedy ma się dwóch ciekawskich młodszych braci, człowiek uczy się, jak pilnować dostępu do swojej własności. - Kilka kolejnych poleceń utworzyło holograficzny przyrząd do skanowania i inne przyrządy pomiarowe, przeznaczone do zaznaczenia wyników sondy.

- Wchodzimy - oznajmił David, autoryzując połączenie telekomunikacyjne.

Matt utkwiał wzrok w przyrządach pomiarowych, ale nic mu one nie mówiły.

- Dobra wiadomość to taka - zaczął David - że nic się nie stało. Twoja VR nie została zniszczona. - Następnie pokazał palcem na przyrząd pomiarowy. - Ale nastąpiło kilka przecieków energii na zewnątrz, które nie pojawiłyby się w prawidłowej wersji twojej VR.

- Więc jest zapluskwiona - powiedział Matt.

- Dobrze zgadłeś. - David wydał kilka poleceń sondzie. - Zobaczmy, czy uda nam się przyjrzeć temu bliżej...

Przerwał nagle, wskazując na inny przyrząd pomiarowy. - A niech mnie! Samoniszcząca! Na szczęście nie na tyle, żeby zrobić krzywdę, nawet gdybyś był w VR. Coś czuję, że ten gość nie lubi, kiedy inni przyglądają się jego programom.

Poświęcili trochę czasu na pozbycie się z VR jeszcze paru zabawek Geniusza, łącznie z programem Konia Trojańskiego, który umożliwił Caitlin wejście do VR Matta - i pozostawienie w nim małego prezentu.

- Został tylko jeden element, który tu nie pasuje - powiadomił go David. - Obca ikona na twoim stanowisku pracy - nie twój program.

- O tym właśnie ci mówiłem - powiedział Matt. - Czy możesz go uruchomić sondą?

David wypowiedział parę poleceń. Kilka sekund później wrzucił ramionami. - Wygląda na dziesięciosekundowy zapis głosowy. Może wiadomość dla ciebie. - David nie

przestawał obrzucać Matta dziwnym spojrzeniem. - Przynajmniej nic nie wybuchło, stary.

Pół godziny później Matt wdrapywał się oknem do swojego pokoju, czując się trochę głupio.

Lepiej dmuchać na zimne, pomyślał. Poszedł do kuchni po szklankę mleka.

- Wciąż pracujesz? - spytał go ojciec.

- Na szczęście już prawie skończyłem - odparł Matt. Wrócił do pokoju i wybrał infozbiór ze wszystkimi informacjami, jakie zebrał na temat wirtualnych wandali, i wyniósł go na korytarz. Następnie wrócił do pokoju i zaczął wydawać polecenia swojemu komputerowi. Nad biurkiem pojawił się w zmniejszonej skali model jego VR. Matt schował się za łóżko, bo nic innego się do tego nie nadawało... tak na wszelki wypadek. I wreszcie polecił włączyć ikonę zaprogramowaną w klipsie Cat Corrigan.

- Matt, muszę się z tobą zobaczyć. - Jej głos przybrał blaszany ton z powodu zmniejszonego modelu. - Musi my się spotkać osobiście. Żadnych komputerów, telefonów... ani hologramów, I to jak najszybciej.

Nawet odtworzenie gorszej jakości głosu nie usunęło z zapisu nuty strachu. Matt siedział nieruchomo, wpatrując się w swoją pieczołowicie zaprojektowaną VR. Potem rozkazał komputerowi skasować wszystko. Nie tylko ten plik, ale całą pamięć swojego miejsca pracy - i wszystkiego, co się tam zdarzyło.

Następnego dnia rano Matt pojechał do szkoły wcześniejszym autobusem. Wiedział, że Cat Corrigan zazwyczaj przyjeżdżała do szkoły samochodem, i dziś też tak zrobiła. Śmiał się z siebie w duchu, ponieważ zastanawiał się, czy ktoś zauważył, że zmienił swój poranny rozkład dnia. Ale Cat o wiele bardziej przyciągała powszechną uwagę, parkując klasycznego Copperheada. Matt znał się na samochodach. Ten musiał mieć dobre trzydzieści lat. Stary czy nie, wyglądał fantastycznie. Czemu ona męczy się w takiej maszynie? Cóż, przynajmniej odwracała uwagę od Matta. A do tego skupiała zainteresowanie każdego bez mała chłopaka w tej szkole, który miał bzika na punkcie samochodów. Matt liczył na to, że uda mu się zamienić z nią parę słów przed kursem przygotowawczym. Ale okazało się, że stoi na obrzeżu tłumu podziwiającego jej samochód.

Ich plany lekcji były tak złośliwie ułożone, że przez cały dzień nawet nie mieli szans na siebie wpaść. Jeśli Matt widział Caitlin, to zazwyczaj znajdowała się w odległym końcu korytarza i szła w przeciwnym kierunku. Miał nadzieję, że uda mu się ją złapać w stołówce, ale kiedy tylko wszedł do środka, natknął się na Sandy'ego Braxtona. - Hej, Matt! Wspaniale

nowiny! Mój ojciec ma przyjaciół, którzy bawią się rekonstrukcją bitew.

Czytając materiały Matt natrafił na informację o organizacji, której członkowie ubrani w mundury z wojny secesyjnej spotykali się i na niby odgrywali historyczne bitwy. A ponieważ to Wirginia była terenem głównych kampanii podczas wojny, nie byłoby dziwne, gdyby kilka takich klubów istniało w Waszyngtonie i okolicach. W innych okolicznościach bardziej by go zainteresowało to, co Sandy ma do powiedzenia. A teraz pragnął, żeby ziemia pochłonęła tego idiotę. Blokował mu dostęp do Cat Corrigan.

- Mają nawet holograficzne zapisy bitew. Specjalnie pojechali do Pensylwanii, żeby odegrać szarżę Picketta. Jutro będę miał kopię. Zaraz po lunchu mamy zajęcia w bibliotece. Chyba uda mi się tak to załatwić z Fairlie'em, żebyśmy mogli zobaczyć to wtedy.

- W porządku - powiedział z roztargnieniem Matt, próbując ominąć Sandy'ego. Caitlin szła prosto w ich stronę!

Niosła w ręku teczkę pełną infozbiorów i pisemnych notatek. Kiedy ich mijала, kartka z notatnika zaczęła spadać na podłogę. Wiadomość?

Matt wykonał ruch, by ją złapać, ale Sandy był szybszy.

- Hej, Caitlin! Zgubiłaś coś!

Caitlin odwróciła się i posłała Mattowi spojrzenie w stylu „Zrób coś z nim!”

Sandy podał jej kartkę, czytając treść na głos. - Koncert na gitarę klasyczną! Kto w ogóle chodzi na takie rzeczy?

Caitlin wzniosła oczy do góry jak rasowy Lit. - Och, wiem! Pokręciłam coś z menu wydruku w moim komputerze i dostałam to.

Mówiąc to, Cat zgmiotła kartkę i posłała Mattowi znaczące spojrzenie.

Matt widział, jak papierowa kula ląduje w koszu na śmieci. Skierował swoje kroki w tamtą stronę, pozbywszy się wreszcie Sandy'ego Braxtona. Miał szczęście, że nikt nie zdążył wylać na kartkę talerza pełnego tajemniczego mięsnego dania z sosem chilli. Przez cały lunch czuł ciężar zwitka papieru w swojej kieszeni, zupełnie jakby był z ołowiu. Po jakimś czasie wyszedł przed szkołę i, oparty o drzewo, rozwinął kartkę.

Na jednej stronie znajdował się plakat szkolnego klubu muzycznego, ogłaszający recital gitary klasycznej, który ma się odbyć tego popołudnia. Druga strona była pusta.

Matt zmarszczył czoło. Szyfr? Może niewidzialne pismo. Przypomniał sobie, że jako dziecko czytał coś o soku z cytryny...

Oparł głowę o szorstką korę drzewa. Nie, ma tę wiadomość dokładnie przed oczami. Czy to nie jest idealne miejsce, żeby się spotkać? Recital ma się odbyć dzisiaj w auditorium - dużym, ciemnym pomieszczeniu. Gitary klasyczne nie wymagają wspomagan

komputerowego ani elektronicznego. Wystarczą palce i uszy - perfekcyjne rozwiązanie!

Matt wpadł zdyszany i trochę spóźniony do audytorium. Wślizgnął się do środka i stanął z tyłu za ostatnim rzędem krzeseł, czekając aż wzrok przyzwyczai mu się do ciemności. Na krześle w plamie światła siedziała poważnie wyglądająca dziewczyna i palcami wygrywała skomplikowane akordy na gitarze. Melodia rozbrzmiewała w powietrzu.

Ale gdzie jest Caitlin?

Muzyka ustała i nagle przed oczami Matta śmignęły złociste włosy Caitlin, która podniosła się z krzesła w ostatnim rzędzie. Klaskała, aż gitarzystka opuściła scenę, po czym wyszła obok Matta, zręcznie wsuwając mu coś do kieszeni koszuli.

Matt osunął się na krzesło, skrzyżował ręce na piersi i ukradkiem wyjął z kieszeni karteczkę. Niecierpliwie czekał, aż skończy się następny utwór, co jak zwykle w takich sytuacjach trwało całe wieki. Wreszcie wyszedł z audytorium i udał się do swojej szafki z książkami. Otworzył ją, rozłożył kartkę na podręcznikach i przeczytał:

SHERIDAN CIRCLE 3.30.

Znał to miejsce - to jeden z objazdów, rozładowujących korki, nagminne wokół Waszyngtonu. Trzeba było przejść kawałek z Bradford. Spojrzał na zegarek. Jeśli chce zdążyć na trzecią trzydzieści powinien ruszać natychmiast! Rzeczywiście dotarł do Sheridan Circle zaledwie z półminutowym zapasem. Rozejrzał się po bogatej dzielnicy. Sporo państw miało w tym rejonie swoje ambasady. Gdyby zauważył go któryś z wirtualnych wandalii...

W sekundę później Matt zrozumiał, czemu Caitlin przyjechała do szkoły Copperheadem. W sznurze innych pojazdów pojawiła się charakterystyczna sylwetka samochodu. Matt wskoczył do środka i pokonali resztę okrążenia, po czym mostem Buffalo przejechali do Georgetown.

Dziewczyna w milczeniu prowadziła samochód lokalnymi uliczkami, a następnie wjechała na autostradę.

- No i? - odezwał się Matt. - Zdaje się, że chciałaś pogadać?
- Nasza czwórka może spotykać się tylko w Sieci. To ma nas chronić - jeśli nikt nas razem nie zobaczy, nie połączy nas z żadną sprawą. - Spojrzała na Matta. - Teraz zaczynam podejrzewać, że chodzi raczej o kontrolę nad nami.
- Więc kiedy zdecydowałaś się złamać tę zasadę, wybrałaś mnie, bo ja nie mam z tym do kogo pójść.

Cat zagryzła dolną wargę. - Chciałam wyjaśnić ci parę spraw, to że patrzysz na nas i

myślisz sobie, że mamy wszystko - bogate dzieciaki, które żyją w luksusie. Pozwól, że coś ci powiem. Po dziesiątym dyplomatycznym przyjęciu, wszystkie zaczynają wyglądać tak samo. Zaczyna się... najbardziej pasuje mi tu słowo nuda.

Kiedy mówiła dalej, wzrok miała utkwiony przed siebie na drogę. - My właściwie nie mamy rodzin. Od kiedy pamiętam mój ojciec do czegoś kandydował. Właściwie prawie nie widuję ani jego, ani mamy. Luc - czasem myślę, że jego wygłupy to sposób na to, żeby jego rodzice mieli świadomość jego istnienia. Geny jest tutaj, ponieważ został wyrzucony z prawie wszystkich szkół z internatem w Europie. A Drażko nienawidzi swojego ojca za to, że tamten zajął się polityką. Został ambasadorem na Bałkanach, przez co jego matka zginęła tam w ostatnich zamieszkach.

- Biedne bogate dzieciaki, co? - powiedział Matt.

- Raczej głupie biedne bogate dzieciaki - powiedziała gorzko Cat. - Znudzone, złe dzieciaki, które nagle dostają możliwość zrealizowania swoich fantazji, jak bohaterowie komiksów. Przybieranie innych tożsamości i tak dalej.

- Tylko że byliście złoczyńcami, a nie superbohaterami.

- Daj spokój! Zniszczyliśmy parę VR. Każdy, kto ma trochę oleju w głowie, trzyma kopię w infozbiorze. Dzieciaki farbą w spreju robią więcej szkody niż my.

- A ludzie, którym zrobiliście krzywdę?

Skurczyła się trochę na swoim fotelu. - To ciemna strona tych fantazji. - Znow spojrzała na Matta, błagając go wzrokiem, żeby zrozumiał. - Kiedy jesteś piękny i bogaty, ludzie robią ci same przysługi. Nigdy nie pomyślałam, że może się w tym kryć jakiś haczyk - inni też nie. Drażko i Savage byli zdumieni, kiedy się okazało, że mogą załatwiać ludzi w VR - i szczerze mówiąc, poniosło ich.

- Nie musisz mi mówić. Widziałem, co Savage zrobił Seanowi McArdle.

- To nie jest prawdziwy Geny. Młóci wokół siebie pięściami, bo tylko tak potrafi walczyć z pułapką, w której wszyscy się znaleźliśmy.

- Pułapką? - powtórzył Matt.

- Człowiek, który wymyślił tę małą grę, pogrywa też z nami. Jesteśmy szantażowani, Matt. Na każde tajne wejście, które zostawiamy na późniejsze wizyty, zakładamy też dwa inne, których nie wolno nam używać.

- Jak to „nie wolno”?

Caitlin zaczęła mówić ze ściśniętym gardłem. - On nam tego zakazuje, to jest lepsze określenie naszej sytuacji. Nie wiem, do czego używane są te wejścia, ale Gerry złamał koronną zasadę zabierając nas do VR Seana McArdle.

Dojeżdżali do zjazdu w pobliżu domu Matta. Caitlin zmieniła pas i zjechała z autostrady. Przejechała kilka przecznic i zatrzymała samochód. - Mówię ci o tym dlatego, że jeszcze nie siedzisz w tym za głęboko. Wciąż możesz się wycofać i zapomnieć, że nas poznałeś.

- Może mógłbym wam pomóc - powiedział Matt. - Czy znasz człowieka, który wydaje wam rozkazy?

Caitlin wskazała ręką na drzwiach. - Lepiej idź już do domu, Matt. I uważaj na siebie.

Matt jedynie grzebał w talerzu podczas obiadu.

- Czy nie masz dzisiaj spotkania z Badaczami Net Force? - spytała go mama, kiedy skończyli jeść.

Matt skinął głową. Raz w miesiącu wirtualni zwiadowcy mieli wirtualne spotkania, albo w regionalnym węzle, albo w dużo liczniejszym gronie w waszyngtońskim komputerze Net Force. Matt zdecydowanie nie był w nastroju na to spotkanie. Wtedy pomyślał o Geniuszu. Jeśli ten tajemniczy gość go sprawdza, Net Force było ostatnim miejscem, z którym Matt chciałby zostać przez niego powiązany.

- Chyba się dzisiaj nie wybiorę, mamo - powiedział.

- Jesteś przemęczony? - spytał go ojciec. - Może zbyt dużo na siebie wzięłeś pomagając temu koledze z klasy w projekcie z historii.

- Nie, to nie problem - powiedział Matt, niosąc naczynia do kuchni.

Ktoś zadzwonił do drzwi, a w sekundę później jego ojciec wrócił, uśmiechając się nieznacznie. - Masz gościa - powiedział - Chyba powinieneś zmyć pianę z rąk. To młoda kobieta.

Zaskoczony Matt poszedł do głównego holu, gdzie natknął się na Cat Corrigan gawędzącą z jego matką.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że wpadam bez uprzedzenia? - powiedziała.

- N...nie - odparł Matt. - Chcesz się przejść?

- Jasne.

Kiedy oddalili się trochę od domu, Caitlin zarzuciła swoją pozę grzecznego gościa. W jej oczach pojawiło się przerażenie. - Powiedziałeś, że chcesz pomóc. Nie wiem, co mógłbyś zrobić albo ktokolwiek inny.

- W jakiej sprawie? - spytał Matt.

- Gerry - odpowiedziała Caitlin zachrypniętym głosem. - Nie żyje. Ktoś go

przejechał i uciekł z miejsca wypadku jakieś pół godziny temu.

Matt wpatrywał się w nią zszokowany. - Czy to mógł być przypadek?

Kiedy tylko wypowiedział te słowa, znał na nie odpowiedź i sam sobie odpowiedział.

- Nie, to nie był zbieg okoliczności.

- Nie, chyba że Geny był królem pecha i znajdowania się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze - zgodziła się Caitlin. - A tak nie było. To musiało być zaplanowane.

- Tylko że ja bym się spodziewał raczej wirtualnej zemsty - powiedział Matt. - Przejechanie kogoś samochodem, to takie straszne. - Rzucił okiem na Caitlin. - I nieodwracalne.

- Wiem. - Caitlin zadrżała. - Myślałam, że dostanie ostrzeżenie albo karę.

- Najwyraźniej facet nigdy nie tresował psów - mruknął Matt.

Caitlin odwróciła się do niego. - Co takiego?

- Tak mówił mój wujek. Kiedy tresujesz szczeniaka, a on nasika na dywan, to go przecież nie zabijasz, bo w ten sposób marnujesz wszystko, czego go do tej pory nauczyłeś.

- Ale są jeszcze inne szczeniaki - powiedziała twardym głosem Caitlin. - Cztery, jeżeli wliczymy ciebie. Może Gerald przestał być potrzebny, kiedy pojawiło się ewentualne zastępstwo. Albo - przełknęła z trudem - wszyscy staliśmy się zbędni.

To stwierdzenie niezbyt spodobało się Mattowi. - Cokolwiek się dzieje, zaczyna mnie wybitnie intrygować - powiedział. - Ale muszę wiedzieć, co dzieło się przedtem, zanim uda mi się ustalić, co dzieje się teraz. Kto tutaj pociąga za sznurki?

Caitlin odetchnęła głęboko. - Dobrze, powiem ci. To chłopak, który chodził z nami do szkoły, Może go pamiętasz - to Rob Falk.

Matt ściągnął brwi. Przywołał z pamięci mglisty obraz wysokiego, patykowatego ucznia, coś w stylu super-sztywniaka. Przykrótkie spodnie, kieszeń wypchana ołówkami, długopisami i gadżetami komputerowymi. Od dłuższego czasu nie widywał już Falka na zajęciach. Rzucił szkołę czy gdzieś wyjechał? Coś mu się kojarzyło... Matt próbował to sobie przypomnieć, podczas gdy Caitlin mówiła dalej.

- Rob był - no cóż, kujonem. Sam siebie nazywał kujonem do n-tej potęgi. Ale dzięki niemu zaliczyłam Podstawy Komputera, więc okazał się użyteczny. Wydawało mi się, że się we mnie podkochuje.

Caitlin zaśmiała się gorzko. - Mówiąc krótko, wprowadził jakieś zmiany w moim systemie. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że zostawił w nim tajne wejście. Jakiś czas po tym,

jak opuścił Bradford, znalazłam w swojej VR kilka ikon. Parę masek i program, dzięki któremu mogłam wchodzić do różnych miejsc przez tajne wejścia. Któregoś dnia, kiedy śmiertelnie przeraziłam jedną z moich przemyślanych koleżanek z klasy, zmieniając jej romantyczną symulację w horror, wróciłam do swojego systemu i zastałam w nim czekającego na mnie Roba. Wiedział, że korzystam z jego programów i miał mi więcej do zaoferowania. - Caitlin pokręciła głową. - To wyglądało tak super - spotkanie się z innymi, którym można zaufać, zostawianie tajnych wejść w ciągu dnia, żeby wrócić tam w nocy w przebraniu... Sama nawet pomogłam zwerbować chłopaków. Gerry'ego po prostu spytałam. A w komputerach Luca i Drażko zostawiłam wejścia. Uważali, że to zabawne. Ja początkowo też.

- I potem sprawy zaczęły przybierać inny obrót?

Skinęła głową. - Rob miał te wszystkie komputerowe gadżety, rzeczy, których nie można kupić. Niesamowite maski. Tajne przejścia do przeróżnych systemów. I program, dzięki któremu ludzie czuli wirtualne uderzenia. Ale dla nas też miał zadania. Musieliśmy w różnych miejscach zostawiać pułapki. Na początku to nie było nic trudnego, mogliśmy wykonywać nasze zadania podczas wirtualnych przyjęć. Ale z czasem zaczęły się pojawiać coraz bardziej wymagające polecenia. Na przykład Seanem McArdle męczył nas od kilku tygodni.

- A co z meczem baseballu?

- To był pomysł Gerry'ego. Zaczynał mieć trochę dość rozkazów od gościa, którego uważał za cieniasa.

Wygląda na to, że ten cienias go w końcu załatwił, pomyślał Matt. Jednak nie powiedział tego głośno, nie chcąc przerywać Caitlin.

- Savage od zawsze nienawidził baseballu. Uważał, że byłoby bombowo zakłócić mecz drużyn z pierwszej ligi. Rob zgodził się tylko po to, żeby nakłonić Gerry'ego do dalszej współpracy, chociaż to wymagało specjalnego oprogramowania. - Caitlin stała się jeszcze smutniejsza.- Czasem myślę, że Savage w ten sposób wzywał pomocy - nagłośnione wydarzenie, które przyciągnie uwagę innych ludzi. Po tym numerze wszystko zmieniło się na gorsze. Przejęłam się tym, że strzelaliśmy do ludzi. Ale chłopcy stali się jeszcze gorsi. I... resztę znasz.

Tak, pomyślał Matt, wtedy właśnie włączyłem się do gry.

- Powiedziałem, że spróbuję ci pomóc - powiedział z namysłem. - Ale to nie znaczy, że mam program gotowy do aktywacji. Musimy zobaczyć, jak to się dalej potoczy. Lepiej bądź ostrożna.

Caitlin wyglądała na trochę rozczarowaną, że nie ma dla niej gotowego rozwiązania, ale w końcu kiwnęła głową. - Cieszę się, że przynajmniej mam kogoś, z kim mogłam o tym porozmawiać. - W jej głosie pojawiły się ostrzejsze nuty. - Ty też lepiej uważaj. Nie miałam kontaktu z Robem, od kiedy wysłał mnie do twojego systemu. Nie mam pojęcia, jakie plany ma wobec ciebie.

- To przyjemna myśl - mruknął Matt. Potem powiedział: - Jedź do domu. Jeśli coś wymyślę, jutro dam ci znać.

Z uśmiechem wdzięczności Cat Corrigan poszła do swojego samochodu. Matt pomachał jej, ale bez uśmiechu obserwował, jak klasyczny sportowy wóz znika w oddali. Gdyby Cat powiedziała mu wcześniej o Robie Falku, może Gerald Savage by żył.

W ponurym nastroju Matt wrócił do domu. Kiedy wszedł do środka, mama posłała mu uśmiech, - Czy to z jej powodu postanowiłeś opuścić dzisiaj swoje spotkanie? Wygląda na miłą dziewczynę, Chyba nie miałam okazji jej poznać.

Matt czuł, że się czerwieni. Chciał powiedzieć: to córka senatora, która ma poważne kłopoty i posługuje się mną, bo myśli, że mogę jej pomóc.

Ale zamiast tego wzruszył ramionami i rzucił: - To tylko koleżanka ze szkoły.

Mama pokiwała głową. - Jasne. Pamiętam, jak twój ojciec był tylko kolegą ze szkoły.

Matt nie znalazł na to odpowiedzi, więc wycofał się do swojego pokoju. Usiadł w połączonym z komputerem fotelu, ale nie chciał jeszcze wchodzić do VR.

Wreszcie zdemaskowałem Geniusza, pomyślał, ale boję się posłużyć moim komputerem, żeby go złapać.

Jeśli spróbuje wejść on-line i dowiedzieć się czegoś więcej o Robie Falku, może tym samym ostrzec Geniusza, że go ściga. Coś jednak powinien sobie przypomnieć na jego temat...

Wreszcie Matt strzelił z palców. Miał w pamięci komputera sporo informacji ściągniętych ze szkoły, które upakował i upchnął w pamięci do czasu, aż je przejrzy i skasuje.

Może teraz nadeszła odpowiednia chwila, żeby zacząć je przeglądać, pomyślał.

Polecił komputerowi włączyć ekran holograficzny i zacząć pokazywać dokumenty. Znajdował się wśród nich wirtualny rocznik. Chociaż Rob odszedł ze szkoły przed końcem roku, jego twarz została uwieczniona na klasowych zdjęciach - robiono je w ciągu roku. Matt bez słowa pokiwał głową, robiąc na niego zbliżenie. Rob najwyraźniej zapomniał, że tego dnia będą robić zdjęcia. Był jeszcze bardziej zaniedbany, niż Matt pamiętał. Czupryna zakrywała mu prawie całą twarz, a na kołnierzu miał plamę. Matt dał sobie spokój ze zdjęciem. Rob wyglądał na nim jak kłown, a on wiedział, że jest bezwzględny mordercą.

Otworzył następny plik. Znajdował się w nim zapis gazetki szkolnej. Czasem Matt ją przeglądał, a nawet jeśli tego nie robił, jego szkolny terminal był zaprogramowany tak, żeby przysyłać „Bradford Bulletin” do jego komputera, a tam go upakowywać i zachowywać w pamięci. Zaraz, zaraz! To tutaj natknął się na nazwisko Roba Falka. Coś o nim było w gazecie... Matt polecił komputerowi przeszukanie wszystkich plików z gazetą i odnalezienie nazwiska Roba Falka. Zabrało to kilka minut, ale komputer i tak był szybszy od Natta.

Na holograficznym ekranie pojawił się obraz. Był to artykuł o ceremonii pogrzebowej Marian Falk, matki Roba. Przechodziła przez ulicę i wpadła pod samochód, którego kierowca uciekł z miejsca wypadku. Matt często słyszał powiedzenie „z przerażenia krew zastyga w żyłach”. Ale dopiero w tej chwili po raz pierwszy w życiu sam tego doświadczył. Policja zatrzymała kierowcę, który okazał się dyplomatą z Europy, prowadzącym wóz po pijanemu. Mężczyźnie jednak nie przedstawiono żadnych zarzutów, ponieważ chronił go immunitet dyplomatyczny. Co więcej, wyjechał do swojego kraju ojczystego, unikając jakiegokolwiek kary.

Racja, przypomniał sobie Matt. Ojciec Roba Falka pracował w służbach celnych. Jak na ironię jego praca polegała na kontaktach zagranicznymi dyplomatami związanymi z eksportem i importem różnych towarów.

W gazecie nie było więcej wzmianek na temat Roba Falka i Matt wiedział i jakiego powodu. Pan Falk po wypadku żony niezbyt dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków w pracy. W domu też raczej nie było różowo. Rob zaczął się opuszczać w nauce. David Gray go znał - powiedział, że Rob zaczął się zatracać w świecie swojego komputera. Wreszcie Falk senior stracił pracę, a Rob stypendium w Bradford.

Matt wyłączył komputer. Dzieciak, którego zaczęły pochłaniać komputery i który miał poważne powody nienawidzić dyplomato W Teraz powrócił, zwerbował grupkę dzieciaków dyplomatów i nakłonił ich do łamania prawa, a niewykluczone, że jednego z nich przejechał, tak jak ktoś inny przejechał ego matkę.

Od kiedy Matt obiecał Caitlin Corrigan, że jej pomoże, wiedział, że istnieje tylko jedno wyjście. Pewnie, że mógł wydać Cat i resztę jej dyplomatycznych przyjaciół odpowiednim władzom, co oficjalnie można by nazwać „pomocą”. Ale ona nie o to prosiła. Nie, Matt nie był w stanie wydać jej w ręce kapitana Wintersa. Ale jutro złapie ją w szkole i nakłoni, żeby poszła z nim do Net Force i opowiedziała im całą historię. Ona i jej przyjaciele wyszliby z tego bez większego szwanku, natomiast Rob Falk otrzymałby jakąś pomoc.

Następnego dnia w szkole Matt odnalazł Davida Graya, zanim poszedł na zajęcia

przygotowawcze. - Masz jeszcze kontakt z Robem Falkiem? - spytał.

David spojrział na niego, unosząc brwi. - Dawno nie słyszałem tego nazwiska. Nie, nie rozmawiałem z nim od czasu, jak poszedł z dymem.

Matt skrzywił się trochę i David natychmiast się zawstydził. - To chyba nie najszcześniejsze określenie, biorąc pod uwagę to, co się stało z jego matką i w ogóle - powiedział David.

- Myślisz, że któryś z twoich przyjaciół utrzymuje z nim jeszcze kontakty?

David wzruszył ramionami - Chodź, to się dowiemy.

Matt wiedział co nieco o komputerach, ale David był prawdziwym specem. A kilku jego kolegów nie można było określić inaczej niż megamaniaki. Podeszli do grupki niedbale ubranych chłopaków, którzy zdawali się mówić w obcym języku o logice komputerowej. Matt miał szczęście, jeśli rozumiał jedno słowo na pięć.

- Ktoś miał jakieś wiadomości od Roba Fajki? - spytał David.

Komputerowcy popatrzyli na niego, jakby teleportował się właśnie z innej planety.

- Falk - ciągnął David. - Chodził do naszej szkoły w zeszłym roku. Chyba należał do kółka komputerowego.

- Tak, tak - powiedział jeden z przyszłych naukowców. Miał kręcone włosy koloru marchewki w dzikim nieładzie. - Nie mógł dać sobie rady i musiał odejść.

- Problemy rodzinne - dodał puciołowaty chłopak.

Marchewkowy Lok rzucił mu spojrzenie pełne wyższości w stylu Jakby to coś wyjaśniało”, po czym wrócił do rzeczywistego nudnego świata. - Nie dostałem od niego wiadomości głosowych ani e-maila.

David spojrział na pozostałych, ale ci tylko wzruszyli ramionami. - On raczej... trzymał się na uboczu - powiedział grubasek.

- Lubił pracować sam - dodał Marchewkowy Lok.

Matt nie odważył się spojrzeć na Davida. Bał się, że wybuchnie śmiechem, słysząc takie słowa od ludzi, którzy sami wyglądali jak pełnoprawni członkowie Sekcji Szkoleniowej Niebezpiecznych Samotników.

Niestety, pozostała część dnia nie była już tak zabawna. Matt znów nie miał szansy zbliżyć się do Cat Corrigan. Widział ją właściwie tylko raz i to daleko w głębi korytarza. Kiedy szedł do stołówki na lunch zobaczył, że Sandy Braxton idzie pośpiesznie w jego kierunku, machając mu na przywitanie.

Co jest z tym gościem nie w porządku? - pomyślał Matt z irytacją. Boi się, że obleje

historię, czy co?

- Hej, Matt! Widzimy się po lunchu, okay?

Matt patrzył na niego skołowany.

- Rekonstrukcja szarzy Picketta, pamiętasz? - przypomniał mu chłopak. - Wczoraj ustaliłem to z doktorem Fairlie'em. Przyjaciel mojego ojca mówi, że będzie nawet widać moment, w którym Armistead zostaje trafiony i co się dzieje potem. Ekstra, co?

- Tak. Bomba - powiedział Matt. Dokładnie w tym momencie minęła ich Cat Corrigan, otoczona zwartym kordonem przyjaciółek.

Matt zamierzał zaproponować Sand'emu, żeby się do nich przysiedli i może udałoby mu się podać jej ukradkiem wiadomość na kartce, ale Sandy zbierał się do wyjścia.

- Już zostawiłem w bibliotece infozbiór - powiedział.

- Tam się spotkamy.

Pokonany Matt skinął tylko głową i poszedł coś zjeść.

Nie miał pojęcia, co właściwie zjadł na lunch, kiedy wracał ze stołówki. Wydawało mu się, że to był kotlet sojowy, ale w ustach miał rybny smak.

Naprawdę powinienem zapamiętać, co to było, pomyślał, żeby tego nigdy więcej nie zamawiać.

Kiedy przyszedł do biblioteki, Sandy Braxton czekał już na niego niecierpliwie. Pan Petracca, bibliotekarz, zapisał ich obecność. Wtedy Sandy podszedł do niego i powiedział coś ściszym głosem. Bibliotekarz odwrócił się do swojej konsoli, wywołał holokran i wydał kilka poleceń. - Mam upoważnienie od doktora Fairlie dla Alexandra Braxtona i Matthew Huntera, oraz infozbiór. - Petacca aktywował system i podał Sandy'emu wydruk. - Możecie skorzystać z pracowni numer sześć. Tu macie kod autoryzacji.

Sandy wymaszerował z biblioteki na korytarz, a za nim wyszedł zdziwiony Matt. Myślał, że obejrzą rekonstrukcję w holo, ewentualnie ze słuchawkami na uszach. A Sandy'emu jakimś cudem udało się zorganizować wstęp do jednej z pracowni VR!

- Ci ludzie od rekonstrukcji muszą mieć kupę forsy, żeby stworzyć taką skomplikowaną symulację - powiedział Matt.

- Wszystko co najlepsze dla naszych ochotników z Wirginii - zapewnił go Sandy z szerokim uśmiechem.

- To będzie świetna zabawa! Znajdziemy się w samym środku akcji!

Laboratoria VR stanowiły część biblioteki, nad którą pieczę sprawował pan Petracca za pomocą swojej konsoli. Musiały sporo kosztować nawet jak na możliwości takiej szkoły

dla bogaczy jak Bradford. Kiedy chłopcy wstukali kod, otrzymany od bibliotekarza, drzwi automatyczne z sykiem otworzyły się przed nimi. Pracownia numer sześć była jedną z mniejszych - znajdowały się w niej tylko cztery fotele podłączone do komputera. Lekko zszokowany Matt uświadomił sobie, że niedawno był w tym systemie - po drugiej stronie komputerowego połączenia. Razem z Caitlin mijali pracownię chemiczną w drodze na konferencję prasową Seana McArdle.

Naprzeciw czterech komputerowych siedzeń znajdowała się niewielka, ale niesłychanie kosztowna konsola. Sandy włożył do niej szkolny infozbiór, inicjując opcję niezależnego korzystania. Potem sięgnął do kieszeni i wyjął z niej drugi infozbiór. Ten był ozdobiony starą flagą Konfederatów, w gwiazdy i paski.

- Czego się spodziewać po ekipie pod nazwą Ochotnicy z Wirginii? - powiedział Sandy z szerokim uśmiechem. - Jasne, że wcielili się w rebeliantów!

- Chyba nie puścisz całej bitwy, co Sandy? - spytał Matt, kiedy kolega podszedł do konsoli, żeby włożyć infozbiór z symulacją. - Sam ostrzał artyleryjski trwał dwie godziny.

Sandy pokręcił głową przecząco. - Nie mamy na to czasu. Symulacja aktywuje się od momentu, kiedy Konfederaci zaczynają strzelać z karabinów i rozpoczynają ostateczny atak. - Wskazał na komputerowy fotel. - Podłącz się, jestem już prawie gotowy.

Matt usiadł, Sandy też. - Komputer, załaduj symulację Gettysburg od punktu dwa-dwa-siedem.

Matt oparł się na fotelu i poczekał, aż receptory dostroją się do jego implantów. Poczł lekką dezorientację, ale nie tak wyraźną jak buczenie w mózgu, które zawsze pojawiał się, kiedy podłączał się do komputera w domu.

To cecha wyjątkowo drogiego systemu, pomyślał. Słyszał, że najlepsze systemy w ogóle nie powodują sensacji zmysłowych. Po prostu przenosisz się do symulacji.

Zamknął oczy i znalazł się na porośniętym trawą zboczu wzgórza, idealnym na piknik - gdyby nie fakt, że przeszła po nim nawała ognia artyleryjskiego. Niektóre drzewa miały połamane gałęzie, inne potrzaskane pnie od pocisków. Przed skalną ścianą stał rząd starodawnych armat. Broń też była poniszczona. Kilka ciężkich luf armat odpadło od drewnianych lawet.

Matt przełknął z trudem ślinę na widok nieruchomych, zakrwawionych ciał kanonierów, leżących obok zniszczonych dział.

O rany, pomyślał, nie opuszczają w tych rekonstrukcjach żadnych szczegółów.

Do tego obrazka nie pasowało tylko jedno: był wciąż tylko obrazkiem, niewiarygodnie realistycznym, ale zupełnie nieruchomym.

Piechota zastygła schowana w kucki za skalną ścianą. Odziani w niebieskie mundury żołnierze nawet nie oddychali.

- Powiedz, jak będziesz gotowy. - Matt usłyszał głos Sandy'go.

Matt odwrócił się i poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Długi, nieregularny szereg mężczyzn w szarych i brązowych mundurach, wspinający się po wzgórzu, zastygł w pół kroku. Przypomniało mu się to, co czytał o bitwie. Linia frontu była długa na półtora kilometra, a składała się z półtora tysiąca żołnierzy. Teraz po półkilometrowym marszu pod śmiertelnym ostrzałem było ich już wielokrotnie mniej. Wyglądali ponuro i byli lekko zgarbieni, jakby szli pod silny wiatr. Większość z nich celowała z karabinów.

- Teraz wiem już, jak się czuje kaczka na strzelnicy - zażartował Matt. - Naprawdę uważam, że powinniśmy oglądać to zza linii Unionistów. - Pokazał na tysiące karabinów. - Obawiam się, że za chwilę zrobi się tu piekielnie głośno.

- Rób, jak uważasz - powiedział Sandy, przechodząc pomiędzy linią żołnierzy. - Gdzieś tutaj powinien być Armistead, bo on dowodzi lewym skrzydłem.

Kiedy dotarli do miejsca, które wyglądało na dobry punkt obserwacyjny, Sandy zatkał uszy dłońmi i krzyknął: - Wykonać!

Matt szybko poszedł za jego przykładem, kiedy Konfederaci raptownie zbudzili się do życia i zaczęli strzelać do wymierzonych celów.

Odgłos karabinów zdziwił Matta. Zamiast ostrego, metalicznego stukotu, który znał z holo, ta broń wydawała basowe huknięcie, któremu towarzyszyły szarawe chmury prochu strzelniczego. Cele przed nimi zniknęły w dymnej zasłonie, ale oddziały maszerowały nadal.

- Patrz teraz uważnie - poradził mu Sandy. - To będzie przykra część bitwy.

Kiedy mówił, jeden z żołnierzy nagle odwrócił się za siebie razem z muszkietem. Kolba trafiła Sandy'ego w bok głowy. Chłopak osunął się na ziemię niczym wół pod uderzeniem rzeźnickiego topora.

Zraniony w VR!

Matt podbiegł do kolegi. Kiedy to robił, trzech żołnierzy opuściło linię walk i ruszyło w ich kierunku. Każdy z nich miał na lufie osadzony bagnet.

Matt cofnął się o krok od Sandy'ego i utkwiał wzrok w połyskliwych, trzydziestocentymetrowych stalowych ostrzach, które cały czas celowały w niego. Nie wiedział jak, ale Geniusz - Rob Falk - wykorzystał system szkolny, żeby dorwać Matta. Kiedy zobaczył nazwiska jego i Sandy'ego zalogowane w pracowni wirtualnej, zastawił pułapkę. Bardzo sprytne. Bardzo niebezpieczne.

Symulacja zmieniała się właśnie z bitwy pod Gettysburgiem w bitwę o życie Matta!

Matt cofnął się od nieprzytomnego Sandy'ego Braxtona, nie puszczać wzroku z trzech żołnierzy Konfederacji, którzy opuścili swoje pozycje na linii walk. Szarża Picketta która rozgrywała się wokół niego, dobiegała do krwawego finału. Ale Matt widział jedynie trzy wymierzone w siebie bagnety.

Zaczepił o coś obcasem i poczuł, że traci równowagę. Potknął de o ciało żołnierza - zabitego lub rannego podczas szarży! Nagle zaczęły działać reakcje wypracowane podczas długotrwałego szkolenia wojskowego w Net Force. Matt obrócił się w locie, wyrzucając ręce przed siebie, żeby zamortyzować upadek. Upadając na ziemię przeturlał się i szybko wstał na nogi. W trakcie tych czynności jego ręka natrafiła na coś metalowego. Karabin rannego konfederata!

Matt chwycił broń do ręki w momencie, kiedy trzech śmiertelni wrogowie zaczęli biec w jego kierunku. Przewodził im człowiek w stopniu sierżanta z potarganą rudą brodą. Za nim biegł mężczyzna, któremu czarna broda nadawała wygląd dzikusa. Trzeci z nich był niewiele starszy od Matta, a na jego podbródku widniały dopiero początki zarostu. Sierżant rozpoczął niezdarny atak, nie czekając na towarzyszy. Matt poczuł, że nie wszystko stracone. Nie stawał do walki z wyszkolonymi żołnierzami tylko z intruzami, którzy włamali się do symulacji. Oni nie mają pojęcia, jak się obchodzić z bronią.

Co nie znaczy, że Matt był ekspertem. Ale trenował kendo pod okiem instruktorów sztuk walki z Net Force w Quantico. Ci goście byli twardzi jak *marines* i udało im się zaszcześcić przynajmniej podstawy walki u Zwiadowców Net Force. Matt odparował wściekły atak sierżanta lufą zdobytego karabinu. Zmusił go do opuszczenia bagnetu w dół i w bok, dzięki czemu ostrze dziabnęło powietrze obok jego biodra. Wtedy Matt zmienił uchwyt i wbił kolbę karabinu w żołądek napastnika. Sierżant zgiął się w pół, a Matt uderzył go w głowę. Mężczyzna upadł na ziemię, zanim dobiegło do niego dwóch pozostałych.

- Komputer! - krzyknął Matt. - Zakończ symulację! Wykonaj!

Nic się nie stało. Wciąż był uwięziony w rekonstrukcji wydarzeń spod Gettysburga z dwoma mężczyznami, którzy najwyraźniej mieli niezbyt życzliwe zamiary nacierając na niego z wyciągniętymi bagnetami. Kiedy zobaczyli, co stało się z sierżantem, stali się ostrożniejsi.

Czarnobrody poszedł na prawo, a Dzieciak na lewo, przez co Matt zmuszony był dzielić uwagę między nich. Znow zaczął się wycofywać, starając się utrzymywać dystans między sobą i napastnikami.

- Komputer! Pauza! - wrzasnął.

Ale wokół niego nadal toczyła się akcja. Cokolwiek zrobił Rob Falk, udało mu się odebrać Mattowi kontrolę nad symulacją. Brodaty mężczyzna zaczął atakować Mat - ta seria krótkich pchnięć. Matt odparował je, a następnie skoczył do tyłu i w prawo, udaremniając drugiemu mężczyźnie próbę zajścia go od strony pleców. Matt podniósł broń tak, jakby składał się do strzału, przez co obydwaj napastnicy rzucili się do tyłu. Ale kiedy chciał wystrzelić, usłyszał tylko cichy szcęk. Albo broń była nienaładowana, albo powinien zrobić coś, o czym nie wie. Czarnobrody rzucił się na niego. Matt przygotował się na odparcie ataku. Nagle mężczyzna z czarną brodą runął na ziemię! W innej sytuacji rozśmieszyłby Matta wyraz twarzy napastnika. Na jego szarej kurtce od munduru pojawiła się krwistoczerwona plama i upadł jak długi. Matt nie mógł się powstrzymać przed spoglądaniem na linię obrony Unionistów, gdzie z luf lasu karabinów wystrzelały strumienie ognia. Czy powinien się martwić zabłąkanymi kulami z pola bitwy? Nie, to niemożliwe. To rekonstrukcja, a nie prawdziwa bitwa. Nie używają ostrej amunicji.

I wtedy Matt zrozumiał. Kiedy Rob przysłał swoich koleśki do symulacji, wybrał po prostu trzech żołnierzy, którzy znajdowali się najbliżej Matta i Sandy'ego. Teraz okazało się, że jeden z nich miał zostać ofiarą na polu bitwy. Nadeszła jego kolej i został trafiony!

To znaczy, że Matt musi się zmierzyć tylko z jednym mężczyzną - jak na razie. Dzieciak z raczej przestraszonym wyrazem na twarzy zamarkował pchnięcie, po czym zaatakował z innej strony.

Matt odparował machinalnie, myśląc o czymś innym, „Śmierć” brodacza dowodzi, że Falk nie ma całkowitej kontroli nad symulacją. Komputer robi to, co ma zaprogramowane. Dzieciak spojrział za Matta. To było jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymał Matt. Uderzył przeciwnika w pierś, przewracając go i szybko odwrócił się, kiedy oficer Konfederatów wyciągnął szablę. Ostrze wydało dźwięk gorszy niż drapanie paznokciami po tablicy, kiedy otarło się o lufę karabinu Matta. Gdyby zareagował odrobinę wolniej, ludzie zaczęliby go nazywać Leworęki!

Nawet jeśli Falk nie kontrolował do końca komputera, mógł wysyłać do symulacji coraz to nowych żołnierzy. Na razie tylko dwóch - Mattowi chyba udało się unieszkodliwić trzeciego. Ale to nie ma znaczenia. Prędzej czy później jednemu z tych pajaców poszczęści się i trafi go.

A wtedy Matt podzielił los Geralda Savage'a.

Chyba że...

Matt znów cofnął się, ponieważ napastnicy zaczęli go zachodzić z dwóch stron. Jakie

było pierwsze polecenie, które Sandy dał komputerowi? To, które aktywowało przebieg symulacji? Matt krzyknął polecenie, licząc w duchu, że dobrze zapamiętał numer: - Komputer załaduj ponownie symulację Gettysburg, punkt dwa-dwa-siedem!

Wyglądało to jak podróż w czasie. Matt i Sandy znów znaleźli się między dwiema liniami walk. Nic się nie ruszało - łącznie z Sandym. Leżał na dziwnie nieruchomej trawie. Teraz jednak Matt nie miał czasu, żeby się tym przejmować. Udało mu się zakończyć pracę programu! I odebrać Pałkowi kontrolę nad komputerem!

- Komputer! - krzyknął pośpiesznie. - Wyłącz i zamknij!

Wzgórza Cemetery Hill zniknęły mu z oczu i Matt znalazł się z powrotem w wirtualnej pracowni numer sześć. Zerwał się z komputerowego fotela. Sandy Braxton leżał nieprzytomny na swoim fotelu.

- Panie Braxton? - Nagle w pomieszczeniu odezwał się czyjś głos. Matt rozpoznał Petraccę, szkolnego bibliotekarza. - Co się tam dzieje? Na moich monitorach mam dziwne odczyty waszej symulacji.

- Coś się stało! - krzyknął Matt. - Sandy Braxton jest nieprzytomny. Myślę, że ktoś zmodyfikował symulację. Niech pan wezwie szkolnego lekarza!

Upewnił się, że z Sandym wszystko w porządku i wyjął portfel. Po tym ataku nie ma sensu ryzykować dalej. Zadzwoń do kapitana Wintersa. Ledwo nacisnął menu, żeby wybrać odpowiednią konfigurację, spod zafoliowanej klawiatury wydobyły się iskry. Matt upuścił portfel na podłogę, kiedy polimer zaczął się tlić. Kaszląc od gryzącego dymu przydeptał portfel. Nie zapalił się, ale było jasne, że obwody zostały zniszczone. Już nie może zadzwonić.

Do pracowni VR wpadł Petracca, lekarz i pielęgniarka.

- Chłopiec jest w szoku - oznajmił lekarz po krótkich oględzinach.

- Zadzwoń już po karetkę i policję - powiedział pan Petracca.

Dobrze, pomyślał Matt, mogę im wszystko opowiedzieć - osobiście.

Kilka minut później siedział w szkolnym sekretariacie, czekając na przybycie policji. Dlaczego to się musiało zdarzyć! Nie podobało mu się, że musi zdemaskować Roba Falka i wirtualnych wandalów nie rozmawiając przedtem z Cat Corrigan.

W tym momencie do sekretariatu weszła Caitlin. Obydwoje popatrzyli na siebie zdumieni i prawie jednocześnie spytali: - Co ty tu robisz?

Cat odpowiedziała pierwsza. - Wywołano mnie z lekcji. Dostałam wiadomość z biura mojego taty. Jest chory - zasłabł. Mam się tutaj zameldować przed pójściem do domu.

Patrzyła na niego, czekając na wyjaśnienia.

- Najpierw zrób, co masz zrobić - szepnął.

Caitlin dostała zezwolenie na opuszczenie szkoły od pracownika sekretariatu, a Matt odprowadził ją do drzwi.

- Sandy Braxton zdobył symulację dla projektu, nad którym pracujemy - powiedział Matt cicho, kiedy znaleźli się na korytarzu, - Byliśmy w VR, kiedy zaczęły się dziać bardzo niedobre rzeczy.

- Jak bardzo?

- To była rekonstrukcja słynnej bitwy. Ale kilku żołnierzy odłączyło się od programu i zaczęło nas atakować.

Oczy Cat robiły się coraz większe. - O nie! - Spojrzała na drzwi od sekretariatu. - Gdzie jest Sandy?

- Jedzie do szpitala. Moim zdaniem miewa się nie gorzej od ludzi, którzy ucierpieli od strzałów na Camden Yards. - Matt mówił ponurym głosem. - Nie wiem, jakby się to skończyło, bo nacierało na mnie trzech gości z bagnetami.

Jeśli na twarzy Caitlin był jeszcze jakiś kolor, to teraz zbladła jak ściana. - Rob! - wyszeptała zapalczywie. - To musiał być Rob! - Wyglądała na chorą. - Zaraz na samym początku kazał nam umieścić tajne wejścia w szkolnym systemie VR. Nie pomyślałam, że...

- Ani ja - przyznał Matt. - Powiniennem być bardziej uważać, szczególnie, że przechodziliśmy przez jedną systemową lokalizację VR po drodze do Seana McArdle.

Caitlin wciąż wyglądała tak, jakby winiła się za to, co się stało Sand'emu i Mattowi.

Matt wziął ją za rękę. - Gdzie masz samochód?

- Na końcu parkingu - powiedziała Caitlin. - Dzisiaj się trochę spóźniłam.

- Odprowadzę cię. - Mózg Matta pracował na pełnych obrotach. Gliny pojawiają się lada chwila. To ostatnia okazja, żeby przekonać Cat do współpracy z policją i Net Force.

- To się wymknęło spod kontroli - powiedział do Caitlin, kiedy wychodzili tylnymi drzwiami. - Już wiesz, że nie da się kontrolować Roba Falka. Czy nie pora już, żebyś przyznała, że nie ma sensu go dalej osłaniać?

- Przecież nie mam wyjścia! - wybuchnęła Cat. - Rob jest...

- Rob wścieknie się na ciebie, jeśli dalej będziesz tak paplać - wszedł jej w słowo jakiś głos.

Matt odwrócił się całkowicie zaskoczony. Nie spodziewał się nikogo zastać na parkingu w czasie zajęć. A jednak wejście tarasowało trzech chłopaków w ich wieku. I bez wątplenia nie byli uczniami z Bradford. Mieli na sobie podarte dzinsy, podkoszulki bez rękawów, bandany i złotą biżuterię. Ten, który się odezwał, był potężnie zbudowanym

blondynem. Po prawej miał żylastego Azjatę, a po lewej chłopaka o mieszanych korzeniach. Choć cała trójka bardzo się od siebie różniła, Matt dostrzegł, że wszyscy są ubrani na czarno-zielono. Członkowie gangu.

Mattowi nie mieściło się w głowie, że spotykają się oko w oko z gangsterami w drzwiach Akademii Bradford. Ale dowody tego miał przed oczami, ponieważ blondyn wyciągnął nagle spod luźnej koszulki pistolet.

- Daj nam kluczyki od samochodu, złotko.

Poprowadzili ich przez parking do samochodu Caitlin. Całe szczęście, że tego dnia nie przyjechała Copperheadem. I tak trudno im było wcisnąć się do wozu w piątkę. Blondyn usiadł za kierownicą, a Cat obok niego. Matt siedział z tyłu, wciśnięty pomiędzy dwóch pozostałych porywaczy.

- Włóż ręce pod tyłek - rozkazał Mattowi blondyn, kiedy tylko ten zajął miejsce. - Nie próbuj się nawet ruszyć. Inaczej Ng będzie musiał użyć tego. - Podał Azjacie pistolet. - I zrobi nim dużą dziurę w przednim siedzeniu i w tej ładnej panience.

Duży chłopak wskazał głową na Cat, która siedziała jak skamieniała.

- Dokąd nas zabieracie? - spytała zduszonym głosem.

- Na spotkanie z Robem Falkiem - odpowiedział blondyn, przekręcając kluczyki w stacyjce. - To chyba jasne, skoro tak się nim interesujecie.

Siedząc na własnych rękach na tylnym siedzeniu, Matt mógł się tylko bezradnie przyglądać, jak blondyn wywozi ich z parkingu przy Akademii Bradford.

Gdybym był sam mógłbym spróbować szczęścia z tym Ng, pomyślał Matt patrząc na kościstego Azjatę z pistoletem. Instruktorzy w Net Force byli szkoleni jak *marines* i wymagali, żeby wszyscy związani z agencją - nawet młodociani Zwiadowcy Net Force - zdobyli jakieś umiejętności samoobrony. Matt dobrze sobie radził na szkoleniu w walkach bez użycia broni. Gdyby miał się martwić tylko o siebie być może udałoby mu się odebrać pistolet Ng. Ale nie miał pewności, że zdąży to zrobić, zanim pistolet wystrzeli. A w obecnej sytuacji pocisk mógł trafić Caitlin w plecy. Więc siedział na swoim miejscu w ponurym nastroju, starając się zapamiętać trasę. Cicho jechali przez lokalne ulice, aż dotarli do alei Rock Creek. Blondyn wjechał na północny wjazd.

Jasne, pomyślał Matt. Obwodnica Beltway.

Wiele lat temu planiści miasta otoczyli Dystrykt Columbia z(wszystkich stron pierścieniem autostrad, dzięki czemu kierowcy mogli uniknąć korków w centrum. Poprawa warunków dojazdowych sprawiła, że ludzie masowo zaczęli się osiedlać na przedmieściach Waszyngtonu w Maylandzie i Wirginii. Zabudowania mieszkalne, domy towarowe, kompleksy biurowe zaprojektowano w latach Osiemdziesiątych. Typowych waszyngtońskich biznesmenów i agresywnych polityków nazywano Bandytami z Beltway.

Już na przełomie wieków sytuacja zaczęła ulegać zmianie, kiedy wprowadzono ulepszenia w mieście, pojawiły się problemy na przedmieściach - wewnątrz pierścienia dróg. Jak na ironię były to problemy „miejskiego” typu, których chcieli uniknąć ludzie wynoszący się na przedmieścia. Imigranci. Biedacy. Narkotyki. Gangi.

Cokolwiek zamierzali, Matt był pewien, że stanie się to wewnątrz Beltway. Chłopak za kierownicą przyśpieszył, dostosowując się do ruchu na autostradzie.

- Jak miło - odezwał się chłopak siedzący po lewej stronie Matta. - Przyjemny samochód, co Willy?

- Tak, przyjemny - odparł blondyn za kierownicą. - Wyprzedź o lata świetlne grata mojego starego. Szkoda, że musimy go porzucić.

Ng po prawej stronie Matta aż podskoczył. - Nie zatrzymany go?

Willy machnął głową na Caitlin. - To córka senatora. Kiedy wyda się, że została uprowadzona, będziemy mieli na karku FBI i resztę alfabetu. Armię, Marynarkę, Straż Przybrzeżną i kto wie co jeszcze. Drugi chłopak jęknął rozczarowany.

- Nie da rady, Mustafa. Nie możemy znaleźć się w pobliżu tego samochodu, kiedy ludzie policjanci na niego trafią. Zostawimy go w miejscu, w którym inni go znajdą. Niech oni się tłumaczą.

Willy zjechał z Beltway i dojechał do obskurnie wyglądającego domu towarowego. Zbudowano go prawdopodobnie pod koniec zeszłego stulecia i jeśli kiedykolwiek błyszczał, to już dawno stracił cały swój blask. Część okien nie miała szyb, część miała potłuczone. To były sklepy pełne taniego, lichego towaru po obniżonych cenach, o czym głosiły duże napisy w oknach.

Matt zobaczył osobliwie wyglądający sklep elektroniczny z ogłoszeniem zachęcającym do zakupów po wyjątkowo niskich cenach. Krzykliwe kolory wyblakły w słońcu, a w plastikowej tablicy widniały dziury. Dokładnie w takim sklepie można zaopatrzyć się w tani, przestarzały sprzęt komputerowy, pomyślał nagle Matt. Tylko że prawdopodobnie próbowaliby wcisnąć go za zbyt wysoką cenę. Wjechali na popękany betonowy parking i Willy zatrzymał samochód obok zniszczonego sedana.

Trudno określić, jakiego koloru był pierwotnie ten samochód. Jedne drzwi miał niebieskawo szare, a zderzak był zielony. Resztę pomalowano na beżowo z wyjątkiem strupowatych szarych plam na całej karoserii.

- Wszyscy wysiadać - rozkazał Willy.

Sam wyskoczył zza kierownicy, a następnie mocno chwycił Caitlin za ramię. W drugiej ręce trzymał nóż myśliwski, którym błysnął Mattowi przed oczami, po czym schował go przy nodze, żeby broń nie ściągnęła uwagi ludzi przechodzących obok. - To na wypadek, gdyby przyszło ci do głowy coś głupawego - powiedział chłopak ze swoim przeciągłym południowym akcentem. Ng też opuścił pistolet wzdłuż nogi, ale Matt zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może go unieść i zacząć strzelać. Trochę dziwił go fakt, że ci chłopcy bezceremonialnie afiszują się z bronią, z drugiej zaś strony nie robią nic, żeby zwrócić na siebie uwagę. Po prostu przesiadali się z najnowszego modelu samochodu do starego gruchota. Usiedli w takim samym porządku. Matt siedział z tyłu na rękach, wciśnięty pomiędzy Ng i Mustafę. Zastanawiał się, czy nie zdrtwieją mu w tej pozycji. Willy zajął miejsce za kierownicą, a jego nóż zniknął równie błyskawicznie, jak się pojawił. Caitlin siedziała z przodu przed lufą pistoletu Ng.

Ludzie wciąż nazywają to miejsce fotelem dla samobójców, przypomniał sobie nagle Matt. Starał się zatrzeć w pamięci tę myśl. Willy zapalił silnik i gruchot szarpnął do przodu w kłębach niebieskawych spalin. - Uważaj z pistoletem, słyszysz? - zwrócił się rozkazującym tonem do Ng. - Nie narób niepotrzebnych dziur w tym siedzeniu. Kiedy skończymy, ten

samochód będzie mój.

Matt odwrócił się i spojrział przez brudne tylne okno na sportowy wóz Caitlin. Wyglądał tak nie na miejscu jak motyl w mrowisku.

- Zostawiłem kluczyki w stacyjce - powiedział Willy. - Ktoś zaraz go zakosi.

Wjechali z powrotem na Beltway i ruszyli poprzednią trasą, pewnie po to, żeby zmylić ewentualny pościg za samochodem Caitlin, domyślił się Matt.

Znów przecięli - tym razem w przeciwną stronę - Potomak nad północno-zachodnią dzielnicą Dystryktu, okrążyli pół miasta i mostem Woodrowa Wilsona jeszcze raz przekroczyli o wiele w tym miejscu szerszy Potomak w południowej części miasta.

Pierwszym zjazdem za mostem opuścili Beltway i znaleźli się w południowo-zachodnim Waszyngtonie. To wciąż była zapomniana dzielnica. Willy zatrzymał się na bezimiennej stacji i podjechał od razu do zatoczki mechanika. Jakiś mężczyzna czyścił szmatą wóz dostawczy. Na widok nowo przybyłych po prostu się wyniósł.

- Znów zmiana partnerów - obwieścił Willy. - Teraz usiądziesz z tyłu ze swoim przyjacielem - powiedział do Caitlin. - I z moimi kumplami - dodał.

Matt musiał przyznać, że tył wozu dostawczego był nieco przestronniejszy. Siedzieli z Caitlin obok siebie. Ng i Mustafa usadowili się naprzeciw nich. Młody Azjata wciąż trzymał ich na muszce pistoletu. Teraz Mattowi najbardziej przeszkadzał fakt, że nie może śledzić trasy. Tył bagażówki nie miał okien. Jechali nie wiadomo dokąd w ciemnym pudełku. Sądząc po prędkości, z jaką Willy prowadził samochód, znów jechali autostradą. W pewnym momencie zjechali z niej, kilkakrotnie skręcili i samochód zahamował. Willy otworzył tylne drzwi. Matt zauważył, że w rękę znowu trzyma nóż. - Jesteśmy na miejscu - oznajmił blondyn. - Ruszać się, wy dwoje.

Willy wyciągnął Caitlin, trzymając ją mocno za nadgarstek. Następnie przyszła kolej na Matta. Kiedy wysiadał, poczuł lufę pistoletu Ng na plecach. Starał się rozejrzeć, ale udało mu się tylko dostrzec czerwone cegły, kiedy Willy niezbyt delikatnie uderzył go w głowę trzonkiem noża.

- Nie jesteś tu po to, żeby się bawić w turystę. Patrz, dokąd idziesz. Ruszamy.

Poprowadzili ich do zniszczonych drewnianych drzwi, które otworzyły się, gdy do nich dotarli. W środku czekał na nich komitet powitalny - drugie trio groźnie wyglądających członków gangu, uzbrojonych w wojskowe karabiny. Matt zatrzymał się w progu, marszcząc nos, w który uderzył go zmieszany odór potu, piwa, pleśni i gnijącego drewna. Mustafa wepchnął go do środka.

- Poszło jak bułka z masłem - powiedział Willy. - Kiedy ją dorwaliśmy, była z nim. -

Kiwnął głową w stronę Matta. - Na szczęście, Rob pokazał nam zdjęcia tych wszystkich frajerów.

Schował gdzieś nóż, ale nadal trzymał Caitlin za łokieć. - Chodźcie - powiedział Willy. - Parę osób chce was zobaczyć.

Zaprowadzono więźniów do pomieszczenia, które jakieś sto dwadzieścia lat temu musiało być przytulnym salonem. Teraz było w całkowitej ruinie. Ze ścian wciąż zwisały pasy tapety, ale wyglądały raczej jak zniszczony papier. Pod ścianami gniło kilka mebli, których komuś nie opłacało się zabrać. Odsunięto je tam, żeby zrobić miejsce na środku, gdzie na dwóch stołach leżały mapy, dokumenty i kolekcja starych komputerów-składaków.

W tym prowizorycznym centrum dowodzenia - Matt natychmiast rozpoznał, co to jest - stały dwie osoby. Zdał sobie sprawę, że jeden z członków gangu wygląda znajomo. Rob Falk był trochę wyższy, niż pamiętał Matt. Jego koścista sylwetka nabrała nieco masy mięśniowej. Miał większą klatkę piersiową, a ponieważ ubrany był w podkoszulek bez rękawów, Matt dostrzegł bicepsy na odsłoniętych ramionach.

- Trochę się różnię od fajtłapowatej ofiary z Bradford, co? - Falk rzucił Mattowi i Caitlin szyderczy uśmiešek. - Tak to już jest, jak człowiek mieszka po złej stronie Beltway. Przez jakiś czas miałem tu zostać tylko tymczasowo, ale potem spotkałem Jamesa...

- Tylko bez nazwisk - warknął potężny czarnoskóry mężczyzna stojący obok Roba. Był zbudowany niczym atleta, ręce miał tak grube jak nogi większości ludzi, był ogolony na łyso, a jego czarne oczy połyskiwały groźnie.

- James jest władcą Sępów, jednej z wielu... ochotniczych organizacji działających wśród młodzieży podmiejskiej. - Rob skrzywił się. - Tak, wiem, że nowe technologiczne możliwości połączone z odbudową miasta miały oznaczać koniec gangów ulicznych. Ale tak się nie stało. Kiedy ludzie, których usunięto z ich starych miejsc zamieszkania przenieśli się na przedmieścia, kocioł dopiero zaczynał wrzeć. Kocioł pełen legalnych i nielegalnych imigrantów. Mieszkańców Salwadoru, Meksykanów, Kubańczyków, Nigeryjczyków, Jordańczyków, Pakistańczyków, uchodźców z Bałkanów. Do tego doszli ludzie ściągający do wielkiego miasta, Poznałeś Will'ego? Jego rodzice wychowali się w mieście górniczym w Apalachach, żyli tam aż do czasu gdy w kopalni skończył się węgiel. Sporo ludzi przyjechało do tego miasta w poszukiwaniu lepszego życia.

Roześmiał się. - Mówię jak pieprzony polityk, nie? - Ale śmiech zniknął z jego głosu. - Zamiast tego, utknęli wzdłuż Beltway. Nikt z tych ludzi nie znalazł dla siebie miejsca w waszym nowym wspaniałym świecie... ale znaleźli miejsce wśród Sępów, gangu, którego tradycje sięgają dobrych siedemdziesięciu pięciu lat.

- A Sępy znalazły ciebie - dodał Matt.

Rob spojrział na niego w taki sam sposób, w jaki doktor Fairlie nagradzał trafną odpowiedź. - Bardzo dobrze!

Kiwnął głową na potężnego mężczyznę, który stał obok niego. - James przekonał się, że znam się na nowej technologii i potrafię się nią posługiwać. Na początku było nam ciężko zgromadzić niezbędny sprzęt. W końcu obrobiliśmy parę sklepów elektronicznych.

- Przy okazji dorzucili nam kilka holoeckranów - dodał Willy.

- To w większości, oczywiście, złom, zwłaszcza w porównaniu z systemami do jakich wy przywykliście - ciągnął Rob. - Ale jakoś sobie poradziłem. Zmajstrowałem parę niezłych programów, co? - Jego uśmiech stał się drapieżny. - Wystarczająco dobrych, żeby skusiła się na nie Cat Corrigan i jej przyjaciele zza oceanu.

Pokręcił głową i pogroził Mattowi palcem. - Nie mogę dojść, jak dałeś się w to wszystko wplątać, Hunter. Z tego co pamiętam, zawsze wydawałeś mi się dość rozsądnym i nudnawym gościem. Ale z drugiej strony - Rob spojrział na Caitlin - chyba nie byłbyś pierwszym, który zszedł na manowce z powodu ładnej buzi.

- Po co nas tu sprowadziłeś? - spytała Caitlin.

- Wyglądało na to, że zamierzasz puścić farbę - powiedział Rob. - A my nie chcemy, żebyś paplała wszystkim o naszych poczynaniach.

- Dlatego zabiłeś Gerry'ego?

Matt spojrział kątem oka na Caitlin. Byli bezbronnymi więźniami, więc raczej nie powinni działać na nerwy Robowi ani jego koleśowi Jamesowi.

- Chłopak zmieniał się w chodzącą bombę zegarową - powiedział obojętnie szef gangu. - Numer, który wykręcił temu Irlandczykowi, mógł na nas skupić niepotrzebną uwagę.

- Myślałem, że bardziej się przejmiesz naszą próbą zabicia twojego nowego przyjaciela - powiedział Rob wskazując Matta ruchem głowy. - Sprytnie się stamtąd wydostałeś, Hunter. Oczywiście, ja musiałem pracować na kupie złomu... - przerwał na chwilę. - Gdybym miał lepsze systemy, wciąż zeszkrobywaliby twój mózg z fotela komputerowego w pracowni VR numer sześć!

Matt wzruszył ramionami. - Cóż, każdemu z nas zdarza się rozczarowanie tego typu. Szczerze mówiąc, uważam, że trochę przegiąłeś. Nie mogłem się połapać, co ty wyprawiasz. A z zachowania Caitlin i pozostałych wynika, że oni też nie mieli o tym pojęcia.

- Może i nie - zgodził się Rob. - Ale mogli dać innym pojęcie o naszych zamiarach, gdyby przekazali im pełną listę systemów, które odwiedzili.

Westchnął. - Naprawdę sądziłem, że się przyczają i będą trzymać gęby na kłódkę do

czasu, aż my będziemy zupełnie gotowi. Wiesz, że ci ludzie kochają swoją reputację. Ale wtedy pojawiłeś się ty i zaczęłaś kołysać łódką. Savage zaczął świrować, a inni stali się... niegodni zaufania. Musieliśmy przyspieszyć nasze terminy i zamknąć kilka jadaczek.

- Wasze terminy? - Matt próbował dostrzec, co znajduje się na mapie przyklejonej taśmą u szczytu stołu. Ze swojego miejsca widział ją do góry nogami, ale zauważył na niej kawałek lądu wbijający się w punkt zetknięcia dwóch rzek. Wydawał się Mattowi dziwnie znajomy, ale nie potrafił powiedzieć dlaczego.

- Wybacz, ale wciąż nie mam pojęcia, o czym ty mówisz - powiedział Matt. - Co robili dla ciebie wirtualni wandalowie oprócz sporego zamieszania?

Rob znów posłał mu drapieżny uśmiech. - Jeśli na-mieszali ci w głowie, to znaczy, że doskonale wywiązali się ze swojego zadania. Cat i jej mało dyplomatyczni przyjaciele mieli wzniecić piekło, żeby skupić na sobie uwagę stróży prawa.

Przerwał, a następnie uderzył pięścią w mapę. - A naprawdę przez cały czas otwierali nam drogę do Ogrodów Carrollsburgu.

- Co? - Matt zdawał sobie sprawę, że mówi za głośno, ale nie mógł się powstrzymać. Nareszcie rozpoznał, co jest na mapie rozłożonej na stole w centrum dowodzenia Sępów. Widział ją w swoim komputerze, nie dalej jak kilka dni temu. Przedstawia plan Ogrodów Carrollsburgu - zamkniętej dzielnicy, dzięki której ojciec Sandy Braxtona zarabia takie pieniądze. Ale co Rob i jego gangsterscy kumple mogli tam mieć do zdobycia?

Spytał o to głośno. Rob i James roześmieli się.

- Pokażę ci - powiedział komputerowy mózg gangu. Podszedł do swojego składanego komputera i *zaczął* wprowadzać polecenia - na klawiaturze! Matt nigdy przedtem nie widział czegoś takiego na oczy, chyba że w muzeum.

Ile to może mieć lat? - zastanawiał się. Stare czy nie - działało. Nad systemem komputerowym pojawił się ziarnisty, zamazany hologram. Matt rozpoznał, że to mapa instruktażowa, rodzaj wizualnej pomocy dla oddziałów gotowych do rozpoczęcia manewrów ćwiczebnych albo prawdziwego ataku. Była to powiększona wersja mapy ze stołu, ukazująca punkt zetknięcia się rzek Potomak i Anacostia. Jednak mapa nie pokazywała ulic, a była podzielona na duże obszary zaznaczone jaskrawymi kolorami. Najbardziej wysunięta wschodnia część półwyspu była niebieska o czerwonej i białej granicy, - To Fort McNair - baza Armii - wyjaśnił Rob. - Stamtąd w górę Potomaku aż do Basenu Pływowego znajdują się drogie apartamenty.

Następnie wskazał na zielony obszar, pokrywający większą część lądu na półwyspie. - Ogrody Carrollsburgu - raj na ziemi. Odizolowana społeczność, helikoptery nad Potomakiem w godzinach szczytu, coś pięknego. Teren nazwany tak od miasta, które tu istniało, kiedy nikt nawet nie pomyślał jeszcze o Waszyngtonie.

Falk uśmiechnął się do swoich więźniów, a światło z hologramu odbijało się na jego twarzy, nadając jej szatański charakter. - To miejsce między kolonialnym miastem a tym zakątkiem wygodnego życia nosiło inną nazwę.

Matt przypomniał sobie jaką. - Przylądek Sępów - powiedział.

Członek gangu obdarzył Matta zdziwionym spojrzeniem. - Brawo - powiedział. - A sam mówiłeś, że nic nie wiesz.

- Jeden ze szkolnych Litów-jego ojciec zainwestował w rozbudowę tego miejsca. Później ta nazwa pojawiła się ponownie, kiedy próbowałem odnaleźć dzieciaki, które mogły być powiązane z waszymi wandalami. Ich adresy skupiały się w okolicy Ogrodów. Tam właśnie można odnaleźć dyplomatów...

Matt przerwał, kiedy zdał sobie sprawę, że to są właśnie ludzie, których Rob ma szczególne powody nienawidzić. Stracił przez nich matkę, pracę ojca, szkołę, całe życie. Ale Falk nie stracił nad sobą kontroli, tylko zwyczajnie pokiwał głową.

- Zanim wszyscy ci... mili ludzie... wprowadzili się, ta ziemia była terenem Sępów. Teraz chwytasz? Gang wziął nazwę od terenu.

- Nie najładniejsza nazwa - warknął James, rozglądając się po zniszczonym pomieszczeniu, w którym się znajdowali. - Ale sąsiedztwo też nie było najlepsze.

Rob odwrócił się do holomapy, jaśniejącej w powietrzu. - Jeśli zapuścić się trochę dalej na północ, wciąż nie jest najlepsze. - Wskazał na dużą pomarańczową plamę przecinającą górną część półwyspu. - Cały ten teren czeka na odbudowę. Część będzie przedłużeniem Ogrodów Carrollsburgu, ale w interes wmieszali się już inni developerzy. Ludzie, którzy tutaj mieszkali zostali wysiedleni, ale buldożery jeszcze się nie pojawiły.

Przesunął palcem po nieregularnych pomarańczowych krawędziach. - Cały ten obszar pomiędzy terenami zajętyymi przez bogatych, tłustych dyplomatów a uszlachetnionymi dzielnicami z Mali i *Wzgórz* Kapitelu. - Wtedy jego ręka przebiła obszar, na którym nie było pomarańczowego koloru. - Coś w rodzaju ziemi niczyjej, odcinającej od reszty całą odizolowaną społeczność z Carrollsburgu.

Jego głos stał się daleki i zamyślony, ale twarz miał spiętą. - Myślą, że są bezpieczni, schowani za murem i systemami bezpieczeństwa. Ha! Są tak trwale jak szwajcarski ser. Cat i jej przyjaciele podziurawili to miejsce programami tajnych wejść. Mogę teraz wejść do dziesiątków systemów domowych. A te komputery są połączone ze sprzętem, obsługującym cały teren.

W oczach Roba Falka pojawiło się nieprzyjemne światło, kiedy odwrócił się do Matta i Caitlin... i tym razem nie odbijało one jaskrawych kolorów z holograficznej mapy, którą wskazywał palcem.

- Mam dziesiątki drzwi, którymi mogę się przedostać i wyłączyć im systemy komunikacji, alarmy, zabrać prąd. Mogę zamknąć drogie bramy i uwięzić ich w środku. - W jego głosie zabrzmiała nutka samozadowolenia. - Mogę je też otworzyć i wpuścić do środka parę setek nieproszonych gości.

Matt przeniósł wzrok z Roba na jego nowego przyjaciela Jamesa. - Zbierają się tu Sępy z całego Beltway - zapewnił go przywódca gangu. - Wszyscy przygotowani.

- Przygotowani? - odezwała się Caitlin.

James spojrział na nią z pogardą. - Uzbrojeni, dziewczyno. A jak inaczej mogą być przygotowani?

- Oni naprawdę nie mają wystarczającej liczby strażników na tym zamkniętym terenie - powiedział Rob.

- Akurat tyłu, ilu potrzeba do siedzenia na tłustym tyłku i kierowania ruchem - zawtórował mu James.

Rob roześmiał się. - Ale kto by się obawiał zorganizowanej napaści w tak luksusowej dzielnicy?

- To będzie największy skok w historii Waszyngtonu - przechwalał się James.

- Przynajmniej od kiedy Brytyjczycy spalili Biały Dom w 1814. - Na twarzy Roba pojawił się wyraz triumfu. - Dom po domu pełen dyplomatów, a żaden z nich nie będzie miał immunitetu.

- Chyba oszaleliście! - wybuchła Caitlin Corrigan.

Matt znów posłał jej karcące spojrzenie. Jeśli nawet się z nią zgadzał, wiedział, że niezdrowo jest stwierdzać rzeczy oczywiste prosto w twarz wariatom.

- Nawet jeśli zorganizujecie ten skok - powiedział Matt - będziecie mieli na karku nie tylko policję. Będziecie musieli się zmierzyć z ludźmi, których władza nie kończy się na granicy miasta Waszyngton. Departament Stanu też się zaangażuje w sprawę, jeśli zagroziecie dyplomatom. A za nimi reszta federalnych - Prokurator Generalny, FBI, Net Force i kto wie, jakie jeszcze agencje?

- Zapomniałeś o Kongresie, który ruszy na ratunek małej córeczce senatora Corrigan - powiedział szyderczo Rob Falk.

- Mamy to wszystko opracowane - zapewnił go James. - Krótka piłka, załatwiamy wynajętych gliniarzy, łapiemy co się da i jeszcze szybciej znikamy. Zanim grube ryby dowiedzą się, co się stało, my już rozproszymy się wzdłuż Beltway. To jak partyzantka, stary. Nie będą wiedzieli, gdzie szukać gości odpowiedzialnych za tę aferę.

Rob Falk pochylił się w stronę Matta i Caitlin. - Ale na wszelki wypadek dostarczymy im idealnych winnych dla telewizji i polityków. - Wskazał palcem na Caitlin i Matta. - Pomyślcie tylko, jaka to będzie dla niektórych radocha, kiedy będą gadać o bandzie rozpuszczonych dzieci dyplomatów, córce senatora i chłopaku, którego ojciec chce pracować w administracji wojskowej, którzy zeszli na złą drogę?

Matt poczuł, że robi mu się niedobrze. Wyobrażał sobie ten cyrk w mediach. Ich twarze we wszystkich możliwych holographicznych wiadomościach, prasie publicystycznej i programach plotkarskich, które podszywają się pod solidne programy informacyjne. Widział już to grożenie palcami przez samozwańczych obrońców moralności i oportunistów politycznych. Ojca spotkałoby wykluczenie ze środowiska, a mama nigdy więcej nie

dostałaby awansu. Ojciec Cat musiałby się najprawdopodobniej wycofać z polityki. A dyplomatom nie pozostawałoby nic innego, jak spakowanie się i wyjazd do domu.

Chyba że...

- Może nas macie - zablokował Matt - ale nie widzę tutaj Luca Valery'ego i Drażko Mironovicia. Myślicie, że będą siedzieć cicho, kiedy dowiedzą się, że porwaliście Caitlin? Zwłaszcza że zabiliście Savage'a.

Jego słowa utonęły w gromkim śmiechu. Rob Falk jedynie machnął na jego argumenty ręką. - To już załatwione.

Caitlin wyglądała tak źle, jak Matt się poczuł. - Chcesz powiedzieć, że ich z-zabiliście...?

James krzyknął coś przez drzwi w drugim końcu pomieszczenia. Kilka sekund później, dwóch potężnych członków gangu Sępów wprowadziło dwie nieszczęsne postaci. Przywódca zaśmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip. - Dorwaliśmy ich, jeszcze zanim zajęliśmy się wami.

Luc Valery miał na sobie drogi garnitur, a raczej to, co z niego zostało. Prawy rękaw był niemal urwany, ukazując jedwabną podszewkę. Drażko ubrany był w dżinsy i sweter, a pod okiem widniał wielki siniak.

Rob uśmiechnął się na widok dwóch dzieciaków dyplomatów tak, jak kot uśmiechnąłby się na widok kanarka ze złamanym skrzydełkiem. - Luc miał właśnie iść na obiad z tatusiem, kiedy to usłyszał. - Nacisnął klawisze na klawiaturze i nagle obraz mapy zastąpiła twarz Caitlin. - Muszę z tobą porozmawiać - i to natychmiast - powiedziała wirtualnym głosem Caitlin. Dalej mówiła już zduszonym szeptem. - Ten gość, który nas prześladowuje, myślę, że to on przejechał Gerry'ego!

Rob zwrócił się do oniemiałej Caitlin. - Dość skuteczne, nie sądzisz? Oczywiście, od miesięcy zbierałem próbki twojego głosu, na wypadek, gdybym musiał się tobą w ten sposób posłużyć. Szarmancki *Monsieur* Valery pognął na miejsce spotkania, które zaproponowała twoja wirtualna wersja - i skończyło się na tym, że zgodził się tu przyjechać po małych perswazjach.

Odwrócił się do drugiego zagranicznego więźnia. - Drażko był większym wyzwaniem. Choć bawi się w Sieci tak często, jak mu się zechce, ludzie z ochrony Slobodanii starają się mieć na oku syna swojego ambasadora. Musieliśmy więc dać mu ważny powód, dla którego zechciałby zgubić siedzących mu na ogonie opiekunów. Na szczęście, wiedziałem, jaki guzik nacisnąć.

Rob odwrócił się do Matta. - Pożyczyłem sobie twojego Patyczaka i połączyłem z

programem Mistrz Idiomów.

Znów nacisnął kilka guzików i hologram pokazał rysunkową figurkę Leifa Andersena wykrzykującą coś po serbsku. Drażko zawył z wściekłości i spróbował się wyrwać dwóm mężczyznom, którzy go przytrzymywali. W kilka sekund poradzili sobie z nim i brutalnie przyszpilili do podłogi.

- Jeśli cię to interesuje, to przemowa twojej maski brzmi mniej więcej w stylu: „Daj mi forszę albo powiem wszystko twojemu staremu i władzom”. W bałkańskiej wersji brzmi to o niebo bardziej obraźliwie.

Rob pokręcił głową chichocząc. - Powinieneś się cieszyć, że nasz Drażko nigdy nie poznał twojej twarzy - powiedział Mattowi. - Kiedy poszedł się z tobą spotkać, żeby ci zapłacić pierwszą część okupu, miał przy sobie to.

Rob sięgnął do tylnej kieszeni i wyjął z niej pistolet. Była to stara *Beretta* kalibru 9 milimetrów - broń boczna używana na przełomie wieków. Pewnie zawędrowała na Bałkany razem z siłami pokojowymi, które wysyłano tam przez lata, przechodziła z rąk do rąk w czasie nie kończących się wojen i waśni rodzinnych w tym regionie, po czym wrócił do Stanów Zjednoczonych w czyimś bagażu dyplomatycznym.

- Na szczęście nasz komitet powitalny zdołał go mu odebrać, zanim komuś stała się krzywda.

Rob spojrział na Drażko, który leżał na ziemi, charcząc pod ciężarem dwóch strażników. - A przynajmniej - dodał Rob - zanim komuś stała się poważna krzywda.

Luc Valery wpatrywał się szaleńczo w przyjaciela, leżącego na podłodze, potem przeniósł wzrok na strażników i pozostałych więźniów, a w końcu na Roba. - Kim jesteś? - spytał. - I czego chcesz?

Na twarz Roba wypełził powoli bezczelny uśmiech. - Jestem twoją dobrą wróżką, droga żabo - odpowiedział. - Dzięki mnie mogłeś do woli bawić się w Sieci, robiąc wszystkie te rzeczy, których nie wolno robić grzecznym dzieciom. Dawałem ci Ciekawe kształty do przebierania, drzwi, przez które mogłeś wrócić, żeby się zabawić. I, od czasu do czasu, jakiś rozkaz. Jestem Rob Falk.

- Jesteś tchórzem i mordercą - powiedział Luc. - Zabiłeś Geralda Savage'a, chociaż bardziej prawdopodobne, że rozkazałeś to zrobić jednemu z tych oprychów.

- Prawdę mówiąc - powiedział Rob - mój przyjaciel James zgłosił się na ochotnika do tego zadania. Ale to pewnie dlatego, że nigdy nie lubił bigotów z długim jęzorem. A zwłaszcza zagranicznych bigotów z długim jęzorem.

Luc zaczerwienił się lekko. Na skroni zaczęła mu pulsować żyła i napiął ścięgna tak,

że widać je było przez skórę na szyi. - Nawet nie wiesz, jaki zrobiłeś błąd! Mój ojciec jest przedstawicielem francuskiego rządu! Jest zaprzyjaźniony z ambasadorem! I sam powiedziałeś, że ojciec Drażko jest ambasadorem Slobodanii! Cokolwiek planujesz - nie ujdzie i to na sucho! Powiemy o wszystkim! A rządy naszych krajów zażądają, żebyś ty i twoi wspólnicy ponieśli odpowiednią karę!

Matt bał się, że młody Francuz rzuci się przez stół na Roba Falka. I tego właśnie się spodziewał przyjaciel Roba, James. Wyjął pistolet i wycelował w Luca. Drugi gangster pilnujący syn dyplomaty, złapał go i trzymał mocno. A Rob nawet nie zmienił wyrazu twarzy. Słuchał tyrady Luca, jakby ten zapowiadał deszcz na nadchodzący wieczór.

- Pewnie masz rację - powiedział Rob. - Wy wszyscy - z wyjątkiem Matta - jesteście bardzo ważni.

- Masz to jak w banku! - odgrażał się Luc. - Powiemy...

- Daj mi skończyć!- Słowa huknęły w powietrzu jak uderzenia młota o stal Przez jedną sekundę dzika nienawiść, jaką Rob Falk żywił w stosunku do wszystkich dyplomatów, odbiła się na jego twarzy i w oczach. Ale zaraz znów przybrał pozę, której używał rozmawiając z więźniami.

- Pewnie moglibyście opowiedzieć innym o tym, co tutaj zaszło - powiedział uprzejmym głosem Rob. - Gdybyście nadal żyli. - Powoli wycelował w ich stronę pistolet. - Na szczęście, nie będziemy mieli tego problemu.

Rob Falk i jego przyjaciel James, przywódca Sępów, wypełnili powstałą nagle ciszę głośnym, chrapliwym śmiechem. Młody komputerowy geniusz opuścił pistolet i wetknął go do tylnej kieszeni.

- Och, jeszcze trochę pożyjecie - powiedział, jakby to miało poprawić więźniom humory. - Ale powinniście się wreszcie zamknąć, bo tak naprawdę posługiwaliśmy się wami tylko z dwóch powodów. Mogliście dostać się do miejsc, gdzie ja i moi przyjaciele... cóż, powiedzmy, że bylibyśmy trochę zbyt prostacy jak na takie sfery.

James znów się zaśmiał.

- Po drugie, mieliście robić wokół siebie szum - kreować krzyżące nagłówki w gazetach i skłaniać znanych komentatorów i polityków do narzekania i utyskiwania na dzisiejszą młodzież. - Spojrzał na nich z pogardą. - Po co mielibyśmy tak się męczyć nad dostarczeniem im kozłów ofiarnych, gdyby te zamierzały wskazać nas palcem?

- Trudno się z tobą w tym względzie nie zgodzić, bracie - powiedział James.

- Poza tym, jeśli umrzecie, będzie to wystarczająca woda na młyn publicystyki. - Rob mówił to tak, jakby omawiał nadchodzącą dyskotekę albo zastanawiał się, jak rozreklamować imprezę charytatywną lub myjnię samochodową. Matt jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktoś o czymś tak okrutnym mówił z taką niedbałością.

- Więc to tak? - zapytała zszokowana Cat. - Wykorzystałeś las, a teraz nas po prostu wyrzucasz do śmieci?

Rob odwrócił się do niej, posłał jej uśmiech i kiwnął głową. - to i mamy najlepszą uczennicę w klasie! Trafiłaś w dziesiątkę! Dokładnie tak jak ty i twoi ważni przyjaciele wykorzystują i porzucają innych. Oczywiście, my będziemy zmuszeni pozbyć się was w nieco bardziej kategoryczny sposób. No, ale my gramy o wyższą stawkę, niż dobra ocena na Kursie Komputerowym dla Tępaków.

Przybrał nutę udanego współczucia, kiedy pochylił się w stronę dziewczyny. - Och, wiem, że to okropne. Przez cały ten czas dorastałaś w poczuciu, że jesteś człowiekiem z prawami i przywilejami, Cóż, przykro mi, złotko, ale musisz wiedzieć, że tutaj w zimnym, okrutnym świecie rządzi inne prawa. Moja matka też myślała, że jest istotą ludką. Ale jakiś pijany bogacz potraktował ją jak przeszkodę na drodze, a może cel.

Udawane współczucie zniknęło. Teraz każde słowo brzmiało lodowato. - Nigdy się nie dowiemy, co mu chodziło po głowie. Zwiął z powrotem do swojego kraju, jak tylko jego ambasador wy dostał go z rąk policji. Niestety, żaden ambasador się za tobą nie ujmie. Nie

potrzebna nam tutaj jeszcze jedna ładna buzia. Ani pieniądze twojego tatusia. Potrzebny nam ktoś, na kogo spadnie wina za naszą akcję. I wybraliśmy ciebie. Dorośnij dziewczyno i pogódź się z tym. To może być ostatnia rzecz, jaką zrobisz w życiu.

To były okrutne słowa, ale Matt widział, że Caitlin nie zamierza dać Robowi satysfakcji i rozplakać się. Z wysiłku aż się zatrzęsała, ale stała do niego twarzą, patrząc mu gniewnie w oczy.

- Bardzo dobrze! - pochwalił ją Rob. - Widzę, że już dorastasz.

Przeniósł swoją uwagę na pozostałych więźniów. - No dobra, zakładam, że wy też zachowacie spokój. Jeśli dalej nas będziecie wkurzać - spojrzał uważnie na Drażko - to będziemy musieli was tak załatwić, że pojawią się problemy z przedstawieniem was w takim świetle, w jakim zamierzamy. W oczach opinii publicznej macie być bandą bogatych, rozpieszczonych dzieciaków, które zadały się ze złym towarzystwem i źle skończyły. Zachowujcie się dobrze, a obiecuję, że wasz marny koniec będzie stosunkowo bez-bolesny. Przeszkadzajcie, a zrobimy wam krzywdę, zanim to się skończy. I wtedy będziemy musieli wymyślić paskudny finał, żeby ukryć to, co zrobiliśmy. Skończycie w dachującym samochodzie albo spaleni na węgiel.

- A co się stanie, jeśli będziemy grzeczni? - spytał Matt, zaskoczony, że nie drży mu głos. - W jaki przyjemny sposób nas zgładzicie?

- Cóż, nie ma całkowicie przyjemnego sposobu - przyznał Rob, - Może was upijemy albo zaaplikujemy narkotyki, tak że prawie nie poczujecie, jak likwiduje was czyjś domowy system bezpieczeństwa. - Spojrzał na nich. - Więc jeśli nie ma już więcej pytań, ani, mam nadzieję, głupot w stylu „nie ujdzie wam to na sucho” - czas zabierać się do pracy.

Przez chwilę Matt miał ochotę ujawnić swoje powiązania z Net Force i powiedzieć Pałkowi, że działa pod przykrywką. Ta informacja może przynajmniej odebrałaby mu ten pobłażliwy ton.

Zupełnie jakby czytał w myślach Matta, Rob powiedział: - Tylko nie próbuj mnie straszyć Net Force, Hunter. - Uśmiechnął się na widok otwartych ust Matta. - Daj spokój! Przecież byłem w twoim komputerze - i w wielu innych. Naprawdę myślałeś, że nie wiem, że jesteś Zwiadowcą Net Force? Coś mi się wydaje, że posunąłeś się nieco dalej, niż wyobrażał to sobie kapitan Winters. Może wyślę mu e-mailem radę, żeby lepiej szkolił Zwiadowców, którzy działają pod przykrywką. Twoje wysiłki były raczej... żałosne.

Ale współwięźniowie patrzyli na Matta innym wzrokiem. Przynajmniej dla nich jego poczynania były wystarczająco dobre.

Teraz zamknie się i będzie czekał, aż nadarzy się okazja do spełnienia obowiązku

każdego więźnia - ucieczki. To, oczywiście, będzie zależało od tego, gdzie Rob i jego kompani zdecydują się przetrzymywać pojmanych. Rob i James ogłosili koniec spotkania. Strażnicy otoczyli Matta, Caitlin, Luca oraz Drażko i zaczęli ich kierować do znajdujących się w przeciwległym końcu pokoju drzwi, którymi wcześniej wprowadzono obu chłopców.

Wyszli z pokoju i krótkim ciemnym korytarzem doszli do dużych dębowych drzwi, z rodzaju tych, których się już nie produkuje. Co nie znaczy, że ktoś chciałby kupić akurat te, pomyślał Matt. Płyta drzwi była spękana i podziurawiona. Widać było kilka otworów po kulach, jakby używano je do ćwiczeń w strzelaniu. Za to skutecznie wyciszały dźwięki. Matta zdziwił hałas po drugiej stronie, gdy strażnicy otworzyli drzwi. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy wszedł do ogromnego wysokiego pomieszczenia wypełnionego całymi rzędami poniszczonych ławek. Znajdowali się w opuszczonym kościele!

Przeciekający, spiczasty dach sprawił, że ściany pokrywały zacieki, a rozmiękły tynk odpadał, odsłaniając czerwone cegły. Oprócz ławek, wszystko pokrywał kurz. W kościele znajdowało się wielu ludzi, ale na pewno nie przyszli oni tutaj, żeby się modlić.

Tłum składał się z groźnie wyglądających młodych mężczyzn, wielu z nich nawet młodszych od Matta. Reszta była starsza, kilku mężczyzn mogło mieć pod trzydziestkę. Grubsi czy wychudzeni, czarni czy biali lub piegowaci, wszyscy mieli w sobie tę czujną siłę i spryt charakterystyczny dla ludzi ulicy. I choć mieli na sobie różne ubrania - najczęściej dzinsy i koszulki z odprutymi rękawami - wszystkie były w kolorach czarno-zielonych. Musiało ich być kilkuset, palących, śmiejących się, czyszczących broń. Tak, każdy z tych młodych mężczyzn był uzbrojony. W strzelby, kradzioną broń wojskową i każdy rodzaj pistoletu, jaki Matt mógł sobie wyobrazić. Mieli nawet kilka przestarzałych *Berett M9* jak ta, którą wymachiwał Rob Falk. To były siły uderzeniowe Roba, zbrojne ramię Sępów, które zebrały się tu na rozkaz swojego przywódcy. Kiedy zobaczyli nieznanymych wchodzących przez drzwi, na sekundę zapadła groźna cisza. Ale za nimi wszedł James i powiedział ostrzegawczo do swoich oddziałów: - Bądźcie dla nich mili. To oni pomogą nam się dostać do Ogrodów Carrollsburgu!

W powietrzu rozległ się taki ryk, jakiego w tym kościele jeszcze nie słyszano - połączenie szyderczego aplauzu i warczenia wilka na widok czerwonego mięsa.

James kiwnął na Matta i Caitlin. - Zaprowadźcie ich tam, gdzie trzymaliście pozostałych. I żadnych numerów z nimi! Chcemy ich mieć w jednym kawałku, kiedy będą nam potrzebni.

Matta i pozostałych zaprowadzono przez główną nawę na tyły kościoła. Matt pomyślał, że wychodzą na zewnątrz, ale zanim dotarli do drzwi wyjściowych, strażnik idący

przodem skrzył w bok i poprowadził ich do ukrytych w głębi zakurzonych schodów.

Chcą nas zamknąć na chórze? - zastanawiał się. Ale schody wiodły jeszcze wyżej, aż zorientował się, że pną się wewnątrz wieży kościoła. Dotarli do spróchniałej drabiny, chwiejnie opartej o krawędź klapy, znajdującej się nad ich głowami.

Matt wspiął się po drabinie i znalazł się w pomieszczeniu niewiele większym od jego własnego pokoju - tyle że zdecydowanie wyższym. Kiedyś wisiały tu dzwony. Teraz ich już nie było, pewnie zabrano je, kiedy kościół uległ dekonsekracji. Dzwon to droga rzecz, nawet jeśli się go sprzedaje tylko na złom. Pomieszczenie było puste, leżały tylko resztki ptasich gniazd i czegoś, co wyglądało jak mysie odchody na podłodze. Stały cztery w miarę dobre krzesła.

Caitlin, Luc i Drażko dotarli już na samą górę. Z dołu dobiegł chrobot. Strażnicy zabrali drabinę.

- Siedźcie tu cicho - rozległ się w wieżyczce głos Willy'ego. - Przyjdziemy po was, kiedy będziemy ruszać do akcji.

Kiedy tylko strażnicy się oddalili, Matt złapał jedno z krzeseł i przysunął je do ściany. Dzwonnica nie miała okien, ale dach nad ich głowami był otwarty. To tamtędy wydostawał się w dawnych czasach dźwięk dzwonów. W którymś momencie musiano mieć problemy z intruzami. Żelazne pręty, zamontowane w dwunastocentymetrowych odstępach, nie miały przecież na celu stłumienia hałasu bicia dzwonów. Ale mogły powstrzymać kogoś od dostania się do środka lub wydostania na zewnątrz.

Na szczęście pręty nie zasłaniały widoku, kiedy Matt podciągnął się na prowizorycznym podwyższeniu. Wyjrzał na zewnątrz i zobaczył puste rozpadające się budynki. Dachy okolicznych domów z drewna i kamienia zapadały się, jakby ciężar zbyt wielu lat ciągnął je do ziemi. Z bocznych ścian odpryskiwała farba, jak na dotkniętej chorobą skórze, ukazując szare, pleśniejące drewno. Nie ulegało wątpliwości, że nawet w czasach, kiedy mieszkali tu ludzie, nie była to najlepsza dzielnica. Tu i ówdzie pomiędzy domami widniały budynki z czerwonej cegły. Mieściły się w nich warsztaty samochodowe, magazyny z artykułami chemicznymi i wszystkie elementy miasta, które upycha się po kątach, żeby porządni ludzie nie musieli na nie patrzeć czy obok nich mieszkać. Oczywiście, to obniżało czynsze. Biedacy byli bowiem narażeni na wszelkiego rodzaju hałasy oraz wdychanie szkodliwych substancji. To była okolica, którą wykorzystano do cna. Kiedy opustoszała, stare i nowe budynki zaczęły się rozpadać.

Zdaniem Matta dzielnica wyglądała jak miasto opuszczone w pośpiechu przed nadejściem wojsk wroga. Ziemia niczyja. Ale gdzie można znaleźć taki wyludniony teren w

zapchanym drapaczami chmur Waszyngtonie?

Ziemia niczyja! Słowa odbiły się echem w głowie Matta, kiedy schodził ostrożnie z krzesła, które następnie przestawił pod drugą ścianę. Znowu zobaczył przygnębiający krajobraz. Ale nieco dalej dostrzegł ponad dachami wieżowce z apartamentami. A na wprost wieży kościelnej ciągnęła się uniesiona nad ziemią autostrada, po której przemykały samochody. Promienie późno popołudniowego słońca przeświecały przez pręty. Tam musi być zachód.

Matt zeskoczył na podłogę i pociągnął krzesło w miejsce, gdzie powinno być południe. Znowu zdevastowane budynki i błotnisty pas na terenie, na którym rozebrano stare domy. Dalej wznosił się betonowy mur broniący dostępu do luksusowych budynków z cegły i płyt, które wyglądały jak wyjęte prosto z kolonialnego Williamsburga. Na podjazdach otoczonych przepyszными trawnikami stały limuzyny i sportowe wozy.

Matt puścił się prętów i zeskoczył na podłogę.

- Co tam widziałeś? - chciała wiedzieć Caitlin.
- Kupę świńskich domów - powiedział Drażko w łamanym angielskim.
- Slumsy - przetłumaczył Luc Valery.

Chłopak z Bałkanów kiwnął głową. - Jak Czarnogóra po bombardowaniu. Nigdzie indziej tego nie widziałem.

- Okay, wiem, gdzie jesteśmy - powiedział Matt. - Pamiętacie tę mapę, którą pokazał nam Rob Falk? Jesteś my na środku tej pomarańczowej plamy, wśród zabudowań, które mają zostać zburzone, żeby na ich miejscu powstały drogie apartamenty. W tamtą stronę - wskazał kciukiem ponad swoim ramieniem - są Ogrody Carrollsburgu. Naprzeciwko, jeśli się pójdzie odpowiednio dalej, jest Mali i wszystkie muzea. Na zachodzie, kiedy minie się już aleję i wymarłe okolice, są luksusowe wieżowce nad Potomakiem. A na wschodzie - Matt zmarszczył brwi, starając sobie przypomnieć mapy terenu, które kiedyś oglądał. Była tam duża pusta przestrzeń...

I wtedy sobie przypomniał. - To stocznia Marynarki w Waszyngtonie. Od siedemdziesięciu lat nie zwodowali tam ani jednego okrętu, ale wykorzystują teren na biura.

- Jak miło - powiedział wyniośle Luc. - Teraz wiemy już dokładnie, gdzie umrzemy.

Matt pokręcił głową. - Tylko jeśli na to pozwolimy.

- Pozwolimy? - powiedział Luc. - A jak mamy ich powstrzymać? Przecież nie zadzwonimy po twoją policję. Te świny zabrały nam portfele z telefonami. A nie sądzę, żebyśmy tu gdzieś znaleźli budkę telefoniczną. - Machnął ręką, mając na myśli opustoszałe tereny wokół. - Poza tym jesteśmy uwięzieni co najmniej cztery piętra nad ziemią bez

możliwości zejścia i ogrodzeni kratami.

Przerwał, kiedy Matt chwycił jego krawat. - Prawdziwy jedwab?

- C-co? - wydusił z siebie Francuz. - Mój krawat? Tak, to jedwab.
- Solidny jedwab - powiedział Matt, rozwiązując węzeł krawata.

Luc nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w Matta, jakby Amerykanin postradał zmysły.

Matt zerwał Lucowi krawat z szyi, potem podbiegł do jednego z krzeseł. Podniósł je nad głowę i roztrzaskał o ścianę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła Caitlin. Ona również nabrała przekonania, że Matt zwariował.

Matt porwał drugie krzesło, a pozostali więźniowie przezornie cofnęli się. Ale tym razem Matt postawił krzesło przy wschodniej ścianie dzwonnicy i zaczął się wspinać. Z krawatem i nogą od krzesła w dłoni wspiał się na krzesło. Owinął krawatem dwa pręty, zawiązał go mocno, następnie włożył w pętlę nogę od krzesła i zaczął nią obracać. Gęsto tkany jedwab owinął się wokół nogi, zaciskając pętlę coraz mocniej, Coś musi się poddać - i nie będzie to krawat. Z głośnym zgrzytem dwa stalowe pręty zaczęły się zbliżać do siebie.

W następnej sekundzie Drażko przysuwał krzesło do ściany obok Matta. Wepchnął pod pachę drugą nogę od krzesła i zdjął pasek od spodni. - Prawdziwa skóra z mojej ojczyzny - powiedział, owijając go wokół dwóch następnych prętów.

Robota nie była łatwa ani przyjemna. Twarz Matta pokrył kurz i rdza, kiedy mocował się z kawałkiem drewna, próbując coraz ciaśniej zawinąć supeł krawata. Pasek Drażko pękł i musieli go zastąpić paskiem Matta.

Zajmując się prętami więźniowie dyskutowali o następnym etapie ucieczki. To przynajmniej zabijało czas. Luc miał przyjaciół w Ogrodach Carrollsburgu i był tam kilka razy.

- Przecież poduszkowiec nie przewozi ludzi przez cały dzień - powiedział. - Ostatni odpływa o ósmej. - Przeniósł wzrok z zachodzącego słońca na zegarek. - A to już niedługo. Musimy za wszelką cenę dostać się do bramy i ostrzec strażników!

- Jeśli pobiegniemy w tamtą stronę, utkniemy dokładnie tam, gdzie chcą Rob i jego kolesie - zaoponował Matt. - Wystarczy, że zmienią trochę plan i zostaniemy uwięzieni z innymi w tych budynkach.

- Powinniśmy spróbować się przedostać na drugą stronę - powiedziała Caitlin. - Zwrócić na siebie uwagę ludzi jadących autostradą.

- Ja i Luc już próbowaliśmy - odparł Drażko. - Krzyczeliśmy. Ja nawet machałem

koszulą. Nikt nie zwraca uwagi. Przejeżdżają zbyt szybko.

- Nasza jedyna nadzieja to stocznia Marynarki - upierał się Matt. - Tam jest baza *marines*. Jeśli ktokolwiek jest w stanie pokrzyżować szalone plany Roba, to tylko ci ludzie.

Kręcił drewnianą nogą, aż wreszcie pręty zaskrzypiały po raz ostatni i zetknęły się ze sobą.

Udało im się! Szpara, jaka powstała między prętami, była na tyle duża, że człowiek, nawet tak duży jak Drażko, na pewno się przez nią przecisnie. Matt wydostał się na zewnątrz i obrócił tak, że zwiisał na rękach. Wyciągnął stopy, szukając palcami oparcia. Jest! Przeniósł ciężar na nogę, która znalazła oparcie. Dachówki wytrzymały. Starając się utrzymać równowagę, zsunął się w dół, aż usiadł okrakiem na szczycie dachu. Spojrzał w górę na trzy wystraszone twarze wyglądające zza prętów. - Na razie w porządku - zakomunikował. - Podajcie mi nogę od krzesła.

Luc wychylił się i wystawił jedną z nóg krzesła, które roztrzaskał Matt. Miała kształt litery L, ponieważ został przy niej kawałek łączący ją z drugą nogą. Matt zdawał sobie sprawę, że następny etap nie będzie łatwy. Spadzisty dach ciągnął się w dół na jakieś dwa piętra. Jeśli uda mu się doczołgać się do rynien, powinien być w stanie zeskoczyć stamtąd na ziemię. Jeśli straci równowagę i ześlizgnie się na dół, prawdopodobnie spadnie i skręci sobie kark.

Kiedy zginał pręty, zauważył, że między dachówkami są przerwy. Dlatego wziął ze sobą ten prowizoryczny drewniany hak. Kiedy zacznie zsuwać się, wbije hak pomiędzy dachówki i zatrzyma się. Nad jego głową Luc już przeciskał się na zewnątrz. Za nim wyjdzie Cat, a potem Drażko. Matt położył się płasko na nagranych dachówkach, rozkładając ciężar ciała tak równomiernie jak się tylko dało.

- Raz kozie śmierć - wyszeptał, puszczając kalenicę, Nachylenie było zbyt strome! Zaczął się coraz szybciej zsuwać po dachówkach.

Matt kilka razy przeżył wspinaczkę górską w wirtualnej rzeczywistości. Nauczył się techniki zwanej glissade, polegającej na tym, że alpiniści, którzy zaczynają się obsuwać z lodowca, wykorzystują swoje czekany do powstrzymania upadku. Matt pomyślał, że może posłużyć się tą samą techniką, gdyby coś poszło nie tak na kościelnym dachu. Jednak teraz miał okazję przekonać się, że istnieje różnica pomiędzy lodem a dachówkami, zwłaszcza jeśli się dysponuje tylko kawałkiem drewna, żeby spowolnić obsuwanie się. Z nogi od krzesła odłupywały się drzazgi, kiedy próbował wbić ją w dach, żeby wreszcie zakończyć poślizg. Gdy w końcu udało mu się wbić kołek w szparę, ten mało nie pękł mu w rękach. Trzymał się go kurczowo, zatrzymując się w miejscu, aż dachówka odpadła i znów poleciał w dół.

Spadał już nieco wolniej, ale krawędź dachu zbliżała się bardzo szybko. Matt ze wszystkich sił starał się nie tracić głowy. Przy odrobinie szczęścia ma szansę złapać się rynny, kiedy dotrze do krawędzi. Ale kiedy tam dotarł, rynny nie było! Ktoś musiał ją wyrwać i sprzedać miedzianą blachę. Mattowi została jedna szansa. Ta część dachu zdawała się ugiąć pod jego ciężarem. Z całej siły uderzył nogą od krzesła. Pokrycie dachu poddało się trochę, aż w końcu drewno przebiło na wylot dach. Zatrzymał się w samą porę - nogi zwiślały mu już z krawędzi.

- Wygląda to na niezłą jazdę! - krzyknęła Cat Corrigan ze swojego miejsca na szczycie dachu.

Matt gorączkowo pokazywał jej na migi, żeby zamilkła. Ze swojego niebezpiecznego przystanku na dachu spostrzegł, że Sępy rozstawiły wokół kościoła strażę. Po jego stronie terenu pilnował młody Azjata. Jak on się nazywał? Ng.

Zdecydowanie nie wyglądali jak żołnierze na warcie. Ng przechadzał się niedbałym krokiem wzdłuż ulicy, z pistoletem Willy'ego zatkniętym za pasek od spodni. Ale chłopak mógł w każdej chwili użyć pistoletu, gdyby usłyszał, jak więźniowie się nawołują. Na szczęście pozostali zrozumieli znaki. Przez chwilę ustalali coś, z głowami przysuniętymi blisko do siebie, po czym wymyślili całkiem niezły plan. Stworzyli żywą drabinę. Drażko położył się na dachu, a Luc schodził na dół, trzymając się jego kostek. Następnie przyszła kolej na Caitlin. Zsunęła się, przytrzymując się pozostałych. Jednak musiała puścić się stóp Luca i zjechać ostatnie dwa metry, więc Matt przygotował się, żeby ją złapać. Caitlin przez jedną minutę mrozącą krew w żyłach zwiślała niebezpiecznie, ale szybko chwyciła się drewnianej nogi wbitej w dach, puszczając rękę Matta. - Uff! - Oddychała ciężko. Potem dostrzegła na dole Nga. - Teraz rozumiem, dlaczego kazałeś nam się zamknąć - wyszeptła.

Matt skinął głową. Dziewczyna popatrzyła z niepokojem na strażnika, a następnie na dwóch przyjaciół rozciągniętych na dachu. - Nie wytrzymają tak długo - wyszeptała. Potem wskazała głową na drewnianą nogę. - *I* nie wiem też, ile to wytrzyma.

Tym razem Matt nie odpowiedział. Uważnie obserwował Nga, który teraz wracał wzdłuż ulicy. Gdy strażnik znalazł się pod nimi, Matt puścił się dachu. Może powinien był ostrzec Caitlin, ponieważ dziewczyna pisnęła zduszonym głosem i Ng spojrział w górę. Chłopak wytrzeszczył oczy i zaczął wyciągać pistolet zza paska, ale w tym momencie Matt upadł na niego. Obydwaj runęli na ziemię, ale Matt znalazł się na wierzchu. Tym razem Ng nie miał żadnego zakładnika, żeby powstrzymać Matta, więc ten zaprezentował mu krótki, ale bolesny chwyt i pistolet wypadł z odrętwiałych palców Ng. A wtedy Azjata krzyknął na cały głos. Matt zaklął pod nosem i przestał się bawić w subtelności. Jeden mocny cios i Ng padł nieprzytomny na ziemię.

- Ruszajcie się! Szybko! - syknął Matt, patrząc na parę nóg zwisających z krawędzi dachu. Caitlin zeskoczyła na ziemię, złapana przez Matta. Po chwili na krawędzi pojawiły się dziko wierzgające nogi Luca, a następnie jeszcze jedna para. To Drażko dotarł do krańca dachu. Zeskoczyli razem, akurat kiedy zza rogu wybiegł kolejny strażnik Sępów - Willy.

- Hej, Ng, o co tyle krzyku?

Blondyn wbił zdumiony wzrok w uciekinierów. Otworzył usta, żeby ostrzec resztę i prawą ręką sięgnął pod koszulę po pistolet. Drażko chwycił z ziemi pistolet Ng. Odgłos dwóch wystrzałów zabrzmiał równocześnie. Willy zawył z bólu i zakreślił się w miejscu, przyciskając do ramienia lewą rękę. Drażko ruszył do przodu.

- Drażko, ty kretynie, biegiesz w złą stronę! - krzyknął Luc. On wraz z Caitlin i Mattem biegi już uliczką prowadzącą na wschód. Drażko złapał pistolet Willy'ego i odkrzyknął. - Ja biegnę do autostrady!

Nie było czasu na dyskusje. Odgłos wystrzałów na pewno sprowadzi na miejsce Sępy. Matt zaryzykował rzut oka za siebie, kiedy we trójkę dotarli do najbliższego rogu ulicy. Członkowie gangu wysypali się z opuszczonego kościoła niczym mrówki z naruszonego mrowiska.

Przy wejściu do kościoła rozległy się strzały.

- Wygląda na to, że ktoś zobaczył Drażko - powiedział Luc.

Przez huk wystrzałów przedarł się czyjś chrapliwy krzyk. Matt rozpoznał głos. To James wydawał rozkazy swoim oddziałom.

- Gdzie reszta?! - wrzasnął przywódca gangu. - Znaleźć ich! I to już!

Matt skoczył za róg, poganiając resztę przed sobą.

- Nawet nie uda nam się dotrzeć do Końca tej uliczki, kiedy oni już tu będą - powiedziała Caitlin.

- Dlatego schowamy się. - Matt przeczesywał spojrzeniem rzędy domów naprzeciwko. Wybrał jeden na chybił trafił. Wciąż miał drzwi, w przeciwieństwie do innych, gdzie wejścia zasłonięte były płytami ze sklejki. Bał się, że mogą być zamknięte na klucz, ale nie było w nich ani zamka, ani klamki. Wyrąbano je z płyty drzwiowej, więc otworzyły się bez większego oporu, kiedy Matt uderzył w nie ręką.

Weszli do mrocznego wnętrza, które rozjaśniały tylko pojedyncze promienie słońca przedostające się do środka przez szpary w płytach ze sklejki. Matt zamknął drzwi, wyglądając przez wyrąbaną w nich dziurę. W jego polu widzenia pojawili się ubrani w czarno-zielone kolory członkowie gangu biegnący ulicą, z której właśnie uciekli ich więźniowie.

- Teraz ich ludzie są przed nami - powiedział Luc. - A jest ich dość, żeby rozpocząć przeczesywanie każdego domu.

Matt odwrócił się od drzwi. - Zabarykadujemy wejście, żeby ich przytrzymać. Wyjdziemy tylnym wyjściem.

Znajdowali się we frontowym korytarzu starego domu. Dawno temu musiał być podzielony na mieszkania. Na prawo mieli schody prowadzące na pierwsze piętro. Na lewo znajdowało się wejście do mieszkania, z drzwiami wiszącymi krzywo na połamanych zawiasach. Matt wszedł do środka. Kiedyś był to salon. Nasiąknięty deszczówką materac trysnął wodą, kiedy Matt go odsuwał. Nie zabrano stąd mebli uznając je najprawdopodobniej za graty i Matt musiał się zgodzić z taką oceną. Umeblowanie było tandetne, ale powinno spełnić rolę, jaką powierzył mu Matt. Oparł zardzewiałe metalowe łóżko o drzwi.

- Zobaczcie, co jest w następnym mieszkaniu - polecił Caitlin i Francuzowi, ciągnąc w stronę drzwi wypaczoną płytę wiórową, żeby powiększyć barykadę.

Rozległo się wołanie Luca. - Tu jest stary kufer, którego pewnie nie dało się wynieść, bo jest za ciężki.

Matt dołączył do niego i obydwaj zaczęli ciągnąć duży, wybrzuszony w wielu miejscach skórzany kufer do drzwi. Wtedy usłyszeli gorączkowy szept Caitlin. - Musimy się stąd wynosić i to szybko! - Podbiegła do nich, a oni zostawili kufer w połowie drogi. Pobiegli za Caitlin w górę korytarzem, gdzie mieściło się większe mieszkanie, na jego końcu i z drzwi prowadzących do pokoju wydostawało się światło dzienne. Światło wpadało też przez świetlik z potłuczoną szybą. Na szkłe utworzyło się małe jeziorko z deszczówki. Przeciek zostawił też ślady na podłodze korytarza. Jej część zmiękła i wpadła do piwnicy. Od tylnego

wyjścia z domu dzieliła ich dwumetrowa dziura!

Matt podszedł do niej. Podłoga ugięła się niebezpiecznie pod jego ciężarem. - Dalibyśmy radę przeskoczyć ją z rozbiegu - powiedział.

- Albo przebilibyśmy podłogę i wylądowalibyśmy tam. - Luc zajął do zatopionej w ciemnościach piwnicy.

Potrzebny był im pomost.

- Drzwi do pierwszego mieszkania! - powiedział Matt. Wszyscy troje pobiegli z powrotem do przedniej części budynku i zaczęli kręcić drzwiami na wszystkie strony, żeby oderwać je od pociętych zawiasów.

Być może hałas przedostał się na zewnątrz, a może po prostu mieli pecha, bo Sępy wybrały akurat ten dom do sprawdzenia. Kiedy nie udało im się od razu otworzyć drzwi wejściowych, rozległy się uderzenia pięści o dębową płytę i Matt usłyszał więcej głosów na zewnątrz - grupa poszukiwawcza musi się zbierać na progu.

Szarpnął rozpaczliwie i drzwi oderwały się od futryny. - Chodźmy! - syknął i we trójkę poszli korytarzem, niosąc ciężkie drzwi. W tej samej chwili członkowie gangu postanowili utorować sobie drogę strzałami z pistoletów. Hałas wystrzałów odbił się echem po całym korytarzu, a jeden pocisk odbił się od metalowej framugi łóżka, stanowiącego element prowizorycznej barykady.

Oglądali zbyt wiele filmów w holo, pomyślał Matt. Tu przecież nie ma zamka, który mogliby przestrzelić.

- Twoja barykada długo nie wytrzyma - rzucił zdyszonym głosem Luc, kiedy ciągnęli drzwi obok porzuconego kufra.

- A co będzie, jeśli przeszukują domy po drugiej stronie? - spytała Caitlin. - Może będą czekali na nas przy wyjściu?

- Miejmy nadzieję, że nie wpadną na to od razu - powiedział Matt. - Rozwiązujmy problemy po kolei.

Matt i Luc stali po obu stronach drzwi. Pchnęli je do przodu, żeby zasłonić dziurę. Uda się?

Luc zwrócił się do Caitlin: - Jesteś najlżejsza. Może pójdziesz pierwsza.

Dziewczyna pokręciła głową w milczeniu.

Luc zacisnął usta. - Nie mamy czasu na kłótnie. - Ostrożnie i powolutku, jak linoskoczek, Luc wszedł na prowizoryczny most.

Matt wciągnął głośno powietrze przez zaciśnięte zęby. Widział, jak podłoga ugina się po obu stronach drzwi. Luc dotarł na drugi kraniec i oznajmił: - Tu jest twardo.

- Id:, Caitlin - powiedział Matt. - Widziałaś, że wytrzymał.
- Podłoga się ugięła - powiedziała dziewczyna zduszonym głosem.

Nie było czasu do stracenia. Matt wszedł na drzwi-pomost. Przyszło mu do głowy kilkaset rzeczy przyjemniejszych do robienia niż ten dwumetrowy spacer. Każdy krok zdawał się nadweręzać możliwości prowizorycznego mostu i jego niepewnych podstaw.

Kiedy dotarł na drugą stronę, zdał sobie sprawę, że nie oddycha i wypuścił powietrze z płuc. Luc już sprawdzał pokoje na tyłach. Teraz wrócił, ciągnąc za sobą cuchnące drewniane pudło. - To chyba były książki - powiedział - Dopóki nie zniszczyła ich pleśń.

Uwaga Matta skupiona była na Caitlin, która wciąż stała nieruchomo po drugiej stronie mostu.

- Chodź tutaj, natychmiast! - krzyknął Matt. - Jeśli nam się udało, tobie też nic się nie stanie.

- Ni-nie mogę - wydusiła.

Luc postawił na ziemi swój bagaż. - Chodź Cat - powiedział - Nie możemy cię przenieść. Podłoga nie wytrzyma.

Zrobiła mały kroczek, potem następny.

Od frontu domu rozległ się trzask łamanego drewna. - Idą - Dowiedział Matt.

Zupełnie jakby wypowiedział odpowiednie zaklęcie. Caitlin gwałtownie ruszyła do przodu z wyciągniętymi ramionami dla utrzymania równowagi. Choć była lżejsza niż obywaj chłopcy, jej gwałtowne, nerwowe ruchy sprawiły, że nacisk na most był większy niż przedtem.

Matt zacisnął zęby do bólu, słuchając skrzypienia spróchniałej podłogi.

Cat dotarła prawie na drugą stronę, kiedy most zaczął się zapadać!

- Ubezpieczaj mnie - powiedział do Matta Luc.

Matt stanął na bezpiecznym kawałku podłogi i złapał mocno Luca za pasek. Francuz pochylił się do przodu, żeby sięgnąć do machających rozpaczliwie rąk Caitlin. Złapał ją! Matt szarpnął do tyłu i odciągnął wszystkich od zapadającej się podłogi. Most zakołysał się prawie spadając. Gdyby nie udało im się zabrać stamtąd Caitlin na czas...

Usłyszeli głosy zbliżające się od strony głównego korytarza. Luc odwrócił się, chwycił pudło ze spleśniałymi książkami i rzucił je na most. Ciężar książek załamał kładkę, która spadła z hukiem do piwnicy. Matt ciągnął już Caitlin w stronę okien jednego z pokoi położonych na tyłach. Tu akurat szyby ocalały. Matt otworzył okno i pomógł Caitlin przez nie wyjść.

Matt zauważył, że pokoje na tyłach dobudowano później. Wyszli na błotniste,

żwirowe podwórze, otoczone półtorametrowym drewnianym płotem. Matt szybko przeskoczył go i teraz wychylił się, żeby pomóc Caitlin. Luc już do nich dołączył i wspinał się po deskach. Za płotem było podwórze, dziesięć metrów kwadratowych trawy i chwastów - pusta przestrzeń, którą muszą pokonać, zanim dotrą do najbliższego budynku. Ktoś próbował go odnowić, ponieważ był pomalowany na biało z zielonymi framugami okien. Krzyk za plecami dowodził, że ich prześladowcom udało się przedostać przez przerwę w podłodze. Kiedy Matt obejrzał się za siebie, zobaczył nad ogrodzeniem na tyłach czyjaś głowę, a zaraz potem rozległ się głuchy wystrzał z pistoletu. Matt ucieszył się w duchu, że gang nie miał czasu ani amunicji na ćwiczenia strzeleckie. Kula przeleciała obok niego jak rozzłoszczony szerszeń i roztrzaskała okno w domu na wprost. Matt ramieniem usunął ostre kawałki szkła, które wciąż tkwiły we framudze, po czym podsadził do niego Cat.

- Zobacz, co tam jest - powiedział dziewczynie i wyciągnął rękę do Luca. Musiał szybko wciągnąć Francuza. Coraz więcej Sępów pojawiło się przy płocie i zaczęło się po nim wspinać. Matt wciągnął Luca do pokoju wypełnionego stertami gazet. Patrzył na nie niedowierzająco. Ile lat temu wydawano „Washington Post” na papierze? Papier gazetowy był pomarszczony i wysuszony na wiór. Pręż okno Matt zobaczył kolejnego Sępa, zeskakującego z ogrodzenia. Ten miał w ręku karabin. Matt zmrużył oczy. Lufa broni wydawała się dziwnie gruba...

- Uciekajcie! - rozkazał szybko Lucowi. - Ten idiota ma granatnik!

Pobieli krętą drogą pomiędzy stertami gazet, sięgającymi im na wysokość klatki piersiowej, i wydostali się z pokoju dokładnie w momencie, kiedy głuche „Bum!” dało im ziać, że granat został odpalony. Z wystrzelonego pojemnika wydostała się chmura substancji, w której Matt rozpoznał gaz łzawiący.

To idiota do kwadratu, pomyślał, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. Gaz łzawiący może się przydać w Ogrodach Carrollsburga, wykorzystany przeciwko ludziom, którzy zabarykadowują się w domach. Ale my nie chcemy tu zostać, a uciec stąd. Chmura gazu łzawiącego opóźni tylko pościg.

W tym momencie do jego uszu dobiegło coś jeszcze oprócz łyku gazu. Matt zaklął. Cholerny pojemnik musiał zapalić sterty gazet!

Pędem pobiegł do pokoi w przedniej części domu.

To drewniany dom! Cały budynek może pójść z dymem!

Już kędy biegł, gonił go czarny ogon dymu. Dogonił Luca i Caitlin, którzy wyglądali przez szparę w drzwiach wyjściowych.

- Pożar! - powiadomił ich Matt, łapiąc oddech. - Na zewnątrz! Natychmiast!

- Ale... - zaczęła Caitlin.

Matt nie zamierzał się z nią spierać. Jednym pchnięciem otworzył drzwi i wypadł na rozchwiany ganek. Wtedy zobaczył na własne oczy to, przed czym usiłowali go przestrzec Cat i Luc. Na drugim końcu budynku stała grupka poszukiwaczy. Gdyby nie fakt, że uwaga Sępów była skupiona gdzie indziej, na pewno by go zauważyli.

Cofnął się i przywarł płasko do ściany starego budynku. Tylne części domu, skąd się przed chwilą ewakuowali, stała już w płomieniach pnących się w górę słupem czarnego dymu na tle czerwonego od zachodzącego słońca nieba. Tu, na ganku wejściowym, schowani w cieniu, byli niewidoczni dla Sępów.

Ale ich kryjówka tylko chwilowo była bezpieczna. Płomienie zajmowały coraz większą część domu, zbliżając się do nich z każdą sekundą. Uciekinierzy nie mogli zostać tu zbyt długo. Matt liczył na to, że jest już wystarczająco ciemno - w tej opuszczonej części miasta nie było latarni ulicznych. Czas podjąć jakieś działanie - nawet desperackie. Wziął głęboki oddech. Może nie zauważą, że nie ma na sobie kolorów gangu.

- Hej! - krzyknął do członków gangu. - Mamy ich tu, na tyłach! Chodźcie! - Machnął ręką w stronę tylnej części domu.

Krzycząc do siebie jak opętani, czterej uzbrojeni młodzi mężczyźni pobiegli z powrotem za róg. Matt odwrócił się do drzwi. Z domu wydobywał się żar i trujący dym. Cat i Luc kaszląc wypadli na zewnątrz, brudząc dłońmi twarze sadzą.

Musimy się stąd wydostać, pomyślał gorączkowo Matt. Ogień zadziałała jak latarnia morska na wszystkie Sępy w okolicy.

Ruszył biegiem, a za nim dwójka towarzyszy. Kilka przecznic, może pół kilometra dalej znaleźliby się bezpieczni w stoczni Marynarki...

Tuż przed nimi rozległ się wściekły krzyk. - Tu są!

Poszukiwacze, których zmylił, wrócili i to w zwiększonej liczbie. Matt zaryzykował spojrzenie przez ramię. Uciekinierów i prześladowców dzieliło nie więcej niż trzy czwarte przecznicy.

Nie są rewelacyjnymi strzelcami, przekonywał sam siebie w duchu Matt. Ale jest ich wystarczająco dużo, a niektórzy mają broń maszynową. Jeśli nie zejdziemy z linii strzału, dość szybko może się im poszczęścić.

- Idziemy! - Słowo zabrzmiało raczej jak chrypięcie, kiedy zmienił marsz w bieg. Może gdyby udało im się dobiec za róg... W oddali zobaczył ciemne ruchliwe postaci wychodzące zza rogu ulicy.

Matt skręcił i zaprowadził swoich towarzyszy do kamiennych schodów, gdzie mogli się

schować. Przełknął, czując w ustach gorycz porażki. Byli odcięci z obydwu stron przez grupy członków gangu. Już lepiej im było zostać w dzwonnicy!

Rozległ się głośny rozkaz i nagle wieczorny mrok przecięły oślepiające snopy światła. Gangsterzy na przedzie cofnęli się jak karaluchy przyłapane na kuchennej podłodze. Światła zbliżały się w tempie czyichś kroków. Matt rozpoznał kształty czterech wojskowych terenówek *Humvee* i towarzyszące im postaci z potężnymi karabinami.

Matt zauważył, że ubrania nowo przybyłych są zielone, ale nie były to posiłki Sępów. Zieleniły się mundury polowe amerykańskiej piechoty morskiej.

Za plecami żołnierzy z włączonymi światłami stał wóz strażacki! Kierowca nacisnął klakson, chcąc jak najszybciej zająć się gaszeniem pożaru. Matt w duchu pobłogosławił głupka, który wystrzelił granat i podpalił dom. To prawda, że płomień podziiałały jak gigantyczny pocisk smugowy, przyciągając na miejsce wszystkich poszukujących ich Sępów. Ale zaalarmowały również sekcję straży pożarnej z bazy piechoty morskiej!

Ponieważ ogień pojawił się w opuszczonej okolicy, strażacy poprosili eskortę *marines*, na wypadek, gdyby pojawiły się jakieś problemy. Oddział Sępów chwilowo osłupiał. Jednak górowali nad *marines* siłami w stosunku jeden do dziesięciu. Mogli spróbować przebić się przez ich oddział i wprowadzić w życie swój wielki plan napaści.

Ale *Humvee* muszą mieć łączność radiową. Jeśli ostrzegliby bazę...

Matt wyszedł z ich tymczasowego ukrycia na schodki i zszedł w stronę oślepiających światel z rękami podniesionymi do góry.

Karabiny *marines* natychmiast skierowały się w jego stronę, ale szedł dalej pewny, że widzą jego puste dłonie. - Macie na wprost jakieś dwie setki członków gangu - ostrzegł ich. - Zebrali się tutaj...

- Żeby zaatakować Ogrody Carrollsburgu - wtrąciła Cat Corrigan, wysuwając się przed Matta. Ona również trzymała ręce w górze. - Uprawdzili mnie i moich przyjaciół. Jestem Caitlin Corrigan, córka senatora Corrigan.

- Sprytna dziewczyna - mruknął Luc.

Matt spojrzał na niego.

- Pewnie rozeszły się już wieści o naszym porwaniu - dodał Luc. - Żołnierze będą musieli potraktować poważnie jej słowa.

Matt zauważył jakiś ruch kątem oka.

Podczas całej akcji Rob Falk musiał się przekraść do kryjówki na kamiennych schodach domu, które uciekinierzy przed chwilą opuścili. Teraz wyszedł z kryjówki z pistoletem, który zabrał Drążkowi Mironoviciowi z dłoni i gorączkowo błyszczącymi oczami.

- O nie, ty dziwko - warknął. - Nie zniszczysz wszystkiego, nad czym pracowałem.

W tym samym czasie jeden z *marines* krzyknął: - Na ziemię, ty młody głupku!

W tym momencie Luc rzucił się, żeby powstrzymać Roba Falka, tyle że jednocześnie blokował *marines* pole ostrzału!

Rozległ się huk pistoletu Roba. Ale pocisk nie trafił Caitlin. Trafił Luca.

Francuz krzyknął z bólu, okręcając się wokół osi i łapiąc za ramię. Zachwiał się, ale w jakiś sposób utrzymał się w pionie - nadal uniemożliwiając *marines* celny strzał. Zaczął iść w stronę Falka sztywnym krokiem niczym zombie. Lewa ręka zwisała mu wzdłuż boku, brocząc krwią na spękany chodnik.

Prawą jednak wyciągnął gniewnie w stronę komputerowego Geniusza gangu. - Nie... skrzywdzisz... Cat! - wychrypiał krótkimi, przerywanymi bólem seriami.

Luc stanowił doskonały cel - reprezentował sobą wszystko, czego nienawidził Rob Falk - był członkiem elity z krainy przywilejów... i dyplomatów.

Rob wycelował w Luca swój pistolet. Matt słyszał za plecami wściekłe pomruki *marines*. Jeśli czegoś nie zrobi - i to natychmiast - będzie to oznaczać początek ogólnej strzelaniny.

Zmusił zmęczone nogi do szaleńczego skoku. - Falk! - krzyknął.

Matt nie był pewien, co się stanie. Rob był amatorem w strzelaniu, co oznaczało, że nie można przewidzieć, jak się zachowa. Gdyby był wyszkolonym strzelcem, mógłby najpierw zająć się obiektem, w który celował, i dopiero wtedy odwrócić się do Matta.

Zamiast tego, Rob zawahał się, nie wiedząc, czy celować w Luca, czy Matta, który śpieszył w jego stronę. Nie zdążył wystrzelić, kiedy Matt już był przy nim i powalił go na ziemię. Rob wił się jak wąż, próbując się wyrwać. Matt chwycił Falka za nadgarstek dłoni, w której ten trzymał broń, i ścisnął go, dopóki Falk nie wypuścił jej z palców. Kiedy Matt kopniakiem odsunął pistolet, Rob próbował sięgnąć mu do oczu. Matt uchylił się, uderzył przeciwnika, potem odwrócił go na brzuch. Po czym złapał prawą rękę Falka i pociągnął ją na plecach tak wysoko, że ten wstał, nie mogąc wytrzymać bólu. Rob krzyknął, ale Matt zmusił go do marszu nie zwalniając uchwytu. Ustawił się tak, że Rob znalazł się pomiędzy nim a resztą Sępów. Gdyby przyszło im do głowy strzelać, ryzykowaliby trafienie ich ukochanego Geniusza.

Otoczyli ich *marines*. - O co tu chodzi? - spytał sierżant.

- Jestem Zwiadowcą Net Force - powiedział Matt dysząc ciężko. - Skontaktujcie się z kapitanem Wintersem przez biuro Net Force w Waszyngtonie. On powinien za mnie zaświadczyć.

Może być wściekły, pomyślał Matt. Ale mimo to powinien za mnie zaświadczyć.

- To spec od komputerów, który wie, jak złamać system bezpieczeństwa Ogródów Carrollsburgu. Upewnijcie się, żeby nie wrócił do swoich przyjaciół.

Tłum Sępów kołysał się jak niespokojne morze. Wiedzieli, że jeśli stracą Roba Falka, cały ich plan się rozsypie. Jednak nie mieli ochoty stawać na linii ognia karabinów *marines*. Gdyby to była policja, może zaryzykowałiby atak. Ale nie w przypadku żołnierzy piechoty morskiej.

Matt wycofał się wreszcie w stronę zaparkowanych *Humvee*. Odetchnął z ulgą widząc, jak porucznik *marine* rozmawia przez nadajnik radiowy. W oddali usłyszał nasilające się wycie syren. Sierżant przekazał wiadomość Matta i porucznik łączył się z Net Force, więc niedługo nad ich głowami pojawią się helikoptery.

Udało się,

Kapitan Winters kręcił głową, stojąc w zakrystii opuszczonego kościoła. Ekipa techniczna Net Force miała pełne ręce roboty przeglądając dziwnie zbudowany system autorstwa Roba Falka. Matt miał rację. Bez Falka James i jego wojownicy nie byli w stanie przeprowadzić swojego planu. Syn bałkańskiego dyplomaty nie dotarł do autostrady, ale schował się pomiędzy betonowymi słupami i ostrzeliwał się skutecznie. Został trafiony i miał już tylko dwa naboje w magazynku, kiedy pojawiła się policja. James uciekł jak niepyszny wraz ze swoimi ludźmi. Reszta członków gangu Sępów chciała czmychnąć, ale policja, *marines* i agenci Net Force okrążyli i pojмали większość z nich. Niektórzy z bandytów nie rozstali się z bronią, inni jej się pozbyli, ale jedno było pewne. Gang Sępów poniósł tego wieczoru katastrofalne straty.

- Nasi ludzie znaleźli niesamowite rzeczy w twardej dyskach - powiedział Winters. - Zresztą wiele jest w tej sprawie szczegółów, w które nigdy bym nie uwierzył.

Nie były to wielkie przeprosiny za to, że nie posłuchał wcześniejszych teorii Matta o wirtualnych wandalach, ale szczerze mówiąc, to i tak więcej niż Matt się po nim spodziewał.

- Z drugiej strony, nigdy bym nie podejrzewał, że podejmiesz takie nieodpowiedzialne, niebezpieczne... i całkowicie nielogiczne działania - ciągnął Winters. - W pojedynkę działać pod przykrywką bez wsparcia i bez możliwości komunikacji? Co ty sobie myślałeś? Że jesteś supermanem?

- Panie kapitanie, zostawiłem infozbiór zawierający wszystko, co wiedziałem na temat tej sprawy - zaczął Matt, ale Winters przerwał mu w pół zdania. - Gdybyś tylko wiedział, ile nagrobków można by obdzielić tymi informacjami! Znaleźliśmy ten plik po tym,

jak bez pozwolenia opuściłeś szkołę. - Posłał Mattowi niechętnie spojrzenie. - Był bezużyteczny, ponieważ Falk i reszta wandalii już zniknęła. Konkretnych danych, których potrzebowaliśmy, żeby cię ocalić, dowiedziałeś się dopiero wtedy, kiedy zostałeś uwięziony, prawda?

- Ale uciekłem, kapitanie - przypomniał mu Matt. - Wykorzystałem szkolenie w Zwiadowcach Net Force, żeby się stamtąd wydostać.

- A, tak. Słyszałem wszystko o waszych przygodach od Mironowicia i Valery'ego, kiedy ich opatrywali. - Winters wahał się przez sekundę. - I od panny Corrigan. - Znów pokręcił głową. - Niektóre z twoich bezmyślnych kaskaderskich wyczynów... jednego dowiodłeś bez wątplenia, Hunter. Odrobina wiedzy jest niebezpieczną rzeczą, zwłaszcza, jeśli się próbuje ją wykorzystać.

Winters westchnął. - Chyba nie ma innego wyjścia, jak wysłać cię na zaawansowane szkolenie Net Force, chociażby po to, żeby trzymać cię z dala od ulic.

- Słucham? - Matt nie wierzył własnym uszom. Zaawansowane szkolenie było raczej przeznaczone dla starszych od niego. To będzie pewnie wymagało pozwolenia od rodziców, ale mamę da się przekonać, a ona z kolei porozmawia z tatą.

- Dziękuję, panie kapitanie - powiedział.

- Nie dziękuj mi - odpowiedział mu kapitan. - Pod koniec tego szkolenia pewnie będziesz uważał, że przeszedłeś męki piekielne. Mam tylko nadzieję, że wykorzystają tam twój niewątpliwy nadmiar energii.

Matt czuł, że twarz robi mu się czerwona. - Nic nie zaszło między Caitlin i mną.

- Nic? Oprócz tego, że zostaliście porwani i że do was strzelano. Widzę, że postanowiłeś ją chronić od momentu, kiedy dowiedziałeś się, że jest w to zaplątana.

Matt wzruszył ramionami, równocześnie czuł, że jeszcze bardziej się czerwieni. - Zrobiłem to, co uznałem za słuszne - w danym momencie.

- Pewnie tak samo jak Luc Valery - powiedział domyślnie kapitan Winters.

- Tak. Widziałem, jak rozmawiał z Cat. W końcu zdecydował się przyznać, że naprawdę ją lubi.

- Nic mu to nie pomoże - powiedział Winters. - Valery i Mironowicowie wracają do swoich krajów ojczystych. Państwo Savage już zabrali ciało Geralda do domu. Departament Stanu miał ciężki orzech do zgryzienia. I jeśli się nie mylę, senator Corrigan prawdopodobnie zamknie swoją córkę w domu, aż dziewczyna skończy jakieś trzydzieści lat.

Po twarzy Matta przebiegł lekki uśmiech. Nigdy więcej żadnych zdjęć Cat Corrigan w rubrykach towarzyskich holo. To by była odmiana!

- Mamy jednak obietnicę, że będzie zeznawać, jeśli okaże się to konieczne - dodał kapitan.

To sprawiło, że Matt spowaźniał. - Co się stanie z Robem Falkiem?

Tym razem to Winters wzruszył ramionami. - Jest zatrzymany i pod stałą obserwacją, żeby... czegoś sobie nie zrobił. Na pewno przejdzie badania psychiatryczne. Nasi technicy powiedzieli mi, że to prawdziwy geniusz. Ale opracował kilka paskudnych rzeczy...

- I kilka zrobił - łącznie z morderstwem - zakończył ponuro Matt.

Kapitan Winters nie zaoponował, ale zmienił temat. - Sądzę, że rząd federalny zainteresuje się tymi miejskimi gangami. Stanowią problem także w innych miastach, nie tylko w Waszyngtonie.

- I to prawdopodobnie będzie jedyny widoczny ślad tego, co się stało - powiedział Matt.

- Po tym, jak Departament Stanu i Sprawiedliwości oraz kilka innych agencji, nie wyłączając Net Force, zakończą sprawę - pewnie tak. - Winters spojrzał na Matta przelotnie. - A co, spodziewałeś się medalu?

- Nie! - odpowiedział zdziwiony Matt.

- Więc spójrz na to w ten sposób. Pomogłeś uniknąć międzynarodowego konfliktu, oszczędziłeś wielu ludziom dość brutalnego potraktowania ze strony Sepów... i nie dopuściłeś, żeby paskudne oprogramowanie dostało się w czyjeś łapska. Niestety, o tym, że pomogłeś uniknąć poważnej katastrofy, dowie się tylko garstka ludzi.

- A w zamian nieźle dostanę w tyłek na zaawansowanym szkoleniu - zakpił Matt.

Kapitan Winters skinął głową. - Najlepsza z możliwych kar za sukces - to nasz sposób w Net Force. Coś ci się nie podoba, Hunter?

Matt nie wytrzymał i uśmiechnął się szeroko. Wzruszył ramionami. - Wszystko w porządku, panie kapitanie - powiedział.

KONIEC